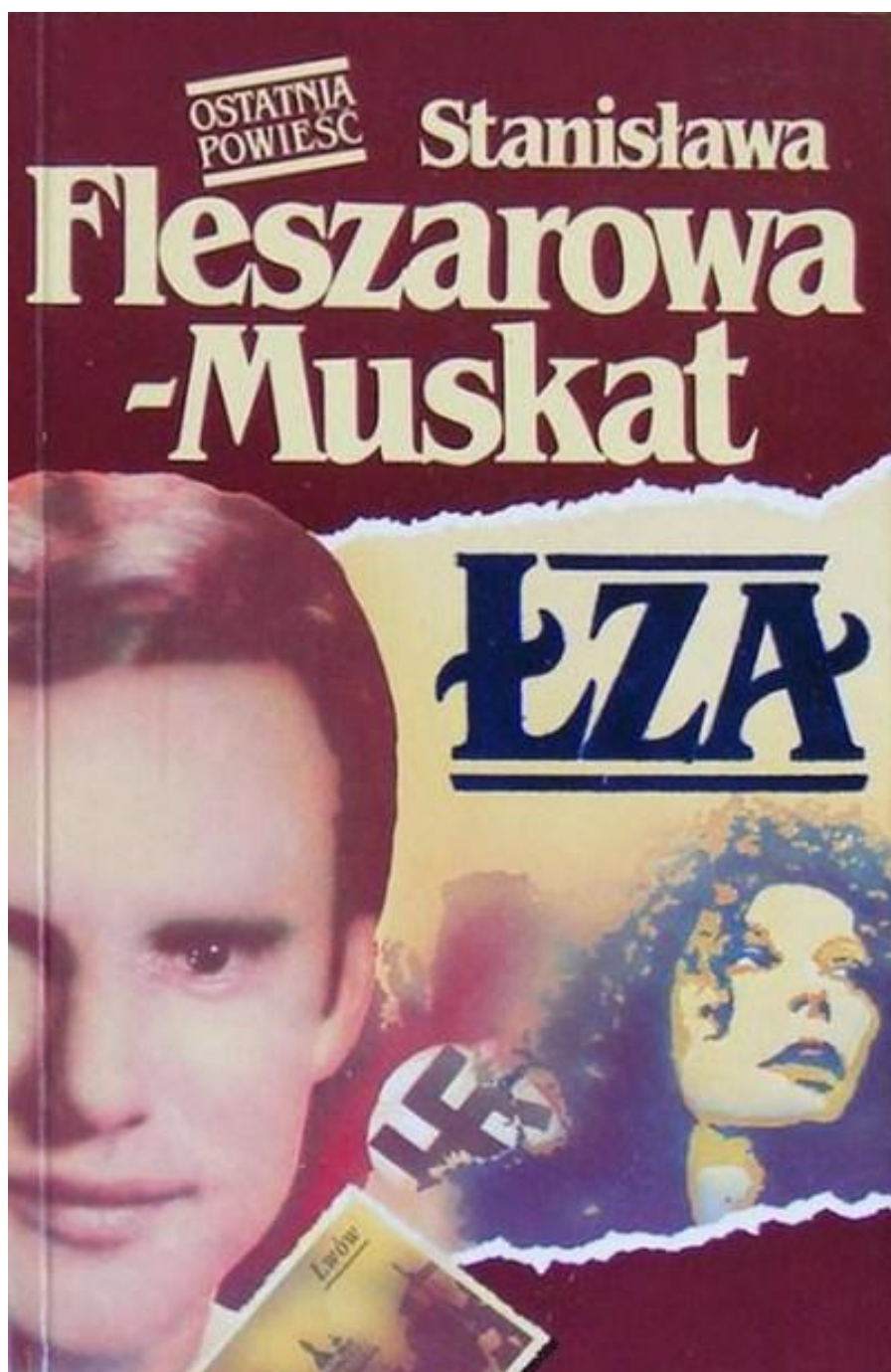


Stanisława
Fleszarowa -Muskat
ŁZA



Wydawnictwo Morskie Gdańsk 1992

Projekt okładki i stron tytułowych Jarosław Kosiorek

Redaktor

Maria Dmochowska

I

— Popatrz tylko, jak ona idzie! — powiedział nagle Witold. Nie mieli żadnego pogodnego tematu do rozmowy, więc nawet powtórzył: — Popatrz, jak ona idzie!

Zygmunt, drobny i szczupły, wszelkimi sposobami dodający sobie męskości, zarżał cicho z uciechy, jak młody koń, jak źrebak u wodopoju. Witold mu zawtórował.

Trwała wojna, Niemcy zwyciężali na całym utworzonym właśnie przez siebie wschodnim froncie, Europa przepasana była wstęgą żałoby, oni obydwaj mieli do niej także osobiste powody, jeden z nich całkiem świeże — ale liczyli sobie dopiero po dwadzieścia lat, w zdumiewających ich samych okolicznościach ukończyli drugi rok studiów; to co zamierzali pod tą okupacją kontynuować dodawało im pewności siebie, a dziewczyna, idąca przed nimi, poruszała się naprawdę zachwycająco.

Choć był już początek października, słońce przygrzewało jak w sierpniu, wyszła więc na ten jesienny spacer ulicą Łyczakowską w letniej prawie sukience, nie miała pończoch na nogach, opalona ich skóra zachowała tylko pod kolanami nieco jaśniejszą barwę i patrzyli obydwaj na te dwie ledwie muśnięte słońcem plamki, urzeczeni przedziwną ich intymnością. Umilkli, usta mu stężały i zaschły.

Dziewczyna, lekka i smukła, płynęła jakby unoszona powiewem wciąż jeszcze pachnącego latem wiatru. Jasne włosy, opadające na kark i ramiona, rozwiewały się w połyskliwą aureolę.

— O Boże! — westchnął Zygmunt, ten mniejszy i drobniejszy, wszelkimi sposobami dodający sobie męskości. — W łeb sobie palnę, jeśli okaże się brzydka!

— Miejmy nadzieję, że nie — zaczął Witold powoli, przesuając językiem po suchych wargach.

Dopiero teraz usłyszeli odgłos kroków poza nimi. Nauczyli się już go rozpoznawać, tak głośno, tak rytmicznie, tak zwycięsko tyłkę okupanci chodzili w tym mieście.

Nie od razu, stopniowo zwolnili kroku, żeby ten, który szedł za nimi, młody oficer niemiecki, bez żadnych podejrzeń ich wyminął; mieli go teraz przed sobą, a to było zawsze bezpieczniejsze, tego także nauczyli się w ciągu ostatnich dwóch lat.

Szedł więc teraz przed nimi, między nimi a dziewczyną, przyhamował jakby trochę, zapewne także ją podziwiając, ale nie zaczepił jej, tylko wyprzedził po pewnym czasie i jedynie zerknął raz i drugi na jej twarz, może się nawet uśmiechnął do niej, tego już nie mogli dostrzec. Gdyby nie noc na Wzgórzach Wóleckich z 3 na 4 lipca, Niemcy po wkroczeniu do Lwowa uważaliby się może nawet za wyzwolicieli — ta noc im to psuła, ale w swojej dotychczasowej praktyce wojennej nie zwykli byli przejmować się takimi głupstwami.

Dopiero gdy oficer skrzył w boczną ulicę, odsłaniając im dziewczynę, a ona nawet odwróciła na chwilę głowę i wiedzieli już, że jest ładna, młoda i śliczna, równie doskonała z przodu jak z tyłu — Zygmunt szepnął z zachętą:

— Może mielibyśmy szansę...

— Jest nas dwóch — powiedział Witold.

— Oczywiście, że najpierw... że z początku będzie wołała ciebie...

— Nie gadaj głupstw.

— Ale gdy ujawnią się wartości wewnętrzne...

— Nie będzie mogła ocenić ich braku u mnie — uśmiechnął się Witold, błysnąwszy zębami. — Przecież idę do profesora. Czeka na mnie. Sam ją przygadaj.

Dziewczyna skrzyła do parku, który właśnie mijali. Zaraz za furtką usiadła na ławce w alejce i patrzyła na nich. Miała zalotną twarz, wyraziste, choć nie powleczone pomadką usta i chyba leciutki na nich uśmiech.

— Sam ją przygadaj — powtórzył Witold. — A jeśli profesor nie zatrzyma mnie długo, przysiędę się do was.

— No, dobra — Zygmunt stracił jakby cały animusz. — Spróbuję. — Rozrzucił czubkiem buta żółte liście, które opadały już z parkowych drzew i zaścielały brzeg chodnika. — Tylko pośpiesz się. Bo co ja będę... o czym ja będę z nią gadał?

— Przedstawisz jej cały zasób swoich wartości wewnętrznych — Witold uśmiechnął się znów bez zjadliwości, wyraźnie zmartwiona twarz przyjaciela wzruszyła go.

Minąwszy park, skręcił ku Kolonii Profesorskiej; wśród małych willi znalazł tę, której szukał, a w której miał nadzieję często bywać podczas tajnych studiów. Drzewa otaczającego ją ogrodu też już dotknęła jesień swoim chłodem, ale liście nie opadły jeszcze z gałęzi, przesłaniając żółtą koronką biały front i czerwoną dachówkę na spadzistym dachu. Tylko dwa świerki przy furtce nic sobie nie robiły z jesiennych zmian temperatury, wydawały się nawet jeszcze bardziej — triumfująco i pysznie — zielone na tle smutniejszego ogrodu.

Spod jednego z nich — gdy Witold otworzył furtkę — wyskoczył ogromny rudy kot i z zadartym ogonem pognął alejką ku schodom prowadzącym do wejścia, gdzie przysiadł, wyraźnie czekając, aby razem z gościem wślizgnąć się do środka. Witold chciał go pogłaskać, ale kot uskokczył w bok i patrzył nieufnie.

Po dzwonku, który brzmiał tak donośnie, że słycać go było chyba w całym domu, długo nie otwierano, Witold spieszył się, cisza za drzwiami wydała mu się zatrważająca, jakby nawiedziły go w krótkiej chwili wyobrażenia wszystkiego, co mogło się tu wydarzyć; co się wydarzyło, lub miało się wydarzyć w niewiadomej przyszłości. Zapragnął nagle uciec stąd, przekreślić, zapobiec temu, w czym by uczestniczył, co by może spowodował, ale drzwi otworzyły się zniemacka; może ktoś, długo za nimi stojąc, zdecydował się wreszcie przekręcić klucz.

Kobieta, która się w nich ukazała, cofnęła się nieco, żeby wpuścić kota; patrzyła pytająco.

— Ja do pana profesora — wykrztusił.

— Był pan umówiony?

— Tak.

Opuściła głowę, nie mógł na pytający jej wzrok odpowiedzieć otwartością swego spojrzenia, nie mógł przyjrzeć się jej twarzy, nie był zresztą jej ciekaw, czekał, żeby go wpuściła.

Powiedziała wreszcie bardzo cicho:

— Proszę.

Nie było w tym słowie zachęty ani radości, wyczuł w nim nawet cień niepokoju, choć powtórzyła nieco głośniej:

— Proszę.

Wszedł za nią z małego przedpokoju do rozleglejszego hallu, wskazała mu schody na górę. Stąpając po czerwonym, dywanowym chodniku, którym były pokryte, ucieszył się, że na dworze tego dnia było sucho, że nie pozostawi śladów na jego nieskazitelnej czystości.

W górnym hallu było czworo drzwi, wszystkie zamknięte. Stał przed nimi, niezdecydowany, w które zapukać, gdy zza środkowych rozległ się zniecierpliwiony głos profesora:

— Niechże pan wejdzie! Czekam na pana.

W popłochu nacisnął klamkę i niezręcznie wtargnął do pokoju z ogromnym oknem, wypełnionym złotą sylwetką poddającego się już także jesieni modrzewia. Stało przed nim biurko, zza którego podniósł się profesor Cho-łodyński, wyciągając do niego rękę.

— Witam pana!

Witold przesadził dwoma susami pokój, żeby tę rękę pochwycić i uściśnąć w swojej, jak mu się wydało, za dużej i za silnej dłoni. Profesor był niższy od niego, wąski w ramionach, choć może to wrażenie sprawiała kamizelka, którą miał sobie, w marynarce wyglądałby zapewne okazalej.

— Proszę, niech pan siada! — wskazał mu krzesło przed biurkiem, sam wrócił na swój fotel. — Mówił mi o panu profesor Szczerkowski. Prosił, żebym pana przyjął. Jak się pan nazywa?

Witold uniósł się na krześle:

— Czownicki. Witold Czownicki.

— Prawda, profesor Szczerkowski zostawił mi nawet karteczkę z pana nazwiskiem — nie zaprzętałem sobie głowy nazwiskami. Przy tylu studentach, z którymi miałem do czynienia w moim życiu, musiałyby być jak bania — ale w dzisiejszych czasach trzeba być ostrożnym, wpuszczając kogoś do domu. Więc pragnie pan kontynuować Studium Dyplomatyczne?

— Tak.

— A prawo? Studiował pan równocześnie prawo?

— Ale teraz nie podołam. Musiałem podjąć pracę. Arbeitsamt...

— Rozumiem.

— Ponadto... trzeba z czegoś żyć. To, co mogę zarobić, pracując dla ausweisu, nie wystarcza nawet na tydzień. Mam matkę... ojciec mój... mego ojca...

— Rozumiem — powtórzył profesor, nie pozwalając mu skończyć.

— Oczywiście — Witold, zamilknawszy na chwilę, postanowił jednak przystąpić do najtrudniejszej części rozmowy — oczywiście... nie wyobrażam sobie, że mógłbym zajmować cenny czas pana profesora bez odpowiedniego... bez należnego... Wszyscy musimy z czegoś żyć...

Profesor przechylił się ku niemu nad biurkiem. Jego oczy, bardziej chyba niż w rzeczywistości niebieskie za grubymi szklami okularów, zabłyśły szklistym chłodem.

— Co pan sobie wyobraża, młody człowieku? Rzeczpospolita mi za to kiedyś zapłaci, nie wysilałbym się ucząc teraz studentów, gdybym nie był tego pewny.

— Przepraszam — bąknął Witold z wypiekami na twarzy — ale to nie nastąpi tak prędko.

— Zdajemy sobie z tego sprawę. I — przyzwyczailiśmy się już do... drastycznego niedostatku. Pan chyba także?

— Ja... także.

— Więc co mi pan tu zaczyna opowiadać o jakimś odpowiednim, należnym... wynagrodzeniu, tak? Już panu powiedziałem: ojczyzna za to zapłaci. Z nawiązką! Ale — profesor cofnął się na oparcie fotela, przymknął oczy i zamilkł na chwilę — żeby nie czuł się pan tak fatalnie, jak się pan w tej chwili czuje, mam sposób, żeby temu zaradzić.

— Jaki sposób, panie profesorze?

Chołodyński znów zamilkł, tym razem na dłużej. Witold siedział przed nim uje śmiejąc głośniejsz oddech.

— Pracuję nad dwiema książkami — zaczął wreszcie profesor. — Jedna jakby z drugiej wypływa, jest jej wnioskiem, a ta pierwsza tej drugiej uzasadnieniem. Powiem jaśniej — piszę książkę o Lidze Narodów, o jej błędnych, nadających się do zbyt dowolnych interpretacji zasadach, o słabości postanowień nie zagwarantowanych żadną siłą, o założonej niejako z góry pokusie ich łamania. Zgadza się pan chyba ze mną w tej ocenie?

— Tak...

— Już na kilka lat przed wojną to widziałem, a trzydziesty ósmy rok utwierdził mnie w tym przekonaniu.

— Tak — jeszcze raz zgodził się gorliwie Witold, łamiąc sobie głowę nad domysłami, po co profesor mu to mówi.

— Więc chcę systematycznie udowodnić, dlaczego Liga Narodów w krytycznych dla Europy momentach nie miała żadnego znaczenia. Taka książka jest potrzebna zaraz po wojnie, a gdyby były możliwości druku, nawet przed jej końcem. Bo już rozważane są projekty nowej organizacji narodów. Słyszał pan o Karcie Atlantyckiej?

— Tylko w naświetleniu niemieckim.

— Nie można go brać pod uwagę. Otóż — profesor zapalał się coraz bardziej — już na początku sierpnia Churchill spotkał się z Rooseveltem w Zatoce Placencia u wybrzeży Nowej Fundlandii, żeby między innymi przedyskutować z nim projekt Karty Atlantyckiej, a także pomocy dla Związku Radzieckiego.

— Sądzi pan, że już o tym myślą? — odważył się wtrącić Witold.

Profesor spojrział na niego z zastanowieniem.

— Uważa pan, że tak, jak podczas pierwszej wojny, obydwaj powinni się wykrwawić i to by była szansa dla Europy? No i dla nas?

Dlaczego on mówi „obydwaj”? — pomyślał Witold, nie odpowiadając na pytanie. Jaki ma podmiot w domyśle? Najeźdźcy?

Profesor tymczasem, jakby zapomniał, że winien mu jest odpowiedź, ciągnął dalej:

— Ale Rosja, Związek Radziecki jest teraz silniejszy i w przeciwieństwie do Niemców walczy na jednym froncie. I na pewno otrzyma pomoc od Stanów Zjednoczonych. Słyszał pan chyba o *lend lease*, amerykańskiej ustawie przyznającej Anglii pożyczkę w broni i surowcach? Taką samą, a może większą, otrzyma Związek Radziecki.

Słucha angielskiego radia, pomyślał Witold, nie powinien się z tego tak od razu zdradzać przede mną. A w ogóle czego ode mnie oczekuje, po co mi to wszystko mówi? Zygmunt siedział zapewne na ławeczce w parku z tą zachwycającą dziewczyną, gdy tymczasem wcale nie zanosilo się na to, żeby prędko mógł do nich dołączyć.

— Oczywiście — powiedział — słyszałem o *lend lease*. Niemcy ją wyśmiewają nawet przez głośniki na słupach.

— Wyśmiewają także konferencję moskiewską, która dopiero co się zakończyła. Roosevelt po to właśnie wysłał Harrimana do Stalina...

Witold drgnął. Nawet tu w tym domu padło to nazwisko z wyraźnym akcentem nadziei. Przypomniat sobie nadzieję, z jaką wypisywała je matka, śląc na Kreml prośby o uwolnienie ojca...

— ... po to wysłał Harrimana do Stalina — ciągnął profesor — żeby omówić sprawę dostaw, jako zasadniczą dla dalszych losów wojny.

— Ale szczekaczki na słupach podają także, że konferencja znalazła się w impasie, że Anglicy i Amerykanie na próżno tracą czas na rozmowy z bolszewikami. Bo byle zły humor Stalina — Witold zaperzał się coraz bardziej — byle zły humor Stalina...

Profesor zachował spokój.

— Zły humor Stalina wywołało ponowne rozpoczęcie ofensywy Hitlera na Moskwę. Ale potrafił go opanować i konferencja na Kremlu uwię-

czona została pełnym porozumieniem. A to, że Niemcy śmieją się, iż Anglicy i Amerykanie tracą czas na rozmowy z bolszewikami... propaganda niemiecka z upodobaniem posługuje się tym terminem, nie znając źródła tego słowa. Gdyby je znali, nie używaliby go dla wyrażenia swojej zachodnioeuropejskiej pogardy.

Witold przypomniał sobie oficera, który wyprzedził ich na Łyczakowskiej, i może dlatego że nie zaczepił dziewczyny, choć zapewne musiał ją podziwiać tak samo jak oni — odważył się niepotrzebnie i całkiem głupio wobec swoich zamiarów kontynuowania studiów sprzeciwić się profesorowi.

— Trzeba przyznać, że prezentują się lepiej niż tamci — mruknął, i jeszcze dodał: — Na przykład Niemiec, kierujący instytucją, do której skierował mnie Arbeitsamt, to prawdziwy Europejczyk. \

Profesor poczerwieniał, przechylił się znów nad biurkiem, a jego oczy, powiększone szklami okularów, wydały się Witoldowi jeszcze przenikliwiej niebieskie.

— Chyba właśnie tacy Europejczycy — powiedział cicho — wywlekli w nocy z domów profesora Bartla, Boya-Żeleńskiego i innych profesorów, żeby zaraz — bez sądu i jakiegokolwiek możliwości obrony — rozstrzelać ich na Wzgórzach Wóleckich wraz z innymi wybitnymi ludźmi naszego miasta. — Zamilkł i dopiero po długim milczeniu dodał jeszcze ciszej: — Nie mam spokojnych nocy...

Witold ominął wzrokiem jego twarz. Za wcześnie tu przyszedłem, pomyślał w popłochu. Od tych godzin porannych na Wzgórzach, od strzałów, które tam padły, utrzymujących się wciąż echem nad całym Lwowem — nie upłynęło jeszcze nawet trzech miesięcy. Tu, na Kolonii Profesorskiej, echo to brzmiało zapewne najdonośniej. Bo „za bolszewików” profesorowie udawali się co ranka w nimbie „uczonych Związku Radzieckiego” na uniwersytet i politechnikę, wykładali swoją wiedzę studentom, jakby nie zdarzył się dzień 17 września trzydziestego dziewiątego roku, jakby w ogó-

le nic się nie zdarzyło i najzwyczajniejsze życie miało toczyć się dalej. Sam chodził na te wykłady, zdawał egzaminy i traktował teraz ten indeks jak najpoważniej jako podstawę swojej inteligenckiej przyszłości, choć Niemcy każdego dnia odnosili zwycięstwa, błyskawicznie posuwając się w niezmiernie i nie pokryte jeszcze śniegiem obszary Rosji. Ale gdyby profesor i w swoją przyszłość nie wierzył, nie zaczynałby pisać pracy o nieudacznictwie Ligi Narodów. To ich łączyło, to musiało ich łączyć.

A jednak powiedział:

— Niespokojne noce trwają we Lwowie od trzydziestego dziewiątego roku. Gdy zabrano mego ojca... Wciąż mieliśmy nadzieję, że wróci. Aż znalazłem jego ciało wśród sterty innych w więzieniu na Łąckiego, kiedy tamci odchodzili, a ci mieli wejść do miasta...

Profesor patrzył tępo przed siebie.

— Jaką ma pan pewność — powiedział po bardzo długiej chwili — że zrobili to właśnie oni? Niemcy mogli przecież, zastawszy ludzi w więzieniach...

— Właśnie — przerwał profesorowi. — Dlaczego ich nie otwarto?

— Młody człowieku! — Profesor wstał i przeszedł się po pokoju. — Zjawił się pan u mnie po to, żeby dalszą nauką utwierdzać w sobie nadzieję, że to wszystko dla nas jako tako dobrze się skończy...

— Powiedział pan... jako tako?

— Do diabła! Nie my będziemy zwycięzcami i musimy omijać... tak, omijać w pamięci wydarzenia i sprawy, które psułyby nam radość...

Znowu odważył się przerwać profesorowi.

— Ja nie potrafię.

— Nauczy się pan. Przywyknie. I bardzo proszę — profesor znów usiadł za biurkiem — bardzo proszę bez dygresji!

— Ja... — szepnął Witold.

— No więc może ja, może ja w nie popadłem. Przepraszam. Mam więc zamiar, a właściwie już zacząłem pisać książkę o Lidze Narodów. To jeden temat. A drugi — równie oczywisty: Niemcy nigdy nie dotrzymywali zawieranych przez siebie paktów, jeszcze nigdy im się to nie zdarzyło. I właśnie mam zamiar przedstawić to na przestrzeni wieków.

Witold odważył się wreszcie zapytać:

— Czego pan profesor oczekuje ode mnie?

Profesor uśmiechnął się po raz pierwszy i po raz pierwszy Witold poczuł się pewniej przed jego obliczem.

— Pomocy — powiedział krótko. — Pomocy.

— W jaki sposób bym mógł...?

— Zaraz, zaraz, wszystkiego się pan dowie. Ja nie mogę się pokazać nawet w pobliżu uniwersytetu. A będą mi potrzebne materiały z biblioteki. Do obydwu książek. O ile wiem, Niemcy tam szperają, wyszukują i wykradają co najcenniejsze. Sami by się w całości księgozbioru nie zorientowali. Może zatrzymali część dawnych pracowników, może to nie są tylko Ukraińcy. Trzeba do nich dotrzeć, nawiązać kontakty... Podoła pan?

— Myślę, że tak. Nie interesowałem się tym dotychczas, ale sądzę, że na pewno są tam nasze wtyczki...

— Nasze...?

— No — zająknął się Witold; ileż to razy powtarzano na odprawach, żeby za dużo nie gadać. Czy przetrzebienia konspiracji za sowietów nie spowodowało między innymi i to, że byli tak nieostrożni? — Nasze polskie wtyczki — powiedział, czując, że jednak obraża profesora tą ostrożnością. — Postaram się odnaleźć jakichś zaufanych ludzi.

— Byłbym panu ogromnie wdzięczny. Rozumie pan, że sam nie mogę...

— To by było i zbyt uciążliwe, i zbyt niebezpieczne. Proszę polegać na mnie, wyręczę w tym pana profesora. — Witold czując się jeszcze winnym za poprzednie myśli, uśmiechnął się z manifestowaną serdecznością.

Profesor dopiero teraz przyjrzał mu się uważnie, doznając niespodziewanej radości, że ma przed sobą tak znakomicie przez naturę wykopany egzemplarz (skąd wzięło mu się to słowo — pomyślał jakby z naganą wobec siebie) chłopięcej urody i siły. Tak mógłby wyglądać mój syn, pomyślał, gdybym się wcześniej ożenił.

— Cieszę się, że pan przyszedł — powiedział.

Witold wstał. Za długo tu siedział. Nie chodziło mu o

to, że zbyt wiele czasu zajął profesorowi, tylko że Zygmunt na pewno poszedł już gdzieś z tą dziewczyną.

— Ja też... ja też się cieszę, że profesor Szczerkowski zechciał... i że pan zechciał, panie profesorze... Postaram się nie zawieść pana profesora...

— Skrypty mam — profesor także podniósł się z fotela. — Niech pan przyjdzie we wtorek. O dziesiątej rano.

— Dziękuję. Może już uda mi się nawiązać jakieś kontakty z biblioteką. Czy pan profesor da mi spis książek?

— Powolutku. Nie należy działać zbyt pochopnie. Zobaczymy, co uda się panu załatwić do wtorku. I niech pan uważa na siebie. Niemcy oczywiście dobrze wiedzą, że chcielibyśmy uratować choć część naszego księgozbioru.

— Wyobrażam sobie.

— Więc należy działać ostrożnie. Nie chciałbym narazić pana... — profesor zamilkł na chwilę — nie wybaczyłbym sobie nigdy...

— Ależ panie profesorze — Witold roześmiał się z młodzieńczą bez troską — nie takie rzeczy...

— No no, nie pozwalam panu tak myśleć! Słyszysz pan? Nie pozwalam! Będzie pan posłuszny?

— Tak, panie profesorze — Witold z trudem krył rozbawienie. Ręka profesora wydała mu się znów lekka i wiotka, gdy ją trzymał w swojej silnej dłoni.

Wyszedł i zbiegł szybko po schodach. Drzwi wejściowe były otwarte, skrzypiały poruszane przeciągiem, stanął w nich na chwilę, zastanawiając się, czy je zamknąć.

— Czy musisz ciągle rypać tymi drzwiami? — rozległ się z głębi mieszkania zniecierpliwiony kobiecy głos.

Stał niezdecydowany, a drzwi wciąż trzeszczały, poruszane przeciągiem.

— Że też zawsze muszę cię besztać, choć nie chcę, choć nieraz sobie obiecuję, że nie będę — ale taki z ciebie haman, Wasylko! Wiesz, jak profesora denerwuje, kiedy tak się rypiesz tu na dole — w progu kuchni stanęła kobieta, która wpuściła go, gdy przyszedł. Tak jak wtedy nie zdołał się jej przyjrzeć, bo stała w mroku, a on zmieszany sytuacją nie wiedział, co ze sobą począć.

— Przepraszam — powiedział — to ja. Właśnie wychodziłem...

— Myślałam, że to Wasylko. Miał przynieść drewna z dworu.

Jakoż zjawił się w drzwiach z naręczem drewna ów Wasylko, zapewne młody Rusin do posług w tym domu, potyrajko, jak się o takich tu mówiło, jeśli nie używało się słów gorszych: hruń, murga i mierszyło, ale także i obywatel kilkugodzinnej „samostijnyj Ukrainy” proklamowanej przez ukraińskich nacjonalistów w zuchwałej wolności, gdy Rosjanie opuścili miasto, a Niemcy jeszcze do niego nie weszli.

Stojąc w mroku przedpokoju Witold patrzył, jak Wasylko, zamurdzany na twarzy, z długimi pełechami na karku, ale z uśmiechem błogiego szczęścia zapatrzony w kobietę, która go besztala, dźwiga drewno do kuchni, jak zwała je z hurkotem na podłogę, nic nie robiąc sobie z tego, że profesora na pewno to denerwuje. Ci, co odeszli, pomyślał nagle, ci, co tu przyszli i ci, co tu byli i są, jak Wasylko — sami wrogowie! Sami wrogowie — powtórzył w myślach. Bez wyjątków? Jakże by się chciało, żeby były wyjątki. Ale czy miał prawo sądzić, że są, że będą?

— Wychodzi pan? — spytała kobieta. W szarej jakiejś sukni czy fartuchu, sama była mrokiem, w którym stała.

— Tak, wychodzę — potwierdził natychmiast. — Do widzenia.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi cicho i ostrożnie, jakby miał nadzieję, że profesor w jakiś sposób to odczuje i właściwie oceni. Ale zaraz na ścieżce ruszył szybkim krokiem, choć nie myślał teraz, że Zygmunt siedzi na ławce z tą cudowną dziewczyną i że może nawet wyszli już z parku... Ogarnął go znów niepokój, który poczuł, gdy tu przyszedł. I tak jak wtedy zapragnął przekreślić, odwołać wszystko, w czym miałby tu uczestniczyć, te jakieś niewiadome wydarzenia, które mogły się dokonać, a może dokonałyby się bez niego, zapobiec im, powstrzymać czas je niosący...

Skąd się znowu wzięły te myśli, przecież rozmowa z profesorem była prawie pogodna? Zawierzyli jakby sobie nawzajem ważne sprawy swojej przyszłości. Może ją samą. Był pewien, że i profesor odniósł to wrażenie, skoro zdecydował się prosić go o pomoc w wydobyciu z biblioteki materiałów potrzebnych mu do pracy.

To go jakoś pocieszało, a zapomniał o wszystkim od razu, gdy zbliżywszy się do parku zobaczył, że dziewczyna siedzi jeszcze na ławce — sama. Przyspieszył kroku, zaczął prawie biec i zdyszany usiadł obok niej. Teraz trzeba było się zastanowić, jak zacząć rozmowę, każdy początek wydawał mu się za śmiały, skoro najwidoczniej i Zygmuntowi nie udało się jej zaczepić. Wciąż dyszał w milczeniu, gdy ona odezwała się pierwsza:

— Byłam pewna, że będzie pan wracał. Że nie mieszka pan na Kolonii Profesorskiej.

— Nie mieszkam tam — potwierdził. — Rzeczywiście... — zająknął się, speszyło go, że to ona go przygadała i w dodatku najwyraźniej czekała tu na niego; długo szukał odpowiedniego dla podtrzymania rozmowy słowa. — Rzeczywiście...

Ona przyglądała mu się spod długich czarnych, choć nie tkniętych tuszem rzęs, najwyraźniej tym rozbawiona.

— Dziwi się pan?

— No, nie... właściwie czemu...? — wyjąkał.

— Że nie trzeba było tych wszystkich zabiegów, których dokonywać muszą chłopcy, żeby zaczepić dziewczynę. To ja zaczepiłam pana.

— Odgadła pani moje intencje — przytomniał powoli Witold. — A właściwie to mój kolega pierwszy miał zawrzeć z panią znajomość. Umówiliśmy się tak... Prosiłem go o to, bo bałem się, że pani tu już nie będzie, gdy będę wracał...

— Bał się pan? — uśmiechnęła się i zwróciła ku niemu, tak że miał teraz przed oczyma nie tylko jej profil, ale całą twarz wyłożoną jeszcze letnią opalenizną, ciemniejszą od jasnych włosów.

— Tak. Bardzo się bałem — zapewnił, wpadając już w ton zwykłych rozmów z dziewczętami, w „bujanie” studenckie, w które one może wierzyły, może nie — to nie miało znaczenia. — Więc kolega miał panią zatrzymać...

— Ten skut?

— Dlaczego od razu — skut? Nie wszyscy muszą mieć .metr osiemdziesiąt.

Znów się uśmiechnęła.

— Ale-niektórzy mają. Przysiadł się do mnie, coś tam mruczał pod nosem, ale mu powiedziałam, żeby się odczepił, bo czekam na kogoś.

— I poszedł sobie — zmartwił się obłudnie Witold.

— Poszedł. A ja nie kłamałam. Naprawdę czekałam na pana. Miałam przeczucie, że będzie pan wracał. Bo już najwyższy czas, żebyśmy się poznali, choć to od pana powinna wyjść inicjatywa. Ale na uniwersytecie mnie pan nie zauważył, zresztą może nie było okazji — pan na prawie, ja na historii... I w katedrze na nabożeństwie też mnie pan nie dostrzegł, chodzi pan przecież na dwunastówkę?

— Tak, ale z mamą...

— Domyśliłam się.

— ... i tak w ostatnim czasie — spoważniał — tak w ostatnim czasie z nami jest, że w modlitwie szukamy pociechy. Może kiedyś... jeśli się bliżej poznamy — powiem pani dlaczego.

— Przepraszam. Bardzo przepraszam. Czułam się prawie urażona, że nie zwrócił pan na mnie uwagi. Bo na ogół, wie pan, chłopcy mnie zauważają, nawet w największym tłumie. Myśli pan, że jestem zarozumiała?

— Ani trochę — zapewnił żarliwie.

Znów przyglądała mu się spod rzęs, trochę rozbawiona, a trochę niepewna, czy z niej nie żartuje, czy nie odważa się żartować może właśnie dlatego, że go sama zaczepiła, czasem chłopcy nie cenią takich dziewczyn i długo im to pamiętają.

— Na imię mam Myszka. Myszka Dawrosiewicz — to pan powinien mi się pierwszy przedstawić.

— Witold Czownicki. — Zerwał się z ławki, trzasnął obcasami, żałując, że nie ma akurat na sobie nowych oficerek, na które Anielka zamieniła na bazarze niebieskiego lisa matki, choć trzeba było raczej wymienić go na jedzenie, na tłuszcz, mąkę i kaszę. Przydziały z kartek były bardzo skąpe,

pod sowietami wyprzedali się już prawie ze wszystkiego, ale matka wiedziała, że chciał mieć takie buty, że według przeniesionej tu mody warszawskiej nosiło je już wielu chłopców, chciała więc mu sprawić przyjemność, choćby mieli potem głodować. Gdyby trzasnął obcasami tych oficerów, efekt oczywiście byłby zupełnie inny, ale nie przeczuwając takiego spotkania nie włożył ich tego dnia i musiał poprzestać na niezwykle szarmanckim ukłonie.

Podąła mu rękę, on ją pocałował, dziwiąc się, że wewnątrz tej małej łapki jest tak twarde i chropowate.

Zauważyła to.

— To od żelazka — wyjaśniła od razu. — Dorabiam prasowaniem u jednego krawca. Pracuję w dystrykcie jako maszynistka, *Arbeitsamt* mnie tam skierował, ale to głównie dla kartek i ausweisu, a krawiec płaci dobrze, bo ludzie teraz nicują i przerabiają starzyznę, jeśli chcą jako tako wyglądać.

— Wiem — mruknął. Właśnie poprzedniego dnia zaniósł do krawca koc z wielbłądziej wełny, żeby uszył mu z niego zimową kurtkę.

— Więc roboty ma dużo i płaci dobrze, tylko że cztery popołudnia mam w tygodniu zajęte i tylko w trzy pozostałe będziemy mogli się spotykać. — Bo chyba już pan wie, chyba już wiesz — powiedziała ciszej, gdy znowu siedział obok niej i o wiele bliżej niż przedtem — wiesz i cieszysz się z tego, że w tych złych dniach, które musimy jakoś przeżyć, może latach, bo ja tam w szybkie zakończenie wojny nie wierzę, będę dla ciebie pociechą. Ja dla ciebie, a ty dla mnie. Dlatego siedziałam tu na ławce i czekałam na ciebie. Nie? — krzyknęła, gdy milczał za długo. — Nie cieszysz się?

— Ależ tak! — zawołał, tylko może bez tej żarliwości, której się spodziewała; czuł się jednak trochę speszony, że nie on, ale ona mówi to wszystko.

— Głowę daję — powiedziała — że do końca życia mi tego nie wybacysz. Widzę to w twoich oczach. Już to zauważyłam, kiedy pierwsza odezwałam się do ciebie. Bo takie chłopaczki, jak ty, to by chciały, żeby ich oficjalnie pannom przedstawiano, a najlepiej na balu i niechby to zrobił ktoś starszy, wujek, albo stryj, i to by było takie piękne i romantyczne, wspominałoby się potem: Poznaliśmy się na balu w... A tu tymczasem dziewczyna pyta, czy chcesz mnie na pociechę w ten okrutny, nieludzki czas, który wypada nam przeżyć?

— Chcę! — powiedział teraz goręcej i prawdziwiej, jakby pojął wreszcie znaczenie jej słów. Nieludzki czas... Podwójnie nieludzki, bo nie dla ludzi i nie przez ludzi, lecz przez bestie rządzony. Czy nie miała racji, czy nie trzeba było szukać pociechy pośród grozy trwającej już tak długo i jeszcze nie wiadomo na jak długo przypisanej światu? Historia powoli wypełniała swoje kartki, historii nigdy się nie śpieszyło, ale można ją było choć trochę ok- pić, wyłączać się z niej... niechby nawet tylko na trzy popołudnia w tygodniu... — Chcę! — powtórzył. — O, Boże! Chcę!

— No, widzisz, wariatuńciu — powiedziała miękko. — No bo czy miałam czekać, aż mnie zauważysz w katedrze, aż spojrzysz tam, gdzie zawsze stałam i wlepiałam w ciebie ślepią w nadziei, że zwrócisz ku mnie głowę. Szkocja mi było na to czasu, bo przecież nie wiadomo, ile go jeszcze mamy. Ja i ty.

— Myszko... — zaczął, znów zatrwożony; niepotrzebnie przypomniała, że wojenne radości, wojenne pociechy mogą trwać całkiem krótko.

Przerwała mu:

— W domu mówią na mnie Mycha. Tycia, moja młodsza siostra tak mnie nazwała. A na ciebie jak mówią?

— Witek. Mama mówi — Witek. Ojciec spieszceń nie lubił i mówił zawsze Witold, nawet kiedy byłem jeszcze całkiem mały.

— Nie masz już ojca?

— Nie. Ale nie mówmy teraz o tym.

— Chciałeś coś powiedzieć...

— Tak. Wiesz, co chciałem powiedzieć, Mycha? Że splataliśmy dziś wojnie straszliwego figła. Ni stąd ni zowąd przydarzyła nam się taka chwila szczęśliwa. Dzięki tobie! Dziękuję! — znów pocałował małą, twardą od żelazka łapkę, a że wydała mu się zimna, zatrzymał ją w swojej dłoni, aby ją ogrzać. Nie odebrała mu jej, zacisnęła nawet palce na jego palcach i od razu zaczęły się rozgrzewać. Pomyślał, czy by nie otoczyć jej pleców ramieniem, zrobiło się już chłodno, słońce zapadło za wysokie drzewa parku, zarośli ciągnął dokuczliwy powiew — ale wydało mu się to za śmiałe przy tak krótkiej znajomości, niechby było tak, jakby naprawdę poznał ją ha balu, jakby go jej przedstawił stryj pułkownik, dbający o formy i aż śmiesznie starający się zaszcześcić je młodzieży. Ale na balu, trzymając ją w tańcu blisko przy sobie, powiedziałby jej pewnie, że nie widział jeszcze takich oczu niebieskich, skrzących się niekiedy jakby okruchami zielonego szkła, takich ust niby trochę nadąsanych, a równocześnie tak skorych do uśmiechu, policzków brzoskwiniowych... do licha, czy nie można było powiedzieć tego wszystkiego dziewczynie, choć Niemcy szli na Moskwę, Rommel zwyciężał w Afryce, a polscy lotnicy ginęli w bitwie o Anglię...? Okradani każdego dnia z przywilejów młodości mogli się przecież tej grabieży przeciwstawić. Powiedział przed chwilą, że splatali dziś wojnie straszliwego figła, więc niechby to krótkie, niespodziewane szczęście, które im się przytrafiło, miało pełny blask, niechby nie było uboższe, nawet o taką głupią paplaninę między chłopcem a dziewczyną, bez jakiej w normalnych czasach nie obyłyby się żadna randka.

— Czy mówił ci już ktoś, jakie masz oczy... — zaczął.

Parsknęła śmiechem.

— Nie wysilaj się! Słyszałam to już ze sto razy i nie muszę usłyszeć od ciebie. Nawet nie chcę. Nie lubię tych brechunów...

— Ale ja mówię prawdę.

— No i dobrze, wierzę. Ale pomilczmy sobie teraz trochę przed rozstaniem. Bo już niedługo muszę iść, żebyś zdążył mnie odprowadzić przed godziną policyjną.

Mieszkała w pobliżu i dlatego pewnie na spacer wychodziła do tego parku, tu się także umówili od razu w pierwszy z tych trzech dni w tygodniu, kiedy nie miała prasowania u krawca. W mrocznej sieni, w której się żegnali, powziął znów zuchwałą myśl, czy by jej nie objąć, nie przyciągnąć do siebie i nie pocałować choćby tylko w policzek, ale wydało mu się to jednak za śmiałe, jakkolwiek to nie on, ale ona go zaczęła i może nawet czekała na to, nigdy nie można było mieć pewności, co te dziewczyny naprawdę myślą. Nie pocałował jej więc, nie przyciągnął do siebie, nie objął, szarmancko się tylko uklonił i naprawdę byłby z niego zadowolony stryj pułkownik, który przed kilkoma miesiącami niespodziewanie odezwał się skądś z odległych rosyjskich przestrzeni, a teraz pod generałem Andersem — mianowanym przez Sikorskiego dowódcą Armii Polskiej w Związku Radzieckim — zbierał pewnie internowanych i deportowanych Polaków w szeregi przyszłego wojska.

— O czym myślisz? — spytała.

— O wtorku — skłamał — o przyszłym wtorku, o piątej po południu i o naszej ławce w naszym parku, na której cię znów zobaczę.

Drzwi na parterze otworzyły się gwałtownie i dziecięcy głosik zawołał na całą sień:

— Mycha! Znów wystawujesz z jakimś apsztyfikantem! Powiem mamie!

— To właśnie Tycia — roześmiała się Myszka wcale nie zmieszana. — Cicho bądź, koszmarny bękarcie! — odkrzyknęła. — Wlepię ci, zobaczysz! Tak tobą szpurnę...

— Ou wa! — parsknęła mała lekceważąco. — Już się boję!

Pożegnał się pośpiesznie w obawie, że dalszy dialog między siostrami może się okazać nie dla jego uszu.

Zmrok już zresztą zapadał, wczesny, październikowy, a z nim zbliżała się godzina policyjna wyznaczona przez okupanta.

W domu już się niepokoiono jego nieobecnością. Matka i Anielka, która wyniańczyła go od pierwszych tygodni życia, stały przy oknie w wykuszu salonu, skąd widziało się całą ulicę.

Anielka otworzyła mu drzwi i już w przedpokoju zaczęła go poszturchiwać twardymi swoimi pięściami.

— O której to się do domu wraca? Myślałam, że już w ogóle dziś nie wrócisz. Mamę tylko straszysz. I... mnie.

— Przecież brakuje jeszcze dziesięciu minut do godziny policyjnej — bronił się, wieszając czapkę na szaragach.

— Ukraińskie patrole zegarków nie mają — matka stanęła w progu, rękę trzymała na sercu, jak zawsze od owego dnia, od owej nocy, bo jeszcze nawet nie świtało, kiedy walenie okazało się waleniem nie do sąsiadów, nie do tych z góry, i nie do tych z dołu, ale do nich właśnie i kiedy zabrano ojca, żeby coś wyjaśnił w NKWD, i choć to miało, jak mówiono, krótko trwać, choć miał zaraz wrócić — ona od razu wiedziała, że już go więcej nie zobaczy. — Nie rób mi takich historii, Witek — powiedziała cicho.

— Przepraszam — pocałował matkę w rękę. Taka była jeszcze młoda, miała zaledwie czterdzieści trzy lata, a już siwiała, choć na szczęście wcale jej to nie szpeciło, brunetki siwiały jakby dla ozdoby, dla zbytku dodanego urodzie ich włosów. — Przepraszam — powtórzył. — Staralem się przyjść wcześniej, ale...

— Profesor cię zatrzymał?

— Tak...

— I tak długo to trwało?

— No i jeszcze... zdybałem kogoś...

— Kogo? — nie matka zapytała o to, ale Anielka, i to prawie groźnie.

— Zygmunta... Zygmunta Teleszkę. Spacerowaliśmy trochę...

— Mogłeś go przyprowadzić do domu zamiast włóczyć się po ulicach w taki niebezpieczny czas.

— Przecież mam ausweis.

— Nie bądź go taki pewny. Dopiero co mówiła mi Tabaczkowa, co te hrycie robią z ausweisami zatrzymanych Polaków...

— Nie strasz, Anielko, nie strasz — przerwała matka. — I tak jesteśmy dostatecznie wystraszeni.

— Lepiej bać się i być ostrożnym, niż niepotrzebnie się narażać — Anielka miała zwyczaj kończyć podjęty przez siebie temat. — Niejeden strachoput przeżyje bohatera! — Bałabuchy będziesz jadł? — zwróciła się do Witolda.

— Pytanie! Chorego się pyta! Ja bym nawet nogę od krzesła zjadł, gdyby ją można było do miękkości ugotować. I gdyby Anielka po swojemu ją doprawiła.

— A czym ja mogę teraz co doprawiać? Pieprzu nie ma, liści bobkowych nie ma, ani gałki muszkatołowej, ani angielskiego ziela. Dobrze, że sól jest. A te bałabuchy na kolację to dlatego, że mleko mi się zwardziło. Przyniosła mi ta sama baba co zawsze, Rusinka spod Chlebowic, nawet się nie pytałam, czy świeże, bo kto to słyszał, żeby w październiku mleko się wurdziło. A tak zwardziło się! To bałabuchy na nim zrobiłam zamiast do zlewu wylać. Ale ja tej mantelepie powiem, niech no ona tylko przyjdzie. A jeszcze się mnie pyta, czy sztanów jakichś starych nie mamy, bo jej chłop zaczyna już gołym przyrodzeniem świecić. Dam ja jej sztany! Do Hitlera niech się po sztany zgłosi!

Weszli za gderającą wciąż Anielką do kuchni, Witold spuścił zasłonę zaciemniającą na okno; choć naloty rosyjskie dawno się nie zdarzały, obowiązywał nakaz zaciemniania.

— Masz papierosa? — spytała matka, nerwowymi palcami zbadawszy pustkę kieszeni swego szlafroka. Gniewała się, że palił, ale lubiła, gdy miał dla niej papierosy.

— Mam.

— Jakie?

— Węgierskie. — Wyciągnął z kieszeni pogniecione pudełko papierosów — podał matce, podsunął ogień zapalniczki. Zaciągnęła się chciwie, przedtem — przedtem — nie paliła tak dużo, teraz nie mogła obyć się bez papierosów.

— Nawet najgorsze rzeczy mają dobrą stronę — uśmiechnęła się gorzko za obłokiem dymu. — Gdyby Węgrzy nie szli z Niemcami, nie mielibyśmy tu ich papierosów.

— No i zachowują się przyzwoicie — powiedział, patrząc jak Anielka wyjmuje z bratrury patelnię, stawia ją na gazie, leje na nią olej, a potem czeka aż się rozgrzeje i dopiero wtedy nagarnia z miski potężną łychę ciasta i ostrożnie — żeby racuszek nie był za mały, ani za duży, żeby miał kształt, jak należy, okrągły i sztywny — spuszcza je na skwierczący tłuszcz.

Nigdy przedtem — znowu to słowo okrutne — nie przesiadywali tyle w kuchni; teraz lubili tu przebywać, nie dlatego, że byli zawsze głodni, a tu przynajmniej zapachy jakieś, wciąż trwające choćby we wspomnieniu, stwarzały złudzenie dawnego czasu, ale że Anielka była opoką tego domu i podświadomie się do niej garnęli. Mała i niepozorna, nieco tylko starsza od swej pani, tak wiele tu znaczyła, energii i mądrości życiowej miała za oboje Czownickich, za matkę i syna. Przedtem — znowu to słowo i myśl! — kiedy żył mecenas, nawet już za sowietów, on tu we wszystkim przewodził, ale gdy go zabrakło, Anielka wzięła cały ten ciężar na siebie. Dlaczego nie

ja? — myślał Witold, a bałabuchy rumieniły się na patelni i trudno się było skupić na czymś innym, choćby to było coś tak ważnego, jak niezadowolenie z siebie, że nie on był dla matki podporą, lecz tą obca kobieta ze Złochowa, która „nastała” do ich domu, kiedy się urodził, i poza kucharką i pokojówką potrzebna była także niańka. Funkcje tamtych dwóch pełniły aż do wojny coraz to inne kobiety, zostawiając lepsze lub gorsze wspomnienia, a Anielka nie zmieniała uczuć ani adresu, choć jej wychowanek dawno już był wyniańczony i potrzebował już, jak podejrzewała nieraz grożąc mu palcem, zgoła innych pieśczot. Gdyby wiedziały, myślał o matce i Anielce, gdyby powiedział im, jak odpowiedzialne i niebezpieczne powierzano mu funkcje, czy w domu zaczęłyby go traktować inaczej? Czy wydorósłaby dla nich i od razu stał się mężczyzną, choć nie potrafił niczego sprzedać ani kupić na bazarze? A może zaczęłyby obie płakać i zamknęłyby go w domu, żeby nigdzie nie chodził, z nikim się nie spotykał, w pojęciu kochających kobiet to przede wszystkim oznaczało niebezpieczeństwo.

Nie mógł więc im powiedzieć i patrzył w oczy Anielki z dziecinną wdzięcznością, gdy kładła mu na talerz bałabuchy, których by — śmierdzących źle rafinowanym olejem — przed wojną nigdy nie jadł, a które teraz były rzadko trafiającym się rarytasem.

— Ale cukru nie ma — powiedziała Anielka zmartwiona.

— Nie szkodzi — zawołał.

— Może wreszcie powiesz — zaczęła matka — jak profesor Chołodyński cię przyjął?

— Och, bardzo uprzejmie! — Witolda nad pełnym talerzem nie opuszczał entuzjizm. — Bardzo uprzejmie!

— Czy... — twarzy matki znów nie było widać zza obłoku dymu — czy zapytałeś... ile... w jaki sposób... w naszej sytuacji będziemy mogli... Przecież profesorowie nie mogą uczyć za darmo, a równocześnie na pewno krępujące jest nawet mówienie o tych sprawach.

— Będę pomagał profesorowi w pracy, którą pisze — wypalił Witold. Usta błyszczały mu olejem, oczy entuzjazmem,

— Ty? W jaki sposób? — zdziwienie matki było prawie obraźliwe, w dodatku i Anielka się do niego przyłączyła; zaniedbując swoje czynności przy kuchni, patrzyła na niego z niedowierzaniem.

Witold jadł i nie odpowiedział od razu.

— W jaki sposób? — powtórzyła matka.

— Potrzebne mu będą pewne książki z biblioteki uniwersyteckiej. Jest zamknięta, Niemcy w niej buszują. Będę musiał je dla profesora jakoś stamtąd wydostać.

— Ty? — zapytała znowu matka, ale już dramatycznym tonem.

— Oczywiście że ja! — Witold miał już na talerzu tylko jeden racuch, zerknął z nadzieją ku patelni na kuchni. — Któżby inny?

— Nie pozwalam ci! — krzyknęła. — Słyszysz? Nie pozwalam!

— Mamusiu! — uśmiechnął się Witold.

— Nie pozwalam ci! Cóż on sobie wyobraża, ten Chołodyński? Jak można narażać studenta? Jeśli i inni profesorowie... O, Boże! Nie spodziewałam się tego.

— Profesor prosił, żebym był ostrożny i wie, że będę. Przyrzekłem mu to.

— Więc jest przekonany, że to trudne i niebezpieczne. I mimo to...

Witold wciąż się uśmiechał. I matce chciał także powiedzieć, że nie takie rzeczy... Ledwie w porę się powstrzymał.

— Wszystko jest trudne i niebezpieczne, mamusiu — powiedział. — Każdego dnia na ulicy może się coś zdarzyć bez żadnego powodu, a mimo to wychodzimy...

— Dla ciebie byłoby najlepiej, żebyś w domu siedział — wtrąciła się Anielka.

— I w domu może się coś zdarzyć. W biały dzień. Albo w nocy.

Niepotrzebnie to powiedział. Matka znów sięgnęła po papierosa, choć poprzedniego dopiero co zdusiła w popielniczce. Ręce jej się trzęsły.

— Dziś w nocy miałam taki przykry sen — powiedziała po długim milczeniu. Dobijanie się do drzwi, jacyś obcy ludzie w naszym mieszkaniu... Do rana nie mogłam już zasnąć. Wciąż myślałam, że gdybym wtedy... w trzydziestym dziewiątym... pozwoliła ojcu iść razem ze stryjem na wschód... może odezwałby się tak, jak on...

— A ilu się nie odezwało — powiedział Witold cicho.

Zamilkli, tylko Anielka — z nadmierną chyba energią — hurkotała patelnią i garami.

— Jeszcze jedna zgryzota dla mnie — powiedziała matka.

Witold wstał, pochylił się nad nią, objął mocno. Anielka podsmarkowała ze wzruszenia, gdy patrzyła na nich, tak do siebie podobnych, że mogliby się wydawać rodzeństwem, gdyby jedna z czarnych, kędzierzawych głów nie była przyprószona siwizną.

— A jednak nic nie ma za bezdurno — szepnęła.

— Ależ to zaszczyt dla mnie — wybuchnął Witold — że profesor powierza mi taką misję. Píše pracę o Lidze Narodów. O nieudolności Ligi Narodów. Trzeba sobie zdawać sprawę, jakie to ważne! Przecież po wojnie trzeba będzie powołać nową organizację...

— Po wojnie — przerwała mu Anielka — ale na razie ona jeszcze jest. Może ja bym... — zadumała się — zamiast żebyś ty do tej biblioteki chodził — mieszkanie profesorowi posprzątała, okna pomyła?

— Jest tam jakaś kobieta — odburknął. — I chłopak Rusin, tak mi przynajmniej wyglądał. Robicie z mamą taką hecę, jakbym szykował się do ataku na arsenał. Na arsenał, a nie na bibliotekę. Pewnie poza Niemcami pracują tam i Polacy. Dotrę jakoś do nich.

— Jeszcze jedna zgryzota dla mnie — powtórzyła matka. Witold pocałował ją w policzek, wyprostował się i przeszedł się po kuchni.

— Wciąż się wam zdaje, że jestem małym Witusiem.

— Dla mnie jesteś — powiedziała matka.

— Dla mnie też — ochryple ze wzruszenia dodała Anielka.

— A ja mam metr osiemdziesiąt i są osoby... są osoby, które to widzą.

— Co za osoby? — udobruchała się trochę matka.

— Choćby... profesor Chołodyński — odrzekł.

Ale nie myślał o profesorze, tylko o dziewczynie, którą dziś poznał, która miała trochę nadąsane, ale skore do uśmiechu usta, opaloną twarz ciemniejszą od włosów, i choć na młodszą siostrę mówiła „ty koszmarny bękarcie” — to wszystko razem było czarujące. To było czarujące, nawet jeśli Niemcy szli na Moskwę, Rommel zwyciężał w Afryce, polscy lotnicy ginęli w bitwie o Anglię, a biblioteka uniwersytecka była dobrze strzeżona przez okupanta.

II

— Czy pamięta pan, panie profesorze, jubilera Siebla z Zamarstynowskiej?

— Chyba tylko raz u niego byłem. I nawet... coś kupowałem.

— Tak, to było daleko od centrum, ale mimo to punkt świetny. Siebel miał klientów z całego Zamarstynowa aż po Brzuchowice, a to dzielnica willowa, i znany był z tego, że biżuterię sprowadzał z Wiednia, więc gdy ktoś szukał czegoś szczególnie pięknego...

— Dlaczego pan mi to opowiada? — przerwał profesor niezbyt uprzejmie. Student, którego może zbyt pochopnie prosił o wyszukanie kontaktów z pozostawionymi przez Niemców pracownikami biblioteki, emocjonalnie i chaotycznie relacjonował przebieg swoich zabiegów.

Witold nie spieszył się, zaczerpnął tylko tchu.

— Mój ojciec, jako cywilista, nieraz prowadził sprawy Siebla, a jubiler przy swoich rozległych i nie zawsze całkiem jasnych interesach miewał je często. Mój ojciec, jego kancelaria — uznał za słuszne dodać nawet z naciśkiem — miała nie tylko plenipotencje hrabiów Baworowskich, Gołuchowskich i Siemieńskich, ale także przyjmowała klientów ze sfer kupieckich...

Profesor odwrócił nieznacznie twarz ku oknu, za którym złoty jeszcze przed kilkoma dniami w swojej jesiennej szacie modrzew prezentował wyraźny już teraz rysunek konarów ciemniejących w coraz rzadszym igliwiu. Starzeję się, myślał, coraz częściej drażnią mnie ludzie młodzi. A przecież zaledwie przed kilku laty tak porywająca, wynagradzająca wszystko, wydała mu się młodość Lidii. Więc może drażnili go tylko chłopcy, myśl o tym, co oni mieli jeszcze przed sobą, a on za sobą i to już od tak dawna... Ale co oni mieli przed sobą? Teraz, w ten okrutny czas zmieniający wszelkie normalności świata. Może... a na pewno niektórzy z nich... mieli przed sobą tę ścianę, o którą każdy w końcu uderza czołem, a im miało się to zdarzyć tak wcześnie w najpiękniejszych chwilach człowieczej nadziei...

Witold tymczasem ciągnął:

— Więc kiedy zjawię się u tego Siebla i powiem, że jestem Czownicki, nie przestraszy się i odniesie się do mnie z zaufaniem. — Witold szukał

spojrzeniem oczu profesora, żeby z triumfem obwieścić wreszcie to, co powinien był powiedzieć na początku: — Córka Siebla pracuje w bibliotece.

— To... volksdeutsche? — profesor nie podzielił entuzjazmu swego gościa.

— Nie, panie profesorze, to Żydzi.

— Żydzi...? — nie mógł pojąć Chołodyński.

— Tak. Sądzę, że starego Siebla drogo musiało kosztować to, że do tej pory mieszkają w swoim mieszkaniu, że wprowadzie z gwiazdą Dawida na rękawie, ale jednak mogą poruszać się po mieście, a córka nadal pracuje w bibliotece uniwersyteckiej.

— Czy pracowała tam przedtem?

— Przed wojną, a także przez cały czas, gdy byli tu sowieci. Nie interesowała się sprawami sklepu, wiem to od kogoś, kto dobrze ją znał. Pasjonowały ją tylko książki; mówi trzema językami: niemieckim, francuskim i angielskim, była bardzo cenionym pracownikiem biblioteki, dlatego prawdopodobnie Niemcy ją zatrzymali.

— I pewnie, jak to często u młodych Żydówek, jest bardzo ładna? — wtrącił profesor z mimowolną ironią.

— Nie. Nawet trochę ułomna... może nie całkiem garbata, ale jednak prawa łopatka wyraźnie podwyższona i wypukła... Pokazano mi ją, gdy wychodziła z biblioteki.

— Biedna dziewczyna — profesor zawstydził się swego tonu sprzed chwili. — Stąd zapewne, przy braku innych zainteresowań życiowych, to pasjonowanie się książkami.

— Też tak sądzą — zgodził się Witold. Obserwował od dłuższej chwili przez szerokie okna za plecami profesora, co działo się w ogrodzie. Pojawił się tam najpierw Wasylko, ów młody Rusin, którego widział z naręczem drewna podczas swojej pierwszej wizyty w tym domu. Niósł szpadel na

ramieniu i rażno zmierzał ku grządkom pod płotem, porośłym już gdzieś chwastami po zebraniu warzyw. Nie widział jego twarzy, ale nie wiadomo dlaczego wyobrażał sobie, że rozjaśnia ją ten sam uśmiech błogiego szczęścia, z jakim niósł drewno zapatrzonej w stojącą w drzwiach kuchni kobietę. Bo ona właśnie szła za nim i mówiła do niego, wskazując miejsce, od którego należało zacząć kopanie. Ją także widział od tyłu, niepozorną, w za dużej jakiejś kurtce, w grzęznących w rozmokłej ziemi butach. Krótki ten pochód zamykał kot, postępujący za jej piętami.

— Kiedy ma pan zamiar nawiązać z nią kontakt? — spytał profesor.

— Pójdę tam nawet dziś. Bo... chyba nie ma już wiele czasu.

— Dlaczego? — spytał profesor ostrożnie.

— Podobno Niemcy przygotowują już obóz dla Żydów za cmentarzem janowskim. I może się zdarzyć, że Siebel... że nawet jego duże pieniądze... Panna Siebel, Chajka Siebel może nie będzie już pracować w bibliotece...

— Rozumiem.

— Więc trzeba się naprawdę śpieszyć, jeśli panu profesorowi zależy na tych materiałach.

— Bardzo mi zależy — potwierdził Chołodyński i niepotrzebnie z naciskiem, bo student dodał zaraz zapalczywie:

— Mnie też. I wydobędę je dla pana. Musi pan napisać te książki. A ja — uśmiechnął się z młodzieńczą chępliwością — do końca życia będę wspominał, że się do tego przyczyniłem.

— Tylko powtarzam panu — profesora to zaniepokoiło — żadnej przy tym brawury, lekceważenia koniecznej ostrożności! Bo i tę dziewczynę by pan naraził.

— Niech się pan profesor nie martwi — Witold wziął skrypt i notatki z wykładu, schował je do torby, z którą Anielka w dawnych latach udawała się na targ, taka nie wzbudzała podejrzeń. — Jakaś praktykę już mam.

Jaką on może mieć praktykę? zaniepokoił się jeszcze bardziej Chołodyński. Taki młodzik? Kiedy go pierwszy raz zobaczył, pomyślał, że gdyby się wcześniej ożenił, mógłby mieć takiego syna. Teraz ucieszył się prawie, że go nie ma. Ale zaraz wydało mu się to podłe i nikczemne, obcy chłopcy, nie powiązani z nim bólem serca, mieli dźwigać ciężar godności narodu w jego najgorszych chwilach.

— Bardzo proszę, niech pan uważa — powiedział ze smutkiem.

— Będę, będę uważał — przytaknął Witold trochę lekceważąco. Pożegnał się z profesorem i opuściwszy jego gabinet zbiegł po schodach. Drzwi na dole były otwarte, nie wiedział, czy ma je zatrzaskać, i już miał zapytać o to kobietę wciąż instruującą niezmiernie cierpliwego Wasylka co do kształtu przyszłych grządek, gdy na górze otworzyło się okno i rozległ się głos profesora:

— Lidko! Proszę o herbatę.

Kobieta powoli zwróciła głowę w tym kierunku.

— Ale jest tylko z jabłkowych łupin — odpowiedziała bez zachęty.

Profesor przez chwilę milczał.

— Niech będzie — zawołał wreszcie.

Witold zamknął cicho za sobą furtkę, co usłyszał tylko kot strzygąc czujnie uszami. Herbata z jabłkowych łupin była teraz najczęstszym napojem we wszystkich domach, ale fakt, że i profesor ją pijał, wydała się Witoldowi wojenną udreką, której pospolitość nie powinna spadać na każdego. Postanowił podkraść Anielce trochę herbaty — jeśli ją miała — i przy następnej bytności ofiarować profesorowi, zmyślając kłamstwo o paczce, którą niespodziewanie — ciekawe tylko skąd? — właśnie dostali.

Zerknął na zegarek i przyśpieszył kroku; Myszka czekała już na pewno na ich ławce w parku, co wobec nastania jesiennych chłódów było najoczywistszym dowodem zaciętego dziewczęcego uczucia. Tak, jak powie-

działa, gdy się tylko poznali, postanowiła być dla niego pociechą w ponury wojenny czas, ale to było coraz trudniejsze, gdy nie mieli gdzie się spotykać, a pogody robiły się nieprzychylnie wszelkiej bezdomności. Gdy zastał ją czekającą, podrywał ją zwykle z ławki i biegali po parku dla rozgrzewki, a któregoś dnia — musiało się to w końcu zdarzyć — zatrzymali się pod jakimś drzewem, objął ją razem z pniem, przycisnął do niego mocno i pocałował w dyszące usta.

Całował już wiele dziewczyn, lubił to i wiedział, że i one to lubiły, ale nigdy jeszcze nie doznał uczucia tak wstrząsającego szczęścia, że aż nogi ugięły się pod nim w kolanach przyciśniętych do jej zziębniętych kolan.

— To trzeba zapamiętać — powiedział cicho, gdy już mógł mówić, choć obydwójce jeszcze dyszeli, może już nie tylko po bieganiu dla rozgrzewki po parku.

— Co? Co trzeba zapamiętać?

— Ten pierwszy raz. Każdy pierwszy raz trzeba zapamiętać. Ja na przykład do dziś pamiętam chwilę, kiedy po raz pierwszy jadłem poziomki.

— Głupi jesteś — parsknęła, ale ciaśniej wsunęła się w jego ramiona, bo chyba to, że pocałunek skojarzył mu się z jedzeniem poziomek, musiało jej się wydać bardzo przyjemne. A potem nic już nie mówiła, bo znowu zaczął ją całować i poddawała się temu, zaciekle oddając pocałunki. Była, naprawdę była pociechą w tych dniach wszelkich smutków, a park Głowackiego, w którym się spotykali, niezbyt uczęszczany, stwarzał na udzielanie tej pociechy miejsce najlepsze pod słońcem. Tylko że... słońce już nie świeciło, a jesienne chłody stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Przyspieszył jeszcze kroku w poczuciu winy, że za długo przebywał u profesora, ale aż stanął z przykrego zdumienia, gdy spostrzegł, że z Myszką siedzi ktoś na ławce — nie obok niej, ale wyraźnie z nią, co do tego nie mogło być żadnej wątpliwości, rozmawiała z mężczyzną w jasnym płaszczu, wyraźną plamą odcinającym się na tle rosnących poza ławką krzewów. Ogarnął go niepokój. Podwójny niepokój — bo ten pierwszy był zwyczajną za-

zdrością, ale ten drugi krył w sobie coś gorszego: każdy człowiek oznaczał teraz niebezpieczeństwo i skądże można było wiedzieć, z jakimi zamiarami przysiadł się ktoś do samotnej dziewczyny w parku? I dlaczego z nim rozmawiała, dlaczego musiała z nim rozmawiać?

Na szczęście dość szybko rozpoznał w skulonym z zimna osobniku Zygmunta Teleszkę, którego przedstawił przed kilkoma dniami Myszcze, nie przeczuwając, że wysłodzi, że domyśli się, gdzie się spotykają.

— Ach, ty hamanie jeden! — zawołał z daleka. — Tak mnie podejść! Gdybym był wiedział...

Zygmunt wsunął głębiej głowę w podniesiony kołnierz swego ongiś, chyba jeszcze przed wojną, białego trencza.

— Przechodziłem akurat tędy...

— Przechodziłem akurat — kto by ci uwierzył.

— Ależ tak. Mycha! Powiedz, czy tak nie było.

— I już zdążyliście przejść na ty?

— Usiądź! — powiedziała Myszka. — I nie wściekaj się!

— A poza tym — ciągnął Zygmunt, coraz bezczelniejszy — czyż to nie razem spostrzeżliśmy Mychę na ulicy? I czy nie równocześnie — tobie i mnie — wydała się cudowna?

— I już jej to powiedziałaś? Czy od tego właśnie zacząłeś prezentację swoich wartości wewnętrznych, o których tyle mówisz?

— Chłopcy! — śmiała się Myszka. — Taż dajcie spokój!

— Ale właściwie dobrze, że tu jesteś — Witold nie zamierzał obrócić wszystkiego w żart. — Bo ja muszę pędzić na Zamarstynowską. Odprawisz Myszkę do domu.

— Najlepiej będzie — Myszka zerwała się z ławki — jeśli pójde sama. Wprawdzie moja mama uważa, że jak dziewczyny nikt nie odprowadza do domu, to już całkiem z nią źle...

— Ale twoja siostra, Tycia, skarży właśnie mamie, że tak często wystawujesz z apsztyflkantami w bramie. Przepraszam — zmitygował się — ale naprawdę muszę lecieć na Zamarstynowską. Profesor prosił mnie, że bym mu coś załatwił. — Pocałował Myszkę w rękę, na Zygmunta patrzył, jak na psa. — Bądź tu w poniedziałek o zwykłej porze.

— No, nie wiem... — nadała się.

— Proszę! Profesor zlecił mi naprawdę bardzo ważną sprawę. Tak ważną, że aż czuję się dumny, że właśnie do mnie się z nią zwrócił. Ty też byłabyś dumna, gdybyś wiedziała, o co chodzi. I ty także — ciszej mruknął do Zygmunta. — Więc przestań być taki nastypurczony...

— Ja jestem nastypurczony? To ty nadułeś się, jak mnie tylko tu zobaczyłeś...

— Przepraszam — powiedział jeszcze raz Witold, trzepnąwszy przyjaciela w ramię. Myszkę manifestacyjnie pocałował w policzek, żeby ten drań to jednak widział. — Odprowadź ją do domu, tylko weź sobie do serca, że myślami wciąż wam towarzyszę.

— Nie wygłupiaj się — powiedziała Myszka. Wciąż się dąsała. Nie wierzyła całkowicie w prośbę profesora, a jeśli nawet naprawdę obarczył nią swego studenta, to czy mogła być aż tak ważna...

Witold wyczuł jej wątpliwość.

— Profesor ma zamiar pisać... — zaczął, ale zaraz urwał. Ileż to razy zarzucał sobie, że za dużo gada, że papie dla głupiej chwalby, a czas nie był po temu, żeby jeden o drugim za dużo wiedział. Tę ostrożność wobec bliższych osób kiedy indziej trzeba by uznać za nikczemną, ale nie teraz. — Kiedyś może ci o tym powiem, może wam o tym powiem — poprawił się.

Pożegnał się pośpiesznie i wybiegł z parku, nie oglądając się nawet, czy oni także go opuścili, czy też usiedli znów na ławce. Wydało mu się błahe wobec zadania, które miał przed sobą, a którego powierzenie mu przez profesora naprawdę napawało go dumą; dopiero teraz po rozstaniu z Myszką i Zygmuntem w pełni to sobie uświadomił. Myślał o tym przez cały czas, stojąc na tylnym pomoście tramwaju, przepelnionego jak zwykle ponad miarę, przednia część wozu przeznaczona tylko dla Niemców była prawie pusta. Zamarstynowską szedł powoli. Mgliście pamiętał, w którym miejscu znajdował się okazały sklep jubлера Siebla; nad nim — jak zdążył się już dowiedzieć — miało być jego mieszkanie. Większość sklepów była zresztą zabita deskami, na niektórych z nich widniały urągliwie wielkie i dobitne napisy „JUDE”. Gdy na rok przed wojną rozpoczął studia, walka z obecnością Żydów na uniwersytecie wydawała mu się niewinną zabawą, nie myślało się przy tym zbyt wiele powtarzając hasła, które inni wykrzykiwali. Dopiero gdy dwóch chłopców o zbyt czarnych włosach, którzy uparli się, żeby siedzieć na wykładach razem z aryjskimi kolegami, dopiero gdy tych dwóch... jakoś zbyt brutalnie, zbyt tragicznie zostało z ławek usuniętych... zrodziła się pierwsza myśl... Ale nawet i wtedy nikł nie wyobrażał sobie, do czego może dojść, w co może się przerodzić niechęć do osiadłych tu od wieków przybyszów z obcej ziemi, umieszczona w narodowo-socjalistycznym programie sąsiedniego, potężnego kraju. Wstyd i złość nie mogły niczego teraz naprawić, niczemu zapobiec, co najwyżej mógł się wyrazić mało znaczącą i całkiem krótkotrwałą pomocą.

Ale on nie niósł jej jubilerowi Sieblowi i jego rodzinie, on się po nią do niego udawał.

I może jeszcze zwiększał niepewność jego losu, może zagrażał mu bardziej niż ci, którzy pozwolili mu jednak pozostać w jego mieszkaniu, z gwiazdą Dawida poruszać się po mieście, a pannie Chajce z tą gwiazdą na piersi udawać się co dnia do uniwersyteckiej biblioteki, gdzie mogła czuć się prawie bezpieczna w woni starych ksiąg, którą tak lubiła.

Zawahał się więc, zanim podniósł rękę do dzwonka przy drzwiach do mieszkania, które wreszcie znalazł nad sklepem, zabitym deskami jak wiele innych na tej ulicy. Zawahał się i stał długo, słysząc uderzenia swego serca tak wyraźnie, jakby ktoś kuł żelazo w ciemnej i zatęchłej czeluści schodów. Nie tak zapewne wyglądała ta klatka schodowa i nie takie panowały w niej wonie za świetności jubilera Siebla i miasta, w którym się urodził, prosperował i w którym zapewne miał chęć i nadzieję umrzeć po jak najdłuższym i najpomyślniejszym życiu.

Stał więc Witold przed jego drzwiami z kwaśnym uczuciem opuszczającej go nagle dumy, że taki oto cel miał przed sobą, że takim zadaniem zaszczycił go profesor Chołodyński. I dlaczego właściwie, dlaczego zgrywał się tak przed nim, z błazeńskim lekceważeniem podchodząc do tego, co na pewno — o, na pewno! zdał sobie wreszcie z tego sprawę — nie było wcale łatwe.

Odchrząknął, wydało mu się, że nie znaczenie słów, które miał wypowiedzieć za tymi drzwiami, ale jasność głosu wolnego od chrypki zakłopotania była tutaj ważna — i ciężką rękę podniósł do dzwonka.

Dzwonił długo. Po przedłużającej się ciszy za drzwiami rozległy się jakieś szmery i chroboty, jakby przestraszone stado dużych myszy rozbiegło się po podłodze. Wreszcie męski, ale nienaturalnie wysoki głos zapytał:

— Kto tam?

— Swój — odpowiedział głupio.

— Jaki swój? Co za swój?

— Proszę otworzyć. Niech się pan nie boi.

— Dlaczego ja się mam bać? Ja się wcale nie boję. Tylko nie mam gustu wpuszczać do domu każdego, kto bez zaproszenia do mnie przychodzi. Nie oczekuję nikogo. Niech pan sobie idzie.

— Jestem Czownicki.

Za drzwiami zaległa cisza. Wsłuchiwał się w nią tracąc prawie nadzieję, że zamilkły głos odezwie się ponownie. Odezwał się jednak i już nie tak piskliwie jak przedtem.

— Kto?

— Czownicki.

— Czownicki nie żyje. Cały Lwów wie o tym.

— Ja jestem jego synem.

— To każdy może powiedzieć. Każdy może sobie coś takiego wymyślić i przyjść pod drzwi do Siebla i powiedzieć: niech pan otwiera, jestem syn mecenasa! Ale tu tylu przychodziło, że ja już nikomu nie wierzę. I nic już nie mam. Nic, zupełnie nic! A papiery mam w porządku i niczym nie można mnie zastraszyć.

— Nie mam zamiaru pana straszyć. I jestem naprawdę synem mecenasa Czownickiego. Znał pan przecież dobrze ojca, prowadził pana sprawy.

— A czy ja mówię, że nie prowadził? Czy ja powiedziałem takie słowo? Ja się spłakałem, jak się dowiedziałem, że i pan mecenas był na Łąckiego. Takie piękne życie i taka straszna śmierć! Ale czy ja od razu z tego żalu mam wierzyć, że pan jest jego syn? I co by pan miał teraz do mnie za interes? Do mnie nikt już nie może mieć żadnego interesu.

— Ja mam. Bardzo ważną sprawę. I nie do pana, ale do pana córki. Niech pan spojrzy na mój ausweis i wpuści mnie wreszcie do środka.

Witold wsunął w otwór na listy swoje zaświadczenie z miejsca pracy, z owej Landwirtschaftliche Zentralstelle, zajmującej się zbieraniem i wysyłką do Rzeszy wszystkich ziemiopłodów z obszaru Galicji. Siebel wyszarpnął je z otworu po drugiej stronie drzwi i znów zapadła za nimi cisza przedłużająca się niepomiarowo.

— No co? — krzyknął Witold. — Wierzy mi pan teraz?

W otworze na listy ukazał się biały brzeg wysuwanego z powrotem ausweisu.

— Wierzę. W porządku. Tylko że mojej córki nie ma w domu.

— Nie ma w domu? — z powątpiewaniem spytał Witold. — Już chyba wróciła z biblioteki.

— Pan wie, gdzie ona pracuje?

— To chyba nie tajemnica? Wiem i dlatego przyszedłem. Panie Siebel, wpuści mnie pan w końcu, czy nie?

Rozległ się szcęk otwieranych zamków, opuszczanych łańcuchów. Ale drzwi uchylone zostały tylko na stopę i w tej wąskiej szparze ukazała się twarz niestarego jeszcze Żyda o starannie wygolonej twarzy. Spod szerokich czarnych brwi patrzyły uważne oczy.

— Niech ja chociaż zobaczę, że jest pan podobny do pana mecenasa.

— Jestem podobny do matki.

— Do ślicznej pani mecenasowej! To widać! — Siebel otworzył wreszcie drzwi i wpuścił gościa do zagraconego przedpokoju. — Jego oczy, ich spojrzenie traciło powoli ostrość i niepokój wypatrującego niebezpieczeństwo ptaka. — Pamiętam, jak matka prowadziła pana za rękę, kiedy był pan tycki szkut. Ubranko miał pan marynarskie i marynarską białą czapkę na głowie, białą z granatową wstążeczką. I taki był pan ładny, jak mama.

— Dziękuję panu — powiedział Witold. — Dziękuję za to wspomnienie. — Zdawało mu się, że troje drzwi wiodących z przedpokoju w głąb mieszkania, uchylonych, gdy wszedł — zamyka się teraz bezszelestnie, zawiera przed nim niegościnnie w panicznej obawie, którą może tylko u Siebla udało mu się zwalczyć. Jubiler też to musiał dostrzec, bo posunąwszy się ku drzwiom środkowym, zatrzymał się w pół drogi.

— I gdzież ja pana przyjmę? — podniósł ręce do głowy teatralnie zakłopotanym gestem. — Żona mi choruje i siostra żony się do nas sprowadziła — też chora... Zaka- parzone całe pomieszkanie. A Chajki nie ma, mówię panu, że jej nie ma.

— Panie Siebel — Witold postąpił ku niemu — nieważne, czy mnie pan poprosi do salonu, czy porozmawiamy w przedpokoju. Ja do pana przychodzę naprawdę w ważnej sprawie. I musi pan w niej pomóc. Chodzi o książki z biblioteki... O książki, które trzeba wydostać z biblioteki... I wcale nie dla mnie. Dla profesora Chołodyńskiego — panu pewnie to nazwisko niewiele mówi...

—Co znaczy, niewiele mówi? Całkiem dużo mi mówi. Pan profesor Chołodyński to mój klient! To było może dwa, może trzy lata przed wojną, ale takich klientów się pamięta. Zatelefonował przedtem do mnie i powiedział, że się żeni i że chciałby kupić narzeczonej jakiś bardzo piękny pierścionek. To ja mu na to, że u mnie są same bardzo piękne pierścionki, ja innych pierścionków w ogóle nie mam i żeby przyszedł z narzeczoną, bo pierścionek przecież trzeba zmierzyć, nie na każdy palec pasuje...

— Panie Siebel... — chciał mu przerwać Witold.

— Pan jest za młody, pan jeszcze narzeczonej pierścionka nie kupował, to pan o tym nie wie. A jubiler musi klientowi doradzić, pierścionek to nie harnadła do włosów i trzeba mieć zastanowienie przy takim sprawunku. I profesor przyszedł. Nie taki już młody i w cwikierze, a ona — panieneczka. I paluszki miała rzeczywiście cieniusieńkie, jak u lalki, ledwie dobrałem dla niej coś odpowiedniego: szafir otoczony brylancikami — cacuszko. Potem Chajka dowiedziała się na uniwersytecie, że profesor żeni się ze swoją studentką. Nie wiem, czy się ożenił.

— Ja też nie — przerwał znów Witold. — Ale to nie jest najważniejsze. Najważniejsze, że profesor pisze dwie książki i potrzebne mu są materiały z biblioteki...

Siebel postąpił ku zamkniętym drzwiom do pokoju, jakby miał zamiar za nimi się schronić.

— Panie Czownicki! Ja już panu powiedziałem, że Chajki nie ma.

— Ale przecież przed godziną policyjną wróci.

— To i pan będzie musiał lecieć, żeby zdążyć przed nią do domu.

— Przyjdę jutro po południu, niech pan tylko poprosi córkę, żeby na mnie czekała.

— W co pan chce wpakować moje biedne dziecko? — powiedział Siebel cicho. Niższy od Witolda, podniósł na niego swoje ptasie oczy, patrzył przejmująco. — Ona i tak jest dosyć nieszczęśliwa. My wszyscy... pan wie, my wszyscy, ale ona jeszcze więcej od innych.

Więć — chciał powiedzieć Witold, ale powstrzymał się od tego; nie z tego powodu, że uroda lub jej brak niewielkie miały teraz znaczenie, ale dlatego, że chciał się bronić przed wzruszeniem, że nie mógł sobie na nie pozwolić.

— Panie Siebel — powiedział odwracając wzrok od spojrzenia jubilera — profesor pisze książkę o Lidze Narodów, o tej gnuśnej i nieruchliwej Lidze Narodów, która pozwoliła Hitlerowi zagarniać kraj po kraju, która doprowadziła swoją beztroską tolerancją do tego, co się stało z Europą. I z nami wszystkimi. Gcwyby Liga Narodów zareagowała już w trzydziestym trzecim roku, kiedy zaczęły się prześladowania Żydów w Niemczech...

Drzwi, za którymi jubiler miał przed chwilą zamiar się schronić, jakby zdrząły, poruszone przez kogoś, może nieostrożnie pchnięte.

Siebel przesłonił sobie oczy małą, piegowatą dłonią.

— Po co mówić o tym, co się już stało? Panie Czownicki!

— Wykazanie błędów Ligi Narodów pozwoli uniknąć ich w organizacji, którą narody stworzą po tej wojnie. Służy przyszłości, nie rozumie pan

tego? — Witold zaczynał powoli tracić nadzieję w skuteczność swojej perswazji. — Nie rozumie pan tego? — powtórzył.

Siebel pokiwał głową: — Rozumiem. Tylko co ja mam się przejmować cudzą przyszłością, kiedy ja własnej przed sobą nie widzę?

— Tak nie można mówić, tak nie można myśleć — słabo zaproponował Witold.

— Pan tak nie myśli, bo pan nie jest Żydem. Widzi pan, myśmy mogli mieć jakąś nadzieję, dopóki on nie ruszył na Rosję. A on złamał pakt i ruszył!

— I o tym także profesor będzie pisał książkę — Witold Z coraz mniejszym przekonaniem przedkładał swoje nikłe, wobec tego co się działo, argumenty. — O tym, że Niemcy na przestrzeni dziejów nie dotrzymywały nigdy zawieranych przez siebie paktów.

Jubiler go nie słuchał. Odjął dłoń od oczu, patrzył gdzieś nad głową Witolda w smutnym zapamiętaniu, jakby udało mu się dogonić wzrokiem utraconą nadzieję.

— Żylibyśmy sobie tutaj, jak u Pana Boga za piecem, gdyby on nie złamał tego paktu.

— Jak u Pana Boga za piecem — powtórzył Witold cicho. Pożałował, że tu przyszedł, sprzeczność ludzkich interesów na tym małym skrawku ziemi, sprzeczność ludzkich uczuć wydała mu się największą przeszkodą rzucaną w poprzek przed każdą sprawą. I żadna nie była tu wspólna, żadna dla wszystkich oczywista. Wydał się sobie głupi i naiwny, że tak się przejął prośbą profesora, mógł spędzić to popołudnie z Myszka, Zygmunta udałoby się jakoś splawić i spacerowałiby sobie oboje aż do zmroku, a potem odprowadziłby ją do domu i długo całował w bramie.

— Panie Siebel — zaczął jeszcze raz z coraz mniejszą siłą przekonywania — proszę pana tylko o to, żeby pozwolił mi pan spotkać się z córką. Ona na pewno zrozumie...

— Już zrozumiałam! — Drzwi, które wciąż drżały i ku którym jubiler, cofając się, coraz bardziej się przybliżał — otworzyły się gwałtownie. Stała w nich niska dziewczyna, naznaczona piętnem kalectwa, wypukłą łopatką i spiczastą brodą, rażąco nie pasującą do górnej części twarzy, do pięknych oczu i gładkiego, wysokiego czoła pod burzą czarnych włosów. — Już zrozumiałam — powtórzyła. — Wydostanę co trzeba z biblioteki. Niech mi pan przyniesie spis tych książek.

— Chajka! — krzyknął jubiler; przyskoczył do córki, szarpnął ją za ramię. — Ja tobie nie pozwalam! Trzeba być całkiem myszygine, żeby się mieszać w takie rzeczy. Nie pozwalam ci, słyszysz?

— Cicho, tatunio, cicho! — powiedziała łagodnie, nie patrząc na ojca. Oczy, czarne jak węgle w podłużnym wykroju jeszcze bledszych od reszty twarzy powiek, utkwiła w przybyszu i posuwała się ku niemu powoli. — To naprawdę ważne, co profesor chce napisać. Choć nam to już nie pomoże.

— Dziękuję pani — powiedział Witold.

Siebel przyskoczył teraz do niego, pchnął w piersi, szarpnął za ramiona.

— Tak pan długo tu stał, tak długo mamili, aż pana usłyszała i w głowie jej się pomieszało od tego gadania. Kto ci pozwolił wyjść, kiedy powiedziałem, że cię nie ma? — krzyknął. Sara! Izaak! Zabierzcie ją! Zaraz ją stąd zabierzcie!

W głębi mieszkania nikt się nie poruszył, nikt nie nadbiegł stamtąd na ratunek.

Chajka odwróciła teraz twarz do ojca, uśmiechnęła się do niego.

— Muszę to zrobić, tatuniu. Chcę to zrobić! Już choćby dlatego, że ubędzie mi trochę tej pokory zwierzęcia bezwolnie prowadzonego na śmierć.

— Przecież wiesz, że robię wszystko... — zapienił się Siebel, ale spojrzawszy na Witolda, urwał. — Przecież wiesz — dokończył ciszej.

— Ale może się nie udać — powiedziała. — Więc niech mam chociaż to, że coś zrobiłam, że się na coś odważyłam. To dużo dla mnie znaczy.

— Moje biedne dziecko! — szepnął Siebel. Podniósł palec do oka, żeby otrzeć nim łzę, której nie było — oko, suche i czujne, patrzyło na gościa z namysłem. — Panie Czownicki! — powiedział nagle. — Pan mi z nieba spadł!

— Ja? Dlaczego? — zatrwożył się nie wiadomo czemu Witold.

— Zaraz się pan dowie. Chajka! Idź do siebie! Zrobiłaś już to głupstwo, że się zgodziłaś, i nie musisz już tu sterczeć. Człowiek chowa te dzieci, rozpada się nad nimi, a one potem należą do ojca już tylko przez to, że się o nie musi martwić. Myślenie mają swoje, i żeby człowiek skonał, żeby trupem padł, żadne nie ustąpi. Pan wie, co mi ten Izaak zrobił? Ta co ja będę panu gadał... Idź! — krzyknął na córkę — kiedy ci powiedziałem, żebyś tu nie sterczała!

— Niech pan przyniesie spis tych książek. Jak najprędzej! — powiedziała do Witolda. — Bo... może być za późno. Tatunio nie może mi zabronić.

— Słyszał pan? — Siebel chwycił się za głowę. — Tatunio nie może mi zabronić! Czego ja się doczekał? Czego ja się doczekał?!

— Jak najprędzej! — powtórzyła Chajka, cofając się do drzwi; cicho zamknęła je za sobą.

— No! Poszła! — odetchnął jubiler. Chwycił Witolda za ramię, pociągnął go ku dwóm taboretom stojącym w kącie przedpokoju. — Teraz możemy spokojnie porozmawiać.

— O czym? — zaniepokoił się znów Witold.

— Zaraz się pan dowie. A może napiłby się pan bon- gu? Przyniosę kieliszek.

— Dziękuję, nie piję.

— Przepraszam, że nie mogę pana poprosić do pokoju. Już mówiłem — żona chora i szwagierka chora, przy- taszczyła się do nas z całą rodziną. Niech się pan nie boi, to nie tyfus i nie dlatego proponowałem bongu na traktament, że to najlepsza dezynfekcja.

— Nie piję — powtórzył Witold.

— Rozumiem, pochwalam i nie nalegam. Ale młodzi ludzie teraz piją — dla animuszu i z rozpaczy — więc pomyślałem sobie... Panie Czownic- ki! Nie wyznałbym panu tego, gdyby pan nie był synem mego mecenasa, który z niejednych tarapatów mnie wyciągnął. A miałem je nie raz i nie dwa, jak to w interesach, pan wie...

— Do czego pan zmierza? Ja muszę niedługo iść.

— Już mówię. — Siebel chwycił Witolda za poły kurtki, przyciągnął do siebie, zbliżył twarz do jego twarzy, aż Witold cofnął się przed jego od- dechem przesyconym wonią cebuli i czosnku. — Pan myśli, że ja tu będę w tym Lwowie na śmierć czekał? Że ja skazę na nią moją żonę i dzieci? Bo my się tu niczego innego nie doczekamy. Teraz jeszcze się z nami ciackają — nie za bezdurno, może być pan pewny — w pomieszkaniu zostawili, pa- piery dali, Chajka i Izaak pracują, ale to się pewnego pięknego dnia skoń- czy. I stary Siebel wciąż o tym myśli i musi coś wymyślić, po to on ma przez całe życie ten łeb, co by go inni chcieli mieć choć ze dwa tygodnie...

— Panie Siebel — Witold chciał się uwolnić z uchwytu jego rąk, ale stary trzymał go mocno.

— Pan wie, w całej rodzinie ja jeden miałem taką kepele! I nie wiem, w kogo się wrodziłem, bo mój tatko to jej wcale nie miał. Co wziął do ręki, to mu przez palce przeciekało. Pamiętam, jak zawsze mówił: gdybym ja zaczął piasek wozić, to by ludzie przestali garnki i rynki nim szorować, gdybym został grabarzem, to by przestali umierać, a jakbym tragarzem został, to by przyszedł taki kryzys, że by nie było co nosić.

— Panie Siebel! — szamotał się Witold.

Jubiler nabrał tchu i mocniej dmuchnął w jego twarz cebulowo-czosnkowym oddechem.

— Postanowiłem uciekać! Przez Węgry, Rumunię i Turcję do Palestyny, bo te cholerniki może tam nie dojdą.

— Rommel jest w Afryce.

— Szlag na jego głowę! Ale Anglicy tam też są. I Polacy!

— Czego pan oczekuje ode mnie?

— Muszę sprzedać całe złoto, całe złoto i kamienie, za dolary oczywiście. Dolary łatwiej ukryć i przewieźć, pan rozumie?

— To rozumiem, ale nie rozumiem dlaczego pan to mówi mnie... akurat mnie...

— Pan mi pomoże! Pan mi pomoże jak najprędzej sprzedać złoto i kamienki, co są jeszcze u mnie. Mam takich dwóch, co już to robią, ale to za wolno idzie, a czasu jest mało, coraz mniej.

— Ja się na tym wcale nie znam. I nie mam głowy do interesów, tak jak pana tatko; też chyba, gdybym piasek zaczął wozić...

— Sza! Takiego czegoś to ja wcale nie chcę słuchać. Teraz są inne czasy. Teraz wszyscy handlują. Niech pan tylko popyta się wśród kolegów

— oni zarobią, pan zarobi. Przecież ja za bezdurno nic nie chcę. Teraz nikt za bezdurno nic nie robi. Najpierw pan spróbuje sprzedać jakąś drobnostkę. Ja jestem ryzykant — na pas blind. Przecież na pewno nie ma pan pieniędzy.

— No, nie mam — wyznał Witold, słabnąc.

— Widzi pan. I mama, pani mecenasowa, się ucieszy, jak pan coś do domu przyniesie. Może jej pan nawet powiedzieć, że to ze mną, że ze mną pan handluje...

— Broń Boże! Mama się przestraszy!

Siebel dopiero teraz uwolnił Witolda z uchwytu swych rąk.

— Rozumiem — powiedział cicho.

— Nie, nie — zaproponował Witold. — Nie dlatego, że... mama w ogóle taka nerwowa, po śmierci ojca i dlatego, że nie chce, żebym się w cokolwiek mieszał.

— To z czego żyjecie?

— Anielka, moja niańka, która jest wciąż u nas, chodzi na bazar, wyprzedaje co się da, trochę handluje...

— Nie wstyd panu, żeby stara kobieta...

— Ona wcale nie jest taka stara.

— To co, że nie stara. Ale baba! A pan chłop! Młody chłop! Dam panu na początek dwie obrączki. Ludzie się żenią, chociaż wojna. Powiem panu, ile ja chcę za nie. Co powyżej — to dla pana. Zgoda?

— Zgoda — wyjąkał Witold.

— Tylko... niech się pana nie gniewa, ale jaką ja mam gwarancję, że pan naprawdę jest Czownicki?

— Jak to...

— No, wie pan — Siebel podrapał się w głowę. — Te książki, co ma panu wynieść z biblioteki Chajka, to są głupstwa. A złoto to jest złoto. Niech się pan nie pogniewa — ja panu uwierzę dopiero wtedy, kiedy pan mi się pokaże w oknie swego domu, tam, gdzie ja chodziłem do pana mecenasa...

Witold wreszcie się roześmiał.

— Kiedy?

— Zaraz. Pojadę z panem tramwajem i zdążę jeszcze wrócić przed godziną policyjną. Niech się pan nie boi, w tramwaju nie odezwę się do pana, będziemy stać z dala od siebie...

— Panie Siebel — zawstydził się Witold — powiedziałem, że matka by się przestraszyła, gdyby dowiedziała się o naszych... o naszych kon-szachtach. Boi się o mnie... boi się wszystkiego. Ale ja... jeśli nawet przed wojną goniłem trochę Żydów na uniwersytecie, to z młodzieńczej pustoty...

— Na szczęście mój Izaak studiował w Bazylei. Tylko mu się zachciało, szajgicowi durnowatemu, na samą wojnę do domu wracać. Bo myślał, że go do wojska powołają.

— Każdy Polak się tego spodziewał.

Siebel ściągnął z szaragów płaszcz, nie włożył go jednak, tylko trzymał oburącz na piersi.

— Co pan powiedział?

— Że każdy Polak się tego spodziewał.

Oczy jubilera załśniły wilgocią.

— To ja dziękuję panu za to słowo.

Na ulicy i w tramwaju Witold nie pozwolił Sieblowi oddalać się od siebie, wyraźnie szedł z nim i wyraźnie razem z nim jechał — nakazał to sobie i przez cały czas zastanawiał się, czy nie poprosić go jednak do domu.

Ale jubiler sam się zatrzymał po drugiej stronie ulicy w miejscu, które musiało być doskonale widoczne z okien mieszkania.

— A teraz ajn, cwaj, draj, niech pan pędzi na górę — powiedział — i niech ja pana w oknie zobaczę. A jutro proszę przyjść. Do mnie i do Chajki.

Witold w kilku susach pokonał schody, wyminął Anielkę w przedpokoju i od razu skierował się do salonu, szeroko otworzył okno.

Zmrok już zapadał, niewysoka postać Siebla rozpląwała się w nim, musiał wyteżać wzrok, żeby go zobaczyć i nie był pewien, czy go widzi, może wcale tam nie stał, a może to, co się miało dokonać, cofnęło się we wcześniejszy czas i nie było na dole Siebla, w ogóle nigdzie go już nie było... Dotknął dłonią rozpalonego czoła. Dwa lata w nieustannym niepokoju i niepewności rodziły te myśli przerażające. Pomyślał z radosną tęsknotą o poniedziałkowym spotkaniu z Myszką. Była naprawdę pociechą, może nawet lekarstwem na wszystkie przeczucia i smutki.

— Co ty robisz? — zawołała matka, stając w drzwiach, w przeciagu, który rozwiewał jej włosy. — Wpadasz do domu, nie mówisz słowa i pędzisz do okna. Szedł ktoś za tobą?

— Nic — odpowiedział po długim milczeniu. — Zdawało mi się.

III

Piec dymił.

Lidka klęczała przed nim, wpychając w jego zakopcone palenisko kawałki drewna i zgniecione płachty gazet. Podpalała je osłoniętym dłonią płomykiem zapalniczki, ale ogień ogarniał je tylko na chwilę; gasły, osmoliwszy zaledwie trzaski, które ustawione w przewiewny, ażurowy stos — padały na ruszt, rozsypywały się w kolejną, swąd wydającą klęskę.

Parząc sobie palce wyjęła je z pieca, przegarnęła do czysta haczykiem ruszt i znów ułożyła z nich mały namiot wypełniony papierem; przez długą chwilę patrzyła na swoje dzieło pełna nowych nadziei. Podpaliwszy papier, szybko zamknęła górne drzwiczki i uchyliła zaledwie te od popielnika. W piecu zagrzmiało. Gwałtowny płomień ogarnął drewno, wydając triumfalne pomruki i trzaski. Lidka uśmiechnęła się do siebie, przysiadła na piętach, zasłuchana w mowę pieca, który wreszcie ulitował się nad nią i przekonywał ją najwyraźniej o swoich dobrych chęciach, prawie przeproszał za dotychczasowe grymasy.

W najodpowiedniejszym, jak sądziła, momencie otworzyła górne drzwiczki i włożyła na płonące drewno kilka kawałków węgla, zamknęła je znowu, wsłuchując się w to, co działo się w piecu. Ogień śpiewał, nigdy dotąd nie budziło to w niej takiego zachwytu. Ani w domu rodziców w Czortkowie, gdzie paleniem zajmowała się Nastka, ani tutaj w tej willi na Kolonii Profesorskiej, która wydawała jej się tak zachwycająca, jak długo — w ciągu kilku przedwojennych lat — utrzymywaniem w niej czystości i ciepła zajmowały się kolejne służące. Od początku wojny, gdy ostatnią z nich trzeba było odprawić głównie dlatego, że — za sowietów — praca w cudzych domach stała się nagle ujmą dla kobiet, palił w piecach Wasylko, syn wdowy Hawryczukowej, mieszkającej w pobliżu, chyba trochę niedorozwinięty umysłowo, co nie przeszkadzało mu w domowych posługach. Ale dlaczego dziś nie przyszedł? Zjawiał się dotąd niezawodnie co dnia, żeby po wykonaniu swoich czynności zasiąść przy stole w kuchni, wypić kubek kawy zbożowej, zagryzając kawałkiem chleba, lub zjeść talerz zupy. Dlaczego dziś nie przyszedł?

Rozmyślając nad tym ponuro, usłyszała nagle — tak, usłyszała zupełną ciszę w piecu, z którego pociemniałego wnętrza zaczęła się znów wydobywać smuga dymu.

Zakłęła. Głośno, była sama w domu, mogła sobie na to pozwolić, uparczywa anielskość nie obowiązywała jej w takich chwilach. Gdzież ten Wasylko, ten świrkowaty Wasylko się podziewał? Akurat dziś poszedł gdzieś

na wander, sprąłaby go, aż by drancie leciały, gdyby się zjawił. Ale się nie zjawiał, a dym buchał z pieca coraz silniej, otworzyła więc drzwiczki i zaczęła dmuchać w zetlały papier, w osmolone drewno, w nietknięty płomieniem węgiel. Spalone strzępy gazet wiatr, miast do komina, wywiał na pokój, cofnęła się, ale i tak uderzyły ją w twarz, pokryły sadzą i popiołem ręce. Zaklęła jeszcze raz, chwyciła haczyk i wygarnęła całą zawartość pieca na chroniącą podłogę blachę przed nim. Mały węgielek, który jednak zdołał rozżarzyć się w piecu, potoczył się na brzeg dywanu. Zauważyła to dopiero gdy, prócz dymu, swąd tłącej się wełny wypełnił pokój. Zgarnęła żar gwałtownym uderzeniem pogrzebacza, a wtedy obok wypalonego miejsca przyciemniła jasny dywan podłużna plama z sadzy. Wpatrywała się w nią w bezruchu, oszołomiona tym co się stało; jeszcze wciąż porządek w tym domu, jego wygląd i ład, nie traciły wartości wobec tego, co działo się poza nim i każda strata była stratą nieprzysłowną do innych. Przesunęła obolałym, poparzoną palcem po osmolonej wełnie dywanu, sadza roztała się, zagłębiła w jego puszystość.

Kupili go wkrótce po ślubie. Przeznaczony był do sypialni, ale gdy dostarczono go ze sklepu, uznali, a raczej ona doszła do tego wniosku, że jest za piękny jak na sypialnię, w której w końcu nikt ich nie odwiedza, że powinien ozdobić jego gabinet. Stefan nie chciał się z nią zgodzić.

— Twoje nóżki — mówił — gdy rano wstajesz z łóżka, powinny dotykać czegoś miękkiego, puszystego — nie uwierzysz, nawet jeśli nie tobie, to mnie sprawisz tym przyjemność.

Byli wtedy na etapie tych wszystkich śmiesznych zdrobnień, które wprawiały ją w bezustanny zachwyt — oto poważny i poważany człowiek, profesor uniwersytetu, co jej matka, nauczycielka szkoły powszechnej, podkreślała wśród swoich koleżanek prawie z nabożeństwem, oto ten człowiek, wprawiający w drzenie wszystkich studentów, gdy się do niego zbliżali, do niej zwracał się zawsze pieszczotliwym tonem, mówił: nóżki, rączki, paluszki i wcale nie wydawał się przy tym śmieszny, choć nie mogłaby sobie tego wyobrazić, gdy po raz pierwszy przyszła na jego wykład.

— Twoje nóżki — powiedział — muszą zanurzać się co rana w tę ciepłą miękkość, proszę, zrób to dla mnie.

— Nie, nie! — upierała się. — Ja, gdy wstaję, od razu wskakuję w ranne pantofle. Nie chodzę boso po dywanie.

— Bo ten, który mieliśmy dotąd w sypialni, nie jest tak puszysty. A po tym nowym będziesz ęhodzić. A ja będę na to patrzył.

Całowali się długo nad zwiniętym w rulon dywanem i to także było wciąż zadziwiająco-zachwycające — taki poważny i poważany człowiek, a lubił się całować, lubił ją całować, jak młokos.

Ale jednak nie ustępowała.

— Nie, nie — mruzczała między pocałunkami — szkoda tego dywanu do sypialni. Kto go tam będzie widział?

— Ty i ja. To wystarczy.

— Ty i ja bywamy także w twoim gabinecie. Ale oprócz nas bywają tam twoi koledzy. Nawet pan rektor!

Znowu ją całował, całował i śmiał się.

— Nawet pan rektor! Moja mała, głupiutka studentka!

I tego także nie mogłaby sobie wyobrazić, uczestnicząc po raz pierwszy w wykładzie swego późniejszego męża. Że będzie ze śmiechem mówił o rektorze, trzymając ją w objęciach.

Dywan pozostał więc na razie nierozwinięty, a oni nagle znaleźli się w łóżku i było cudownie, on mówił, on powtarzał, że było cudownie i czekał, żeby i ona to powiedziała, więc mówiła, choć nie wiedziała jakby mogło być inaczej, była całkiem niewinna, kiedy ją wziął prosto z ławki uniwersyteckiej do tego pięknego domu, nie miała żadnych romansów z kolegami, choć jej przyjaciółkom zdarzały się nawet skrobanki, zwierzały się z tego, a ją utrzymywało to w niewinności skuteczniej niż kazania księdza i prze-

strogi matki. Moje głupiątko! — mruzczał uszczęśliwiony podczas nocy poślubnej, a ona płakała z twarzą zanurzoną w poduszkę i musiała się potem uczyć miłości, co noc zdając kolokwium.

Dywan w końcu rozłożono w gabinecie i był jego niewątpliwą ozdobą.

Do tej chwili.

Patrzyła z rozpaczą na wypaloną dziurę i plamę od sadzy, przełknęła gromadzące się w gardle łzy. Stefan miał tego dnia wykład na mieście — studenci zbierali się w coraz to innych mieszkaniach — za godzinę, dwie powinien wrócić, tak się cieszyła, że będzie już ciepło w pokoju, gdy zasiądzie do pracy nad książką. A tu piec wciąż dymił, dziura i plama zeszpeciły dywan... tylko... on może tego od razu nie zauważy. Że w pokoju zimno — tak, ale na dywan pewnie nie zwróci uwagi, coraz mniej uwagi poświęcał ostatnio temu, co go otaczało...

Ułożyła znów trzaski na ruszcie pieca, podłożyła pod nie papier, zapaliła. Jak poprzednio, zamknęła górne drzwiczki, uchyliła te od popielnika i ogień zaśpiewał radośnie, to była naprawdę chwila pięknej nadziei, że tym razem się powiedzie, że moment nałożenia węgla zostanie wybrany właściwiej, że w piecu nie uciszy się nagle, nie pociemnieje i „klęska” nie buchnie dymem prosto w twarz.

A jednak tak się stało. Kłęby gryzącego dymu wydostawały się na pokój, uporczywie demonstrując złośliwość pieca, który bawił się z nią w kotka i myszkę, drwił z jej łatwowierności, naigrawał się z niedołęstwa.

Najpierw znów zakłęła, a potem rozplakała się, głośno, jak dziecko, wierzchem dłoni rozmazując łzy na policzkach. Ale żalność ustąpiła wkrótce wściekłości, chwyciła haczyk i jeszcze raz wygarnęła z pieca całą zawartość paleniska. Swąd powstał jeszcze większy, powieki zaczęły ją piec, drapało w gardle. Kiedyż ta przekłeta wojna się skończy? Kiedyż w służbówce zamieszka potulna, zgrabna do wszelkich zajęć domowych dziewczyna, a ona będzie mogła chodzić na południową kawę do „George'a”, spotykać się tam ze znajomymi i czekać na męża, który po wykładach zaw-

sze wstępował tam po nią. Musiało to przecież kiedyś wrócić. Niemcom nie udawało się wciąż zdobyć Moskwy, zaryli się w rosyjskich śniegach, „błyskawiczna wojna” okazała się wcale nie taka błyskawiczna, wreszcie całkiem niebłyskawiczna, a to już pozwalało tlić się iskierce nadziei na dawne życie, na dawną wesołość ludzi i miasta...

Ułożyła znów w piecu stertę z papieru i drewna, podpaliła, dołożyła węgla w najbardziej, jak jej się wydawało, odpowiednim momencie, a gdy i tym razem wszystko zagasło, chwyciła haczyk, kilkoma gwałtownymi ruchami opróżniła ruszt i, płacząc i klnąc, zaczęła jeszcze raz od początku swoje „usiłowania nieudolne”. To był zwrot z prawa, przyplątał się w myślach nie wiadomo skąd, bo od dawna nie myślała już o swoich studiach, zakończonych wprawdzie chwalebnie, ale bez żadnego pożytku; na bezpłatną aplikanturę w sądzie lub w kancelarii adwokackiej mąż nie chciał się zgodzić, wolał ją mieć w domu, a i jej bardziej odpowiadało obnoszenie po kawiarniach nowych strojów, niż wycieranie łokci w sądowych czy adwokackich kancelariach...

Nie przestając kląć i płakać, ponawiała ze wściekłym uporem swoje wciąż kończące się sromotną klęską wysiłki — aż usłyszała dzwonek u drzwi na dole i spojrzała z przerażeniem na zegarek. Stefan już wrócił z wykładu, a piec wciąż dymił i obiad, który zwykle jedli późno, był niegotowy...

Zbiegła po schodach, otworzyła drzwi.

— Co się stało? — spytał profesor nie przestępując progu, a nawet o krok się cofnąwszy. Stał za nim student, którego kilka razy już widziała, z teczką wypchaną książkami.

— Piec dymi w twoim gabinecie — obwieściła przez
łzy.

— A Wasylko?

— Wasylko nie przyszedł.

— Po co się do tego brałaś? Sam... sam bym napalił — rzekł profesor słabo. Wszedł do przedpokoju, student za nim. — Pan Czownicki — przedstawił go. — Moja żona — dodał z wahaniem, a ona pomyślała, że nie była to najodpowiedniejsza chwila na zawieranie jakichkolwiek znajomości.

— Przepraszam — szepnęła, odgarniając z czoła włosy czarnymi od sadzy palcami.

— Sam bym napalił... — powtórzył profesor, jeszcze bezradniej niż przed chwilą.

— Może ja — ochoczo zgłosił swą gotowość Witold. — Chętnie pomogę... — urwał, zdając sobie sprawę, że rozpałał tylko ogniska na obozach harcerskich, a to było coś zupełnie innego, niż palenie w piecach, co nieraz i Anielce sprawiało dużo kłopotu.

Ale na szczęście ścieżką od furtki biegł już Wasylko. Zdyszany stanął w nie zamkniętych jeszcze drzwiach.

— Jestem! — zawołał z przeproszeniem, obawą, ale i triumfem w tym jednym słowie.

— Otże batiarze jeden! — krzyknęła Lidia. — Teraz dopiero przychodzisz? Gdzieżeś ty był?

— Na szkoleniu! — obwieścił. I znowu w tym jednym słowie zawarł kilka pomieszanych uczuć. Ale i duma była wśród nich także.

— Gdzie? — spytała zdumiona.

— Na szkoleniu — powtórzył, mniej już jednak pewny swojej dumy.

Czyżby student jeszcze jednego tajnego uniwersytetu? — pomyślał zgryźliwie profesor. A głośno dodał, ale bez nagany, raczej z pokornym przyznaniem się do braku zdolności w sprawach, co do których inni doszli do pełnej perfekcji:

— Nie chce się palić w moim gabinecie. Pani tak się nameczyła...

— Zaraz ogień rozduję — Wasylko skoczył na schody, Lidia, błogosławiąc jego przybycie, pobiegła za nim.

Profesor z niezbyt wyraźną miną zwrócił się do Witolda:

— Nie tylko za sowietów skłaniałem się ku twierdzeniu, że klasa robotnicza jest przodującą siłą narodu. Są chwile, gdy humaniści psu na będą się nie zdają...

— Pan profesor nie mówi tego poważnie — przeraził się Witold.

— Oczywiście, że żartuję, mój chłopcze, ale gorzki to żart, musiałbym dziś marznąć, gdyby Wasylko się nie zjawił, bo głowę daję, że ani pan, a tym bardziej ja nie pokonalibyśmy oporu pieca w moim gabinecie. Widział pan, jak wyglądała moja biedna żona...

— Może mnie by się udało — bąknął Witold.

— Wolę, że udało się panu wydobyć tych książek z biblioteki. Proszę podziękować pannie Siebel. Nigdy jej tego nie zapomnę. Szczególnie jestem wdzięczny za pisma Kellogga i tekst paktu z Briandem. Kiedyś starannie go studiowałem, ale bałem się, że pamięć może mnie zawieść.

Witold wypakowywał książki z torby, rozglądając się, gdzie mógłby je położyć. Profesor otworzył przed nim drzwi do saloniku, nie używanego chyba podczas zimy, chłód panował w nim przejmujący.

— My opalamy gazem pokoje najbliższe kuchni — powiedział; coraz bardziej było mu żal profesora. Przed kilkoma dniami przyniósł mu trochę herbaty, teraz rad by użyczyć mu ciepła swego domu, gdyby to było możliwe.

— W jaki sposób? — spytał profesor bez zainteresowania, jakby z góry wykluczając szanse poprawy swego wojennego bytowania.

— Anielka zdobyła skądś... zdobyliśmy skądś — poprawił się Witold — coś w rodzaju gazowych rusztów. Odpowiednio przedłużony przewód pozwala zapalać je poza kuchnią. W nocy, gdy gaz jest najsilniejszy, nawet

dość duży pokój nagrzewa się bardzo szybko. Tylko, że... także dość szybko stygnie, ale ogrzać się można. Przy braku opału to jedyny ratunek. Postaram się o coś takiego dla pana profesora.

— Byłbym bardzo wdzięczny. Ale czy nie wykorzystuję pana?

— Będę szczęśliwy mogąc zdobyć to dla pana profesora.

Chołodyński zdjął okulary i patrzył przez chwilę na Witolda nie widząc go wyraźnie, ale nie było mu to potrzebne. Zdumiewająco pocieszający, wśród zmieniających się z dnia na dzień wojennych obyczajów, był szacunek okazywany wciąż swoim profesorom przez chłopców, którzy często trudniejsze niż oni podejmowali zadania.

— Bardzo... bardzo wdzięczny... — powtórzył, nie myśląc jednak o owym ruszcie gazowym, pozwalającym ogrzać mieszkanie.

Witold pożegnał się; już za progiem zaczął zastanawiać się, w jaki sposób podlizać się Anielce, żeby pomogła mu w spełnieniu danej przed chwilą obietnicy.

Wasyłko tymczasem walczył z piecem, I jemu początkowo dym buchał w twarz, co Lidii sprawiało nawet całkiem głupią, równocześnie jednak zadośćczyniącą satysfakcję. Ale przy kolejnym niepowodzeniu Wasyłko podniósł się z klęczek i otworzył okno, po prostu otworzył okno, a dym cofnął się od razu w głąb pieca, ogień rozgorzał, w kominie zahuczało. Wasyłko dołożył jeszcze kilka większych brył węgla, a gdy i one się zajęły, podniósł na Lidię radosne oczy.

— Do licha! — zawołała. — Co ma otwarcie okna do palenia w piecu?

— A taki ma! — roześmiał się.

— Jakież czary odprawiasz. Skąd wiesz, że tak trzeba zrobić?

— Mamcia zawsze tak robi, jak się palić w piecu nie chce.

— Mamcia... — Lidia pokiwała głową. — Powinnam iść do twojej mamci na naukę.

Wyraz twarzy Wasylka spoważniał.

— Ona ma swoją naukę, pani swoją. Jednej z drugą nie pomieszasz.

— Nie pomieszasz — zgodziła się po chwili zadumy Lidia.

— Już można przymknąć piec — powiedział Wasylko.

— A nie wygaśnie?

— Nie — uśmiechnął się z wyższością, pewny swojej od mamci nabytej nauki.

— No, na twoją odpowiedzialność.

— Na moją!

Mówił całkiem poprawnie po polsku, do czego przyuczyła go i zmusiła Lidia w ciągu prawie dwuletniego posługiwania w jej domu. Za sowietów chodził do ukraińskiej szkoły, w domu także na pewno po polsku nie rozmawiał, u Chołodyńskich jednak chętnie poddawał się tym wymogom, wypatrując zadowolenia na twarzy Lidii po każdym poprawnie wymówionym polskim słowie.

— Chodź na dół — powiedziała. — Obierzesz kartofli, a potem odgarniesz śnieg ze ścieżki.

W kuchni perkotała na gazie do połowy garnka wygotowana zupa. Lidia z rezygnacją zanurzyła w niej łyżkę.

— Zapomniałam o niej, zupełna sałamacha się zrobiła.

— To dobrze — powiedział Wasylko. — Nie lubię rzadkiej juszki. — Popatrywał na garnek, nie zabierając się wcale do obierania ziemniaków.

— Pewnie jesteś głodny?

— Ta jeszcze jak! — przytaknął żarliwie.

Dolała do kaszy wody, dołożyła łyżkę skwarek, poczekała, aż się zupa zagotuje.

— Siadaj! — powiedziała do Wasylka. — Najpierw zjesz.

Ale z kredensu wyjęła dwa talerze, dwie łyżki — i z wahaniem postawiła na stole. Wyszła do przedpokoju.

— Stefan! — zawołała. — Gdzie jesteś?

Profesor stał wciąż w saloniku; nie zdjawszy futra, przeglądał przyniesione przez Czownickiego książki.

— Przez ten piec obiadu nie zdążyłam zrobić. Ale zupę już mam. Zjesz?

— Zjem — odpowiedział, nie odwracając oczu od czytanego tekstu.

— To chodź do kuchni.

Teraz podniósł głowę, popatrzył na nią w milczeniu.

— Przecież w kuchni je Wasylko.

Chciała się roześmiać, ale się nie roześmiała. I nie powiedziała: Cóż z tego, że w kuchni je Wasylko, że będzie tam jadł Wasylko?

— Zjesz tutaj? — spytała. — Tu strasznie zimno.

— Zostanę w futrze. — Usiadł przy stole, odsunął na bok książki i czekał na zupę, wsunawszy głowę głęboko w oposowy kołnierz, a gdy postawiła przed nim dymiący talerz, od razu zabrał się do jedzenia. — Dobra! — powiedział, choć na pewno dobra nie była.

Zrozumiała, że poczuł się niezadowolony z siebie i postanowił to jakoś zagadać — przed sobą i przed nią. To było łatwiejsze, niż poddanie się wojnie rezygnacją ze wszystkiego, do czego przywykł.

Wasylko też zupę pochwalił, ale w jego wypadku była pewna, że zrobił to szczerze. Kromkę przydziałowego, ciemnego chleba, którą mu do niej

dała, pokruszył do talerza i jadł z namaszczeniem, pilnie uważając, żeby łyżką wyławiać równocześnie kawałek chleba i kilka skwarków.

Sobie naląła resztę zupy i przysiadła na krzeselku opodal stołu, opierając talerz na uniesionych kolanach.

— Powiedz mi, Wasylku — zaczęła ostrożnie — co to za szkolenie, na którym byłeś?

Siorbał zupę i nie odpowiadał.

— Co to za szkolenie? — powtórzyła.

Wzruszył ramionami.

— Takie tam...

Gdy wciąż patrzyła pytająco, oczekując odpowiedzi, dodał ciszej:

— Musiałem pójść. Dadzą buty. I ubranie.

— Buty i ubranie?

— Tak powiedzieli. Ale niech się pani nie boi — skończył jeść, odsunął talerz, obtarł usta dłonią — niech się pani nie boi, ja będę przychodził. Trochę później niż zawsze, ale wszystko porobię, wszystko porobię, co pani każe! — Patrzył żarliwie, oczy zaśniły mu łzami. — Ja bym poplątacji dostał, jakbym tu nie przychodził.

— Co ty wygadujesz! — ofuknęła go. — Przecież kiedyś tak będzie. Stary chłop się z ciebie robi. Znajdziesz sobie kiedyś lepsze zajęcie.

— Nie! — potrząsnął głową. — Nie chcę!

— I ja nie chcę — roześmiała się, żeby go udobruchać. — Nie myśl o tym.

Ale w nocy, przed zaśnięciem, gdy profesor, odłożywszy książkę, zgasił już światło — powiedziała cicho:

— Boję się o Wasylka.

— O Wasylka? Ty? Dlaczego?

— Nie wiem jeszcze dokładnie dlaczego. Ale boję się.

— Co ty wygadujesz? — Profesor choć miał zamiar ułożyć się już na prawym boku, na którym zwykle zasypiał, odwrócił się ku niej, położył dłoń na jej czole. — Co ci przychodzi do głowy?

— Bo bredził dziś o czymś, czego nie zdołałam zrozumieć. Albo celowo tak mówił; nie chciał, żebym zrozumiała.

— Posądzasz go aż o taką finezję?

— Chyba spryt — woli, żebym za wcześnie nie pojęła.

— O czymże więc mówił, u Boga Ojca? — zniecierpliwił się profesor.

Lidia wyciągnęła rękę spod kołdry, przycisnęła mocniej jego dłoń do swego czoła.

— Bąknął tylko, że był na jakimś szkoleniu.

— To słyszałem.

— Ale potem w kuchni powiedział mi, że musiał pójść, bo pewnie dawać będą za to buty i ubranie.

— Kto? Kto będzie dawać?

— Tego właśnie nie wiem.

— Trzeba było zapytać.

— Chciałam, ale zaczął mnie natychmiast zapewniać, że będzie przychodzić do nas, jak dotychczas,,. tylko trochę później.

— Trzeba było zapytać — powtórzył profesor.

— Chyba by mi nie powiedział, bo w ogóle mówił o tym tak niechętnie...

— A o to bym go nie posądzał.

— O co?

— Raczej sądziłbym, że będzie dumny... I może jest — tylko nie przed tobą.

Teraz ona powiedziała:

— Co ty wygadujesz? — Naciągając kołdrę na plecy, bo w sypialni panował lodowaty chłód, przywarła piersiami do jego piersi, zbliżyła twarz do jego twarzy. — Przede mną nie ma tajemnic.

— Już zaczął je mieć.

— Ale dlaczego? Dlaczego?

— Nie denerwuj się. Nie powinnaś się denerwować. To było do przewidzenia.

— Co było do przewidzenia?

Profesor odjął dłoń od czoła żony, poszukał pod kołdrą butelki z gojącą wodą, objął ją palcami. Wstrząsnął nim dreszcz.

— Że też musiałaś zacząć przed snem tę rozmowę...

— Co było do przewidzenia? — powtórzyła.

— W rozstrzeliwaniu profesorów na Wzgórzach Wóleckich prócz hitlerowców brali udział nacjonaści ukraińscy z batalionu SS „Nachtigall”. Ciekawe, czy pojęli, jak poetycką Niemcy dali im nazwę?

— Mów o Wasylku! — krzyknęła.

— Właśnie o nim mówię. To, co teraz powstaje, będzie już nie batalionem, a dywizją SS „Galizien”.

— Skąd wiesz?

— Wszyscy o tym mówią na mieście.

Lidia usunęła się na swoją poduszkę, zamilkła.

— Śpij! — powiedział profesor.

Ale on też nie zasnął. W długie noce, gdy sen nie przychodził, płoszone niespokojnymi myślami, nauczyła się rozpoznawać po oddechu, czy mąż śpi, czy też wpatruje się, tak jak ona, w ciemność. Gdy się kochali, nie zasypiali potem dawnym zwyczajem w objęciu, ale odsuwali się od siebie, osaczeni znów przez smutki, którymi nie chcieli się wzajemnie zarażać.

A przecież były wspólne i nikogo z Polaków nie opuszczały w tym mieście: przez całe noce ulicami krążyły patrole ukraińskiej policji, ich krok dudnił w uszach, nawet gdy nie przechodziły koło domu, nawet gdy trwała, jakby w ludzkim lęku przyczajona cisza — każdej chwili mógł ją przeciąć ostry odgłos wystrzału, krzyk, beznadziejne i złudne wołanie o pomoc.

Teraz też, choć ogród oddzielał willę od ulicy, wydało jej się, że słyszy ciężki, miarowy krok przechodzącego mimo, umundurowanego niebezpieczeństwa. Oby przeszło, oby minęło ich dom, oby się przed nim nie zatrzymało! O siebie się nie bała, nie wyobrażała sobie, że mogłoby jej coś zagrażać. Drżała o Stefana, nad jego głową gromadziło się tyle zagrożeń, że każdej chwili kroki maszerujących ulicą władców miasta mogły zatrzymać się przed ich domem. Był Polakiem o nazwisku znanym i na pewno odnotowanym w odpowiednich rejestrach, wdał się w potajemne nauczanie, a Niemcy, gdy tylko tu weszli, zaznaczyli salwami na Wzgórzach Wóleckich swój stosunek do polskich profesorów. Pisał ponadto tę pracę, tak dla nich wrogą i kręcił się wciąż koło niego, donosząc mu potrzebne książki, ów chłopaczek w wyglansowanych prowokacyjnie oficerkach; jakże lekko-myślna, jak przerażająco nierozważna była ta młodzież, obnosząca się pod okiem Niemców i Ukraińców ze swoją brawurą.

Ta młodzież... myślała, a sen wciąż nie przychodził. Czyżby już do niej nie należała? Miała dwadzieścia sześć lat, ale chyba nie wiek, choć czasem wydawała się sobie zupełnie stara, odsunął ją poza główny nurt życia. Sprzątała, prała, gotowała, robiła skromne wojenne sprawunki... A może to właśnie było najlepsze — żeby w bezustannym zmęczeniu mijał czas? Naj-

lepsze, choć niewystarczające. Grzeszyła, myśląc tak, na pewno grzeszyła. Czy nie była szczęśliwa każda chwila, w której nie działo się nic złego, nic gorszego ponad to, co już się stało?

Ten człowiek, z którym zamierzała spędzić życie, a przynajmniej — ponieważ był dużo od niej starszy — tak radośnie ofiarowaną mu swoją młodość, ten człowiek był wciąż z nią; jeszcze wojna go jej nie zabrała, jeszcze każdy dzień zaczyna się od szczęśliwej świadomości, że są razem, że budzą się obok siebie, że obok siebie zasną.

Przypomniała jej się noc, spędzona po raz pierwszy z mężem w domu jej rodziców w Czortkowie. Wrócili z podróży poślubnej do Włoch, a ponieważ profesorowie uniwersytetu mieli wakacje aż do października, na wrzesień pojechali do Czortkowa. Dom rodziców stał nad Seretem, ogród pochyłym zboczem schodził aż do jego brzegu. W nocy słyszało się przez otwarte okno szmer wody, wartko spływającej po kamieniach.

— Czy pamiętasz — zapytał, bardzo już senny — jak morze waliło o skały pod Palermo? To było piękne, gdy się na to patrzyło, ale w nocy, szczerze mówiąc, wolałbym ciszę, nieraz długo nie mogłem zasnąć. A ten szmer tutaj działa usypiająco...

— Tak — szepnęła — zawsze działał tak na mnie.

Ale tamtej nocy nie spała. Każdemu, komu by o tym

powiedziała, wydawałoby się to śmieszne — nie spała ze szczęścia. Nie chciała stracić ani jednej chwili z uświadamiania sobie swego losu. Nawet to, że w ogrodzie dojrzewały jabłka i śliwki i że zamierzała rano je zerwać i położyć na nocnym stoliku, zanim Stefan się obudzi — wydawało jej się odkrywaniem coraz to nowych powabów życia, których by sobie przedtem nawet nie wyobrażała. Mówiła mu o tym, a on przyjmował to z powagą i ze wzruszeniem — także nie podejrzewał przedtem, że źródła radości mogą bić o każdej porze dnia i w miejscach, zdawałoby się, do cna wysuszonych codziennością.

Wojna to wszystko zniweczyła. Podczas trzech wojennych jesieni jabłka i śliwki nadal dojrzewały, miała je i tutaj, w swoim ogrodzie, ale nie zrywała ich rano i nie kładła na nocnym stoliku przy łóżku męża, żeby pachniały; byłoby to co najmniej śmieszne i prawie niestosowne. Źródła radości powysychały zasypane popiołem rozpaczy i niepokoju, który towarzyszył każdej chwili.

IV

— Skąd masz te pieniądze? — spytała Anielka. Patrzyła groźnie, ale w tym dziwnie skomplikowanym spojrzeniu była i radość, i duma z wychowania.

— Przecież ich nie ukradłem.

— Tego nie mówię. Ale skąd je masz?

— Zahandlowałem.

— Ty?

— Ja.

Witold usiadł wreszcie przy kuchennym stole, pieniądze, które przed chwilą na nim położył, podsunął ku rękom Anielki nonszalanckim gestem.

— Ja! — powtórzył.

— A czymże ty handlujesz? — spytała z niedowierzaniem Anielka.

— Złotem.

— Złotem? — powtórzyła; w tym słowie prócz zdumienia był już i szacunek, a także powolna utrata zadufania we własne talenty, wykazywane podczas wypraw na bazar.

— Złotem i dolarami — powiedział Witold niedbale. Wstał i przytknął drzwi wiodące z kuchni do przedpokoju. Bał się, że matka, która położyła się po obiedzie z bólem głowy, mogłaby usłyszeć te rewelacje.

— I dolarami? — powtórzyła znów Anielka.

Opowiedział jej o Sieblu i jego propozycji; skorzystał z niej na początku bardzo nieśmiało, ale gdy mu się powiodło, uznał tę osobliwą współpracę z jubilerem za prawdziwy cud, który nagle mu się przydarzył. O córce Siebla oczywiście nie wspomniał, biblioteczne z nią konszachty Anielka uznałaby zapewne za bardziej niebezpieczne niż handel złotem, no i dochodu żadnego nie przynosiły, co w jej mniemaniu byłoby zupełnym brakiem rozsądku.

— To dobrze — powiedziała Anielka, wyraziwszy już cały swój podziw dla tak nagle objawionej obrotności Witolda — bo mama chyba będzie musiała odejść od Bednarskiego.

Bednarski był właścicielem dużej piekarni, wypiekającej prócz kartkowego, także i biały chleb, a nawet bułki. Czownicka zajmowała się od niedawna biurowością w tym przedsiębiorstwie, co pozwalało im na lepsze pożywienie, bo prócz miesięcznej pensji przynosiła do domu co dnia cudowny, pachnący już z daleka, obficie posypany kminkiem i czarnuszką chleb. Wiadomość była przykra.

— Dlaczego będzie musiała odejść? — spytał Witold w nadziei, że to nieprawda, że Anielce tylko tak się zdaje.

Zerknęła ku drzwiom, podeszła nawet do nich, żeby sprawdzić, czy są zamknięte.

— Zaleca się do niej — powiedziała.

— Kto?

— Bednarski.

— Do mamy? — miał ochotę roześmiać się Witold. Nie wyobrażał sobie, aby ktoś mógł się do niej zalecać. To, że była jego matką, że urodziła go dwadzieścia lat temu, odsuwało ją zupełnie od męskich pożądań. Ale właściwie dlaczego nie? zastanowił się z nagłą trwogą. Była przecież dopiero po czterdziestce i wciąż taka ładna... a ten Bednarski chłop jak byk, niejedno mu pewnie chodzi po głowie, gdy na nią patrzy. — Powinna dać mu w pysk! — zerwał się, żeby od razu matce to powiedzieć, żeby jej poradzić, jak ma się zachować wobec zalotów piekarza.

— Uspokój się! — Anielka zatrzymała go już przy drzwiach.

— To ja to zrobię!

— Ale za co? Za co? Ty bałwatuńciu! Przecież on nic takiego...

— Mówiłaś, że się w mamie durzy.

— Ale jak się durzy! Bardzo ładnie się durzy! Dał jej dziś dwa bochenki chleba!

— No... to jeszcze nie zaloty — złagodniał Witold.

— Ale mama boi się, że się na tym nie skończy.

— Dlaczego?

— Bo tak jakoś na nią patrzy...

— Może jej się zdaje?

— Może... — zadumała się Anielka. — Od śmierci pana mecenasa stała się taka chłopów bojąca. Przedtem to się i zaśmiała, i pożartować lubiła.

Witold jeszcze raz popchnął leżące na stole pieniądze w jej kierunku.

— Gdyby co... to powiedz mamie, że tobie udało się dobrze zahandlować... Żeby nie martwiła się, że nie będziemy mieli z czego żyć. Bo ja... ja

chcę z tych pieniędzy tylko jedną drobnostkę. Taki ruszt gazowy do ogrzewania, jaki my mamy. Może uda ci się gdzieś go kupić.

— Po co nam drugi ruszt?

— To dla profesora Chołodyńskiego. Bardzo marzną w tej swojej willi. A profesor pisze książkę; trudno żeby pracował w kuchni.

— A dlaczego nie? Jest wojna...

— Anielko! — oburzył się Witold.

— No, nic nic, tak sobie powiedziałam. Dla ciebie ten profesor to jak święty. Postaram się o ten ruszt, jeśli ci na nim tak zależy.

— Bardzo! — Witold uściskał Anielkę, wyszedł do przedpokoju, wrócił w kurtce.

— Wychodzisz? — spytała z niezadowoleniem Anielka. Najbardziej lubiła, gdy siedział w domu.

— Muszę.

— Co to za brechanie takie? Nie możesz prawdy powiedzieć?

— Mówię prawdę: muszę. I powinnaś to zrozumieć.

Anielka, żeby się pocieszyć, wybrała mniejsze niebezpieczeństwo.

— Jakaś dziunia?

— Dziś nie. Ale mamie powiedz, gdy zapyta, że pewnie poszedłem spotkać się z dziewczyną. Albo z Zygmuntem. Powiedz lepiej, że z Zygmuntem.

— Bój się Boga, Witold! — Anielka odprowadziła go do drzwi i nie zamykała ich za nim, aż umilkły jego kroki na schodach.

To, że miał się widzieć z Zygmuntem Teleszką, było prawdą — bo i on był na tym spotkaniu. Tak jak na wykładach, gromadzili się w coraz to innym mieszkaniu, dziś na Sykstuskiej u Romka Wierzei, którego ojciec był

znanym lekarzem wenerologiem, miał prywatną praktykę i nie mogło budzić podejrzeń, że ktoś tu wciąż wchodził i wychodził, że wciąż tu wchodził i wychodzili młodzi mężczyźni.

Tylko żebyście miny mieli odpowiednio strapione! — przykazywał ze śmiechem Romek. — Z daleka powinno być po was widać, że złapaliście syfa albo trynia.

Od czasu wkroczenia Niemców do Lwowa spotykali się dopiero po raz trzeci. Poszarpana przez wpadki za sowietów siatka wymagała reorganizacji i połączenia z podziemiem na obszarze reszty kraju, gdzie podczas dłużej trwającej niemieckiej okupacji opracowano stosowne metody konspiracji.

Tego dnia uczestniczył w spotkaniu młody, ale co najmniej o dziesięć lat starszy od Witolda, przybysz z Warszawy — porucznik Leszek; nie wiedzieli, czy to prawdziwe imię, czy pseudonim. Tak go przedstawił Romek Wierzeja. On jeden miał kontakty z siatką w Generalnym Gubernatorstwie, za sowietów był kilkakrotnie w Krakowie i Warszawie; przekraczał granicę w mundurze żołnierza polskiego, aby w razie wpadki na granicy podawać się Niemcom za uciekiniera z obozu rosyjskiego, sowietom za zbiega z niemieckiego stalagu. Dwukrotnie mu się to udało, był najbardziej doświadczony z całej grupy, a także i najstarszy, wybuch wojny zastał go w podchorążówce, ale „nie nawalczył się”, jak sam mówił; we wrześniu, po oblężeniu Lwowa przez Niemców, po decyzji dowództwa armii polskiej, żeby kapitulować przed sowietami, nie złożył przed nimi broni, ukrywał się i wrócił do domu dopiero, gdy w mieście byli Niemcy. O miłej powierzchowności, z racji świetnych zarobków ojca dobrze ubrany, witał Romek przybyłych jak gościnny, dbały o formy gospodarz, i przedstawiał ich po kolei porucznikowi.

— Wiko — przedstawił Witolda.

Porucznik był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, twarz miał pogodną i uśmiechniętą, choć okoliczności wymagały chyba, żeby wobec

młokosów nadał jej poważniejszy i surowszy wyraz. Witold prawie ze zdumieniem spostrzegł dołek w starannie wygolonym policzku porucznika. Włosy, dawno nie strzyżone, opadały mu na czoło aż po mocną linię czarnych, gęstych brwi. A pod tymi brwiami oczy! Jasne, prawie przezroczyście, napełnione jakby migotliwym światłem. Zapatrzony w nie, na długą chwilę uwięziony, spętany ich spojrzeniem, Witold nie zauważył, że porucznik podaje mu nie prawą, ale lewą rękę. Pochwycił ją niezręcznie, z przerażeniem, które powinien był ukryć, ale nie ukrył i tak, jak wtedy, gdy po raz pierwszy witał się z profesorem Chołodyńskim ściskając jego lekką i wiotką dłoń, zawstydził się nieomal siły swojej ręki. Ale i tamta była silna, ta lewa ręka okaleczonego żołnierza — uścisk, jaki wymienili, był mocny i męski.

Witold zrozumiał, że jest to nie tylko pierwszy kontakt z dowódcą, gest poddania się i wierności, ale także zawarcie przyjaźni, nie wiadomo dlaczego uspokajające, kojące wszelki niepokój.

— Leszek — powiedział porucznik.

— Wiko — powtórzył Witold, głośniejszy i wyraźniej, niż to uczynił Romek. Czuł obudzoną nagle potrzebę, żeby samemu się przedstawić, żeby tej chwili nadać ważność dla nich obydwu. Coś się stało, coś się wydarzyło, obojdwaj powinni to zapamiętać.

Kiedy zebrali się już wszyscy, a następne dzwonki obwieszczały już tylko gromadzenie się w poczekalni pechowych pacjentów doktora — porucznik zaczął mówić. Najpierw o sobie. Uznał najwidoczniej, że powinni znać nie tylko jego imię czy pseudonim.

Był kawalerzystą. Rękę stracił 5 października 39 roku — ostatniego dnia polskiej wojny obronnej — pod Kockiem, gdzie Samodzielna Grupa Operacyjna dowodzona przez generała Kleeberga najdłużej stawiała Niemcom opór. Przebijali się z pomocą ku Warszawie, a gdy padła, generał postanowił zdobyć składy amunicyjne w Stawach i kierunkiem na Dęblin przejść w Góry Świętokrzyskie. Ale właśnie z Dęblina ruszyły zmotoryzo-

wane siły niemieckie, polskie przeciwnatarcie mimo odnoszonych na wielu odcinkach zwycięstw miało coraz mniejsze szanse powodzenia, przede wszystkim ze względu na brak amunicji. Brał udział w ataku na cmentarz i klasztor w Woli Gutowskiej, który brygada kawalerii płk. Milewskiego zdobyła przełamując silny opór niemiecki, a potem w owym wspaniałym rajdzie, równającym się zadośćuczynieniu zbliżającej się klęsce, rajdzie na tyłach wroga przez Niedźwiedź, Budziska i Charlejów. I tam właśnie pod Charlejowem...

Słuchali z wypiekami na twarzy, z błyszczącymi oczyma, gotowi za tamtą bohaterską klęskę wyjść zaraz na ulicę i pomścić ją na każdym spotkanym Niemcu, pomścić śmierć poległych i rozpacz pozostałych przy życiu, pomścić kalectwo porucznika...

— Kiedy my? — pytali — kiedy nareszcie my...?

Porucznik zamilkł.

— Jeszcze nie teraz — powiedział po pełnej napięcia chwili.

Popatrzyli po sobie i także zamilkli.

Tylko Witold nie był tak rozgorączkowany.

— Kiedy pan jeszcze walczył — zaczął cicho — tu byli już Rosjanie. I musieliśmy przed nimi złożyć broń.

— Ja nie! — krzyknął Romek.

— Wiem, ty nie. Przepraszam. Chciałem tylko powiedzieć, że mieliśmy... że mamy przed sobą takie komplikacje...

Porucznik znów milczał. W głębi mieszkania otwierano i zamykano drzwi, wchodzili i wychodzili pacjenci doktora Wierzei. Witold pomyślał ze zjadliwą ironią, czy nie lepiej było mieć ich zmartwienia, pograżyć się w obrzydliwościach życia, zagłuszyć nimi udreki, którymi on i jego koledzy się trapiłi. Podczas wojny najlepiej być gnidą — takie powiedzenie przyniosła Anielka któregoś dnia z bazaru. Usłyszała je od zapijaczonego han-

dlarza, który spośród jakichś szmat wydobywał i sprzedawał ukradkiem porcje całkiem ponętnie pachnącej kiełbasy. Ponieważ we Lwowie szerzyły się pogłoski, że pokątnie robione wędliny są z ludzkiego mięsa, bo zdarzało się, że ginęli ludzie — ów pijaczek, zmrużywszy kaprawe oko zachwalał swoje wyroby przysięgając się, że są z samych młodziutkich dziewczynek, po prostu — palce lizać! I nagle oświadczył zdumionej Anielce: Podczas wojny najlepiej być gnidą! Z gnidami nikt nie walczy. Bohaterowie giną, a gnidy żyją — tak, paniuńciu słodka!

Porucznik wysłuchiwał tymczasem relacji z dotychczasowych działań grupy za bytności sowietów. Chciał wiedzieć, z kim ma i będzie miał do czynienia, oczy mu się zwięzły w zmrużonej szparze powiek, słuchał i patrzył z uwagą na każdego, a im się wydało, że to, z czego byli dotąd tak dumni i czym się przed nim chwalili, bo mieli ten ton, ten szczeniacki ton w głosach — to mało, to za mało wobec tego, czego dokonywali chłopcy w Warszawie i za Wisłą. I nagle — ku zdumieniu wszystkich — okazało się, że najwięcej ma do powiedzenia Zygmunt Teleszko. Porucznik także patrzył na niego z ledwo pokonywanym zdziwieniem, myślał zapewne, że chłopak „na nic nie wygląda” i że właśnie ten mizerny wygląd, nędzna postura chuchraka skłaniała go ku pragnieniom zaprzeczenia wrażeń, jakie sprawiał. Bo miał na koncie systematyczne niszczenie prasy, kolportaż wiadomości z nasłuchu radiowego, napady na transporty żywności, a nawet otwarcie wagonu w pociągu z deportowanymi podczas wymuszonego rozmontowania szyn postoju, co umożliwiło ucieczkę kilku więźniom. W tej ostatniej dywersji brał także udział Witold. A dokonali tego samorzutnie i bez rozkazu, bali się nawet konsekwencji, bo docierały już i tutaj zabiegi generała Sikorskiego wokół uregulowania stosunków polsko-radzieckich, zakończone zresztą podpisaniem układu 30 lipca 41 roku. Ale w tym transporcie deportacyjnym był krewny Zygmunta, więc zdecydowali się we dwóch...

Porucznik nie skomentował tego, o czym mówili; po powtórzonej przez Witolda dacie podpisania układu Sikorski—Stalin powiedział tylko:

— No, właśnie...

I dodał zaraz, że przed tygodniem, ściślej 12 lutego, rozkazem naczelnego wodza ich dotychczasowy Związek Walki Zbrojnej został przemianowany na Armię Krajową.

— A co to jest Gwardia Ludowa? — spytał któryś z chłopców. — Bo słyszałem, że ostatnio...

— Całkiem ostatnio — przerwał mu porucznik — bo w styczniu tego roku powstała w Warszawie Polska Partia Robotnicza. Gwardia Ludowa jest ich armią, dopiero ją organizują i między innymi naszym zadaniem będzie przyciąganie do naszych szeregów tych, którzy jeszcze tam nie poszli. AK powinna scalać cały ruch zbrojny, całą konspirację w naszym kraju. — Oczy porucznika ukryły się znów w zwięźeniu powiek, patrzyli w nie wszyscy, ale żaden nie był pewien wyrazu ich spojrzenia, a Witoldowi przypomniało się to, co już tu na głos powiedział: mieliśmy... mamy przed sobą takie komplikacje... Nie powtórzył jednak teraz tego zdania, tylko miał ochotę krzyknąć na głos, zacytować tu przed nimi złotą myśl pijanego handlarza z bazaru, że podczas wojny najlepiej być gnidą. Tak! Najlepiej być gnidą, bo już zaczynały się tworzyć załączki tej przeklętej, tej wciąż trapiącej i niszczącej naród niezgody między Polakami. Więc bycie gnidą było i bezpieczne, i dające dobrobyt, i nie płoszące snu w nocy... A jeśli nie aż tak, nie aż taki upadek, to przynajmniej obojętna prywatność, wyłączenie się z obowiązków, które zwałała na kark historia, całowanie się z Myszką w bramie jej domu i nadzieja, że gdyby tylko mogli znaleźć dla siebie jakieś lokum...

Porucznik mówił teraz o tym, że pierwszego stycznia dwadzieścia sześć państw podpisało deklarację Narodów Zjednoczonych, zobowiązującą do wszelkimi sposobami prowadzonej walki z faszyzmem aż do zwycięstwa. Do zwycięstwa!

Profesor Chołodyński, gdy przekazywał Witoldowi tę wiadomość, także zakończył ją tym nieco patetycznie wypowiedzianym słowem. Już się

nie krył z tym, że słucha Londynu, a więc i sytuacja na frontach, którą także przedstawił porucznik, była Witoldowi znana. Rosjanie odrzucili Niemców na około 300 km od Moskwy — to była najważniejsza wiadomość, napętlająca wszystkich taką radością, że i jemu się udzieliła, pokonując nękającą go przez cały czas dwoistość jego uczuć.

Pod koniec odprawy, gdy powstali już z miejsc, ale porucznik rozmawiał jeszcze z kilkoma chłopakami, Romek Wierzeja odciągnął Witolda pod okno.

— Słuchaj, Wiko — powiedział — jest taka sytuacja: Leszek od dwóch tygodni przebywa we Lwowie, prawdopodobnie tu zostanie. Mieszkał po kilka dni u każdego z nas. Dziś ty go musisz zabrać.

— Ja? — wyjąkał Witold.

— Chyba się nie przestraszyłeś?

— Ja... nie, ale moja matka... od śmierci ojca jest tak znerwicowana...

— Wszyscy są znerwicowani. Będziesz musiał matce to jakoś wytłumaczyć.

— Ale jeśli... jeśli się nie zgodzi...?

Wierzeja patrzył na niego z lekką ironią.

— Musi się zgodzić. W końcu ty jesteś teraz głową rodziny.

Za co właściwie ja go tak lubiłem? pomyślał Witold. Czuł wypieki rozgrzewające mu policzki, opuścił oczy, żeby nie widzieć jego spojrzenia.

— Nie, nie jestem głową rodziny — powiedział cicho. — Ale mam nadzieję, że mama zachowa się jak należy.

— Ja też tak myślę — mruknął Romek i podprowadził go do porucznika Leszka. — U Wika będzie ci dobrze — powiedział. — W kamienicy sami pewni lokatorzy, a najważniejsze, że to niedaleko stąd — plac Mariacki. Lepiej nie kręcić się po ulicach.

Witold też to pomyślał, gdy opuszczali z porucznikiem mieszkanie doktora. Wychodzący i wchodzący tu pacjenci — właśnie spotkali jednego z nich na schodach — stwarzali, śmieszne bo śmieszne, ale jednak pewne uczucie bezpieczeństwa. Nie wiedział, czy porucznik ma jakieś papiery, Romek powinien powiedzieć coś na ten temat, ale nie powiedział. Za co ja go tak lubiłem? pomyślał znowu, ale już z rodzącym się niesmakiem do samego siebie, prawie z pogardą, która jednak nie pomogła mu w zwalczaniu strachu. A odczuwał go nie tylko przed spotkaniem niemieckiego czy ukraińskiego patrolu, ale także przed reakcją matki na pojawienie się niezapowiedzianego gościa. Matki i Anielki! Może Anielki przede wszystkim. Wprawdzie powiedział Romkowi, że ma nadzieję, iż matka zachowa się jak należy, ale nie był tego pewny. Może zacznie płakać? Może wręcz powie porucznikowi, że się boi...? Nieszczęście nie omijało tego domu, miała prawo do trwogi, do łez, do hysterii. Ale to on przecież dostawał już teraz hysterii na myśl, jak się matka zachowa, jak zachowają się jego dwie kobiety. Nie, nie był głową rodziny i nigdy nie odważyłby się tak o sobie myśleć, i może dlatego mocny uścisk lewej ręki porucznika wydał mu się zapowiedzią opiekuńczej przyjaźni. Czy jej potrzebował? Miał przecież Zygmunta. Ale najwidoczniej był mu jednak potrzebny także ktoś taki, jak ten młody człowiek, kroczący teraz w milczeniu obok niego.

Koniec lutego wydłużył już znacznie dzień, a powietrzu — choć było mroźne — nadał złudny zapewne zapach przedwiośnia. Bardziej się o nim myślało, niż je czuło, śnieg skrzypiał pod nogami, a niebo, czerwone na zachodzie, zapowiadało na jutro mroźny wiatr.

Zza narożnika ulicy Szajnochy wyszedł ukraiński patrol. Dwóch młojców szło powoli, miarowo odmierzając kroki. Zbliźali się do siebie, tamtych dwóch i oni. Nie tak dawno jeszcze nie bali się niczego w tym mieście, z uśmiechem lub podśpiewując szli ulicami, teraz tamci dwaj mogli pod byle pozorem zrobić z nimi wszystko, na co przyszłaby im ochota. Oto dlaczego — przemknęła Witoldowi myśl — Anglicy i Amerykanie nie śpieszą się z tą wojną. Nie wiedzą, co to jest i jak to jest, gdy z naprzeciwka idzie

takich dwóch, wyposażonych nie tylko w broń, ale i w prawo zrobienia z człowiekiem wszystkiego, na co by im przyszła okrutna ochota.

— Czy ma pan... czy masz... — spytał cicho.

Porucznik szedł spokojnie, tak samo miarowo odmierzając kroki, jak tamci dwaj z naprzeciwka.

— Mam wszystko, czego potrzebuję — powiedział.

I dodał:

— A moja lewa ręka jest dostatecznie wyćwiczona i sprawna.

Witold zadając mu to pytanie myślał o papierach, prawdziwych lub sfabrykowanych, odpowiedź, jaką otrzymał, wytrąciła go jeszcze bardziej z równowagi. Pośliznął się i ledwie utrzymał się na nogach, oblewając się potem na myśl, co by było, gdyby się tu przewrócił wprost pod nogi zbliżającego się patrolu.

— Weź się w garść, chłopcze — mruknął porucznik i uśmiechnął się do niego, jakby prowadzili ożywioną, nader przyjemną rozmowę.

Bo Ukraińcy oglądali ich sobie teraz już całkiem z bliska, ale raczej bez specjalnego zainteresowania, raczej ze znudzeniem, myśleli pewnie, że mają przed nimi boja te polskie paniagi, idą jakby połknęli szpagat, ale boja mają, wyzywali ich przedtem od murgów i murmyłów, a teraz sztanami przed nimi trzęsą, popamiętaliby ruski miesiąc, gdyby tylko do nich przystąpili. Ale im się nie chce, zwyczajnie, nie chce im się — czort z nimi, niech sobie idą...

Rozminęli się całkiem zwyczajnie, ale jednak dopiero po kilku krokach Witold odetchnął tak głośno, że porucznik mógł to usłyszeć. Ale gdy nie odwracając głowy zerknął na jego twarz, nic z niej nie wyczytał.

Szli przez dłuższy czas w milczeniu; nagle porucznik zapytał:

— Czy to ty straciłeś ojca, gdy Rosjanie wycofywali się ze Lwowa?

— Ja.

— Mówił mi Romek, zanim wszyscy się zeszli. Ale nie byłem pewny, czy to ty.

— Ja — powtórzył Witold cicho.

— Domyślałem się tego, bo chwilami zachowywałeś się dosyć dziwnie.

— Dziwnie?

— Przepraszam, może źle się wyraziłem.

Witold zatrzymał się, chwycił porucznika za pusty rękaw jego płaszcza.

— Ty... pan — wciąż nie wiedział, jak się do niego zwracać — pan ma w pamięci Kock i ten Charlejów, pod którym stracił pan rękę, a ja więzienie na Łąckiego i ułożone w sztaple jak kłocce drzewa, setki pomordowanych więźniów, wśród których był mój ojciec. Więc niech się pan nie dziwi, że bez entuzjazmu przyjąłem wiadomość, że nasz wódz naczelny podpisał układ ze Stalinem...

— Mój drogi chłopcze — chciał przerwać mu porucznik.

— ... i że jestem po stronie tych, którzy uważają to za niewłaściwe. My tu we Lwowie też słuchamy Londynu i wiemy, że Sikorski ma w tym względzie zdecydowanych przeciwników.

— To dopiero początek, może połowa tej wojny, a my jesteśmy w niej mało znaczącym sojusznikiem wielkich mocarstw, choć nam wydaje się, że nasze straty uprawniają nas do... Ale tej sprawy nie będziemy chyba roztrząsać na ulicy?

— Jeszcze tylko jedno panu powiem — nie ustępował Witold — moja radość z tego, że Niemcy zostali odrzuceni spod Moskwy, choć ją wyraziłem, była dość trudna.

Porucznik wyrwał swój rękaw z jego rąk, ruszył naprzód.

— To może wreszcie twoja wyobraźnia popracuje nad tym — rzekł, nie kryjąc irytacji, — Co by było i jak potoczyłyby się losy wojny, co ja mówię? nasze losy! — gdyby Hitler był już w Moskwie. Znowu dziesiątki lat niewoli, tak? Dziesiątki lat niewoli!

— A ty myślisz... a pan myśli, że jeśli Hitler nie zdobędzie Moskwy...

— Dosyć! — krzyknął porucznik. — Ani słowa więcej na ten temat! Dosyć mam już analizowania nieszczęsnej naszej sytuacji, która od wieków stawia przed nami te same znaki zapytania. Dla żołnierza sytuacja jest jasna: słuchać rozkazów.

— A wolno mu pomarzyć — Witold odezwał się jak dziecko — wolno mu pomarzyć, żeby i serce je wydawało?

— Wiko! — porucznik ujął go mocno pod ramię. — Serca Polaków nieprędko przestaną być szarpane wątpliwościami. Od sztabów po plutony. Znasz historię? A jeśli niezbyt pilnie się jej uczyłeś, to ją sobie jeszcze raz poczytaj. Mój Boże! — przyśpieszył kroku. — Mam nadzieję, że masz miłą matkę i że przynajmniej ona nie będzie roztrząsać ze mną tych spraw. Jestem tak znużony...

— Moja matka — zaczął ostrożnie Witold, żeby przygotować nieproszonego gościa, którego wiódł do swego domu, na co najmniej powściągliwe przyjęcie — moja matka wciąż nie może się uspokoić...

— Rozumiem — powiedział porucznik.

— ... boi się i we wszystkim wietrzy niebezpieczeństwo.

— Rozumiem — powtórzył porucznik.

— Bo ojca... to właściwie za nic... zupełnie za nic... I matka nie wie, że ja... że wdałem się...

— Dobrze, że nie wie.

— Ale jest także i moja dawna niańka. Anielka. Ona także nie ma pojęcia...

— Bardzo dobrze!

— Poprowadzę — Witold wbiegł pierwszy w sień swego domu, skoczył na schody; nie mogąc opanować drżenia ręki, wsunął klucz do zamka.

Na odgłos otwieranych drzwi matka i Anielka swoim zwyczajem wyległy do przedpokoju. Ale nim zdołał coś powiedzieć, porucznik stał już za nim na progu, musiał się więc cofnąć i niezbyt pewnym gestem zaprosić go do wejścia.

— Mamo! — wykrztusił wreszcie. — To kolega! Przenocuje u nas... Rozumiesz...

Cisza zaległa przedpokój; słyhać było, jak na górze u sąsiadów biegają dzieci, jak skaczą i tupią, Witold uprzytomnił sobie, że słyszy to po raz pierwszy. Wpatrywał się z błaganiem i rozpaczą w oczy matki, nigdy dotąd nie robił jej takich niespodzianek, nigdy nikogo nie sprowadził do domu, więc teraz powinna... tak, powinna — na litość boską, była wojna i nie mogło mieć żadnego znaczenia, że ktoś się boi i uważa, iż dosyć już cierpienia, jak na jeden dom...

Matka patrzyła na przybysza w milczeniu; trwało to dosyć długo, a może Witoldowi tak się tylko wydawało, może wydawał mu się tak długi ten nerwowo jego niepokojem odmierzany czas, zanim ona — ta kochana, cudowna, najwspanialsza z matek! — podeszła do porucznika i serdecznym gestem wyciągnęła rękę ku jego lewej, od razu ku jego lewej ręce.

— Ależ proszę! Cieszę się! Niech pan wejdzie. Witek, pomóż panu się rozebrać.

A tego może nie powinna była już powiedzieć, bo porucznik błyskawicznie sam zrzucił z siebie płaszcz i powiesił go na szaragach. Zaczerwienił się — matka przeprosiła go oczyma, Witold to spostrzegł i zrozumiał,

kocham cię, chciał szepnąć do niej, ale pomyślał, że przecież dobrze to wiedziała.

Anielka tajała wolniej, ale wystawiła jednak na stół w kuchni, gdzie było jako tako ciepło — wyjaśniono to gościowi — ostatni kawałek masła, ten biały, znakomity chleb od Bednarskiego i sznycle mielone na zimno, w których było dwa razy tyle bułki co mięsa, ale i tak były pyszne, talenta kulinarnego Anielki — no i głód — poprawiały smak każdej potrawy.

A porucznik Leszek był głodny. Witold też, ale kobiety nie zwracały teraz na niego uwagi. Gdy sznycle zniknęły z talerza (miały być na jutro, a może i na pojutrze), matka przymilnie zwróciła się do Anielki:

— Mamy jeszcze, zdaje się, kawałek wędzonki.

To na cały tydzień do kaszy — chciała powiedzieć Anielka, ale nie powiedziała. I nawet bez ociągania się podeszła do kredensu, z najciemniejszego kąta wyjęła zawinięty w papier kawałek wędzonego boczku, odkrajała z niego plaster i położyła go na talerzu gościa. Omijała spojrzeniem Witolda, nie zwróciła ku niemu głowy — zawinęła znów boczek ciasno w papier, ale po chwili jednak prawie ze złością jeszcze raz go rozwinęła i trzęsącą się ręką odkrajała cieniutki plaster. Dla Witolda. Jasne było, że kobietom się ten pożywny przysmak nie należy.

Odniósłszy boczek znów do kredensu, Anielka zatrzymała się przy nim dłużej.

— Mamy trochę bongu — powiedziała, wyraźnie na swoją odpowiedzialność i z własnej potrzeby serca. — Pan by się nie napił? Na dworze dziś zimno.

— A co to jest bongu? — spytał porucznik.

— Mleko od wściekłej krowy — wyjaśniła ze śmiechem Anielka.

— Wódka! — roześmiał się także Witold. — Właściwie: spirytus.

— Dziękuję — słabo wzbraniał się gość.

— Podziękuj pan, jak pan wypije — Anielka szukała już kieliszka; był taki jeden, z grubego szkła, kieliszek dyżurny zawsze stojący w kuchennym kredensie. Służył do próbowania doprawianej wódki, do częstowania — za dawnych dobrych czasów — listonosza, lub „człowieka”, który nosił węgiel z piwnicy.

— Nie, nie — zaprotestowała matka, nim Anielka zdążyła postawić to obraźliwie pospolite szkło przed porucznikiem. — Przyniosę kieliszki z pokoju.

Zerwała się i pobiegła, bardzo żwawa. Witold czekał w napięciu na jej powrót. Powiedziała: kieliszki. Wyraźnie

— kieliszki!

I rzeczywiście przyniosła dwa. Witolda nie opuszczało napięcie — przed kim je postawi? Przed gościem to zrozumiałe, ale ten drugi? Prawie nie zwrócił uwagi, a już na pewno nie zastanawiał się nad tym, co to znaczy, że matka wróciła z pokoju w tureckim szalu narzuconym na domową suknię, w której ją zastali, w tym pięknym szalu, przywiezionym jej przez ojca ze Stambułu, dokąd jeździł w interesach jednego ze swoich klientów. Nie nosiła tego szala często, choć bardzo ją zdołał; i teraz też wyglądała w nim niespodziewanie odświętnie i strojnie, ale nie syn to spostrzegł. Patrzył wciąż na dwa kieliszki w rękach matki. Jeden oczywiście postawiła przed Leszkiem, co zrobi z drugim...?

— Witek się także napije — powiedziała do Anielki.

— Tylko trzeba spirytus czymś rozcieńczyć.

— Czym? — spytała Anielka.

— Może jest jakiś sok?

— Pani dobrze wie, że od dawna nie mamy w domu żadnego soku.

— A jest herbata? — spytał Witold. — Można by spirytus rozcieńczyć herbatą. Dodać trochę cukru...

— Ciekawe, skąd ty się na tym znasz? — nabuńdziurzyła się Anielka.
— Herbaty też nie ma. Ani cukru. Jest tylko sacharyna.

— A może są jakieś zioła? — porucznik włączył się w tę debatę. Uśmiechnął się, po raz pierwszy prezentując swój dołek w policzku. Rozgrzał się w ciepłej kuchni, twarz mu się zaróżowiła.

Po co chłopu taki słodki pysk? pomyślała Anielka, zapominając o co pytał.

Musiał powtórzyć:

— Zioła! Może jest na przykład piołun?

— Piołun? — oprzytomniała Anielka. — Piołun jest. Zawsze mam rumianek i piołun. Bo jak kogoś w domu boli brzuch...

— Anielko! — szepnęła matka.

— Zrobimy sobie piołunówkę! — zawołał porucznik. — Tylko... — posmutniał — o ile pamiętam z domu, zalewało się w tym celu gałązki piołunu spirytusem i odstawiało na kilka dni.

— My to zrobimy wojennym sposobem — pocieszyła go Czownicka — prościej i szybciej. Zaparzymy piołun wrzątkiem, zostawimy go na kilka minut pod przykryciem, żeby naciągnął, i tym wywarem rozcieńczymy spirytus.

Zajęli się teraz wszyscy przyrządzaniem „expresowej” wojennej piołunówki. Matka nastawiła wodę na gazie, żeby zagotowała się jak najprędzej, Anielka szukała gorączkowo piołunu wśród swoich torebek z ziołami, a gdy go wreszcie znalazła, Witold z porucznikiem kruszyli jego łodyżki na drobniutkie kawałki.

Kiedy nalewka była gotowa i wspaniały, gorzkawy, ale przedziwnie wonny i orzeźwiający zapach rozszedł się po kuchni, matka zwróciła się do Witolda:

— Przynieś jeszcze dwa kieliszki. Piołunówki i my — spojrzała z uśmiechem na Anielkę — chętnie się napijemy dla rozgrzewki.

— Czemu nie — zgodziła się od razu Anielka. Dokroiła jeszcze chleba i przysiadła także przy stole, bo wieczór zrobił się zgoła niezwykły i nie można go było psuć krzątaniem się po kuchni. — Mocna ta wódka! — powiedziała po pierwszym kieliszku, z trudem łapiąc oddech. — Te od Baczewskiego nie były takie mocne.

— Rzeczywiście — szepnęła matka. — Mogłam zagotować więcej wody.

Witoldowi — a co dopiero porucznikowi! — moc alkoholu wydała się w sam raz. Tylko że reagowali nań odmiennie. Witold oparł ciężką głowę na rękę i tylko przysłuchiwał się opowieści porucznika, który w ożywieniu o wiele większym, niż przed niedawnym czasem na Sykstu-skiej, wiódł opowieść o walkach pod Kockiem, o bohaterstwie dowódców i żołnierzy, o nieuchronności klęski. I mówił już do matki Witolda: pani Tereso! albo: droga pani Tereso! co synowi wydało się zupełnie dziwne, bo prawie zapomniał, że miała tak na imię, od dawna przecież, od dnia, od godziny, kiedy ojciec opuścił ten dom, nikt się do niej po imieniu nie zwracał.

Zaczęła go ogarniać błoga senność, chcąc porucznik wciąż mówił i słuchając go musiał przeżyć po raz drugi tę szarżę, ten rajd, ten lot polskiej kawalerii na tyłach wroga przez Niedźwiedź, przez Budziska, przez Charlejów... przez Niedźwiedź... przez Budziska... przez... Na siedzących przy stole patrzył zamglonymi oczyma, matka wydała mu się tak młoda, jak Myszka, albo jak ona sama z tych lat, gdy prowadziła za rączkę chłopczyka w marynarskim ubranku, co tak dokładnie zapamiętał i tak pięknie przypominał mu jubiler Siebel, Anielka była ową młodą dziewczyną, którą panowie wychodzący od ojca po brydżu mieli zawsze ochotę uszczypnąć nie tylko w policzek, a porucznik... porucznik miał obie ręce i w tej prawej trzymał szablę...

— Witek! — powiedziała Anielka. — Idź spać! A ja chyba i panu pościelę — gdzie mam pościelić, proszę pani? Czy w gabinecie pana mecena-
sa?

Matka, zasłuchana w to, co mówił do niej gość, po woli odwracała ku niej głowę i dopiero po chwili Witold, ciężko podnoszący się z krzesła, usłyszał jej odpowiedź: — Tak, pościel w gabinecie, Anielko.

V

W tym wszystkim — w tym wszystkim, co działo się na świecie — przytrafiały się dni prawie szczęśliwe: Witold kochał się w Mysze, przynajmniej tak mu się zdawało, pomyślnie załatwiał zlecaną mu przez Siebla sprzedaż złota, matka zupełnie niespodziewanie przyzwyczaiła się do obecności porucznika Leszka w ich domu, a Anielce udało się kupić na bazarze ruszt gazowy i właśnie dziś wraz z książką, którą miała doręczyć mu Chajka Sieblówna, postanowił zanieść profesorowi Chołodyńskiemu.

Trzeba to było zmieścić w krótkim popołudniu między zakończeniem pracy w Landwirtschaftliche Zentral- stelle a godziną policyjną z wpadnięciem do domu na obiad, którego nigdy nie opuszczał, bo — po pierwsze — zawsze był przeraźliwie, młodzieńczo, ale i wojennie głodny, a — po drugie — Anielka tyle trudu wkładała w to, żeby codziennie był jednak jakiś obiad, że nie wolno było nikomu z domowników tego lekceważyć. Dziś w dodatku popołudnie było popołudniem z Myszką, bo nazajutrz obowiązkowo musiała być u krawca, u którego pełniła dobrze płatne obowiązki prasowaczki. Postanowił więc zabrać ją i na spotkanie z Chajką Sieblówną, i na Kolonię Profesorską, przez cały czas byliby razem, a ponadto poruszanie się po mieście z dziewczyną było zawsze dla chłopców bezpieczniejsze, zwłaszcza gdy jej uroda była bezsprzecznym dowodem, że na pewno chodzi tu o miłość.

Umówili się, że wstąpi po nią do domu, bo i ona musiała zjeść obiad; mama Dawrosiewiczowa pitrasiała swoje obiadki z takim samym trudem co

Anielka; bardzo nerwowe zrobiły się te kobiety, na których barkach spoczywało wojenne żywienie rodziny. Dawrosiewiczom zresztą powodziło się może lepiej niż innym, bo stary — miał chyba niewiele ponad czterdzieści lat — był kolejarzem i zawsze udawało mu się przywieźć z prowincji jakiś prowiant. Już na schodach poczuł Witold zapach kapuśniaku z kartoflami, okraszonego świeżo przyrumienionymi skwarkami, której to zupy przed wojną — narażając się bardzo Anielce — nigdy jeść nie chciał, a teraz wtroiłby jej chętnie ze dwa talerze, choć już był po barszczu w domu.

Zatrzymał się na chwilę z ręką na poręczy, rażony pospolitością wojennej egzystencji, codziennym osaczeniem przez głód, męczącą i przerażającą zapobiegliwość lub — w najlepszym razie — prymitywne doznawanie sytości. We wszystkich domach śmierdziało teraz złymi tłuszczami, kapustą i brukwią i nie tylko nikomu te zapachy nie wydawały się uprzykrzone, ale nawet świadczyły o zwycięskiej zdolności przetrwania, o drapieżnym trzymaniu się życia.

Odetchnął więc głęboko wonią kapuśniaku i zwalczywszy w sobie nadzieję, że gdyby u Dawrosiewiczów nie skończono jeszcze obiadu, zaproszono by go może do stołu — podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek.

Otworzyła mu młodsza siostra Myszki — Tycia, która wcale tycia nie była, wprost przeciwnie, choć dopiero dwunastoletnia, wyrosnięta była ponad wiek i, jak bez zachwytu mówiono w rodzinie, zapowiadała się na prawdziwą hojda Marynę. Fafuły miała okrągłe i rumiane, jakby nie było wojny, która malowała policzki wszystkich dzieci zielonkawą bladością, najulubieńszym ze swoich kolorów.

Powitała go okrzykiem:

— Myszka już się sztafuruje do pana! — Chciała jeszcze coś dodać w swoim stylu, ale starsza siostra, zjawiwszy się w przedpokoju, zdążyła szturchnąć ją pod żebro.

Zaczęła się więc rodzinna kłótnia, podczas której brany był przez jedną i przez drugą na świadka kto zaczął, kto kogo zaczepił. Nie opowiadając się

po żadnej ze stron, odsunął obydwie dziewczyny z drogi i wszedł do pokoju; wiedział, że szybko pogodzone wpadną tu zaraz za nim. Z kuchni dochodził szczepek zmywanych naczyń, a w jadalni przy stole siedział tylko tata Dawrosiewicz mozolnie usiłujący zwinąć z grubej machorki jako tako zgrabnego skręta.

Witold wyszarpnął z kieszeni państwowe pudełko (matka paliła coraz więcej) i podsunął go gospodarzowi.

— Ho, ho, ho! — rozpromienił się — po obiedzie dobry papieros to prawdziwe święto. Dziękuję! Niech pan siada. Wychodzi pan z Myszka?

— Tak — bąknął Witold z nie po raz pierwszy obudzoną czujnością. Zastanawiał się coraz częściej — a na dworze wciąż trzymał mróz i trudno było spotykać się na ulicy — co myślą sobie rodzice Myszkki o jego wizytach w ich domu. Jasne było, że przychodzi do niej, ale czy nie czekali przypadkiem, żeby się zdeklarował? Wojna wojną, a w pewnych kołach społecznych obyczaje trwały wcale nią nie zmienione i Dawrosiewiczowie może zaczęli już się obawiać, że kompromituje ich córkę zbyt długim z nią chodzeniem. A z drugiej znów strony, gdyby się zdeklarował, czego zresztą nie miał zamiaru robić, może parsknęliby śmiechem — cóż to był z niego za konkurent, jaka partia dla dziewczyny, która mogła zachwycić każdego...?

— Dobrze, że pan przyszedł — Dawrosiewicz przymknął oczy, z lubością zaciągając się dymem — bo chciałem z panem porozmawiać.

Witold ścierpł.

— O... czym? — wyjąkał.

— Ano właśnie... Idźcie dziewczyny do swego pokoju — zwrócił się do córek, które strzygły już uszami ciekawe zapowiedzianej rozmowy, Myszkka wyraźnie nią zaniepokojona. — Albo matce pomóżcie przy zmywaniu. No, jazda! Szwytko!

— Słyszał tato, że wychodzę — obruszyła się Myszkka.

— Wyjdiesz, jak z panem Czownickim załatwię.

To ostatnie słowo zupełnie się Witoldowi nie podobało. Poruszył się niespokojnie na krześle. Nie usiłował dotąd dociec, jakiej rangi kolejarzem był ojciec Myszki, teraz pomyślał, że na pewno niewysokiej. Dawrosiewicz zresztą coraz dobitniej to udowadniał. Zerwał się od stołu, przytrzymując jedną ręką porozpinane do obiadu spodnie, a drugą popychając córki ku drzwiom.

— Człowiek szwicuje przez cały dzień, żeby te dziapy w domu czymś zatkać — a to wszystko takie niepocziwe. Falujcie mi zaraz do kuchni!

Myszka, czerwona jak burak, dała się bez oporu wypchnąć za próg, Tycia — podobna do ojca i po nim chyba taka pyzata i pyskata — nie pozwoliła się splawić tak szybko.

— Niech tato tak nie haluka, bo i tak się tatki nikt nie boi!

— Och, ty gnocie nieznośny! — wrzasnął i podniósł rękę, ale na klapsa nie czekała, głośno zatrzasnąwszy drzwi za sobą. — No tak — westchnął wróciwszy do stołu — wychował człowiek, wyhołubił i co teraz ma? Ale przynajmniej ładne, ładne te moje dziewczuchy! Przynajmniej to! Niech pan sam powie.

Witold, cierpiąc coraz bardziej, pomyślał, że tak oto zaczyna się zasadnicza rozmowa z potencjalnym teściem, który mu się prezentował z coraz to gorszej strony.

— Niech pan sam powie — powtórzył, jak się Witoldowi wydało, prawie natarczywie.

— No... tak, owszem... — bąknął.

Dawrosiewicz przyjrzał mu się jakby zaskoczony —

jego nieśmiałością, czy... rezerwą, trudno to było wyczytać z jego oczu. Zamilkł na długi czas, a Witold uznał, że o nic nie pytany, o nic jeszcze nie pytany, też nie powinien się odzywać. W kuchni dziewczyny śmiały

się z czegoś hałaśliwie, wtórowała im matka; niewątpliwie pocieszający był fakt, że złe nastroje mijały w tym domu szybko, bez długiego pielęgnowania dąsów i pretensji — ale właściwie dlaczego o tym myślał?

— Chcę z panem porozmawiać o pewnej sprawie — zaczął Dawrosiewicz, zapinając i ściągając paskiem spodnie, jakby potrzebna była przy tej rozmowie bardziej godna postawa.

Witold przełknął ślinę.

— Proszę... jestem do dyspozycji — wykrztusił.

— Pan pracuje w Landwirtschaftliche Zentralstelle?

— Tak. Ale... rozumie pan, że pensja, którą tam dostaję, jest znikoma, prawie śmieszna... i utrzymanie z niej rodziny...

— Wszyscy pracujemy za takie śmieszne pensje — przerwał mu Dawrosiewicz — i nikt z nas nie utrzymuje za to rodziny.

— Ale jeśli nie udaje się dorobić... — brnął dalej Witold, mimowolnie zaczynając się bronić.

— Trzeba się starać — stwierdził, jak się Witoldowi zdawało, z naciśkiem, a nawet surowością przyszyły teść.

— Tak, oczywiście... — przytaknął pokornie.

— A pan nawet nie wie, przy jakiej żyłe złota ma pan szczęście pracować.

— Przy jakiej... żyłe? — nie mógł zrozumieć Witold.

— Przecież właśnie Landwirtschaftliche Zentralstelle to taka żyła. Cała żywność i nie tylko, całe bogactwo z dystryktu przez nią przechodzi.

— Tak... rzeczywiście...

— I nawet Niemcy mieliby nas za ciężkich frajerów, gdybyśmy za bezdurno przy tym harowali.

— Ale pan pracuje na kolei — Witold wciąż nie mógł nic zrozumieć.

— No, właśnie — jako hajcer przy maszyniście. Mało ja się tego węgla naładuję, żeby oni wszystko nam spod nosa mogli wywieźć? Aż w krzyżach nieraz trzeszczy.

— Mogę to sobie wyobrazić...

— Nic! Nic pan sobie nie może wyobrazić! Kto przy biurku siedzi, nigdy sobie nie wyobrazi, co to znaczy łopata machać. Ale jak nie łopata, to niech pan przy tym biurku chociaż głową ruszy.

— Nie rozumiem — wyznał już otwarcie Witold. Właściwie powinienem się obrazić, pomyślał.

— Zaraz pan zrozumie. Mnie interesuje wełna! Owcza wełna! Bo są już tacy, co podkradają z wagonów mąkę, tłuszcze, jaja...

— Są już tacy...

— Niech pan nie udaje, że pan o tym_ nie wie. A z czego żyje naród? Tylko z tego, co ukradnie. Oni nas okradają, a my ich. Żadnego grzechu nie ma. Może tylko to w tym niedobre, że wszyscy do złodziejstwa przywykną i po wojnie nawet dwóch uczciwych do kupy się nie zdybie.

— Może nie będzie tak źle — coraz niepewniej odzywał się Witold.

— A ja taki panu mówię, że złodziej na złodzieju będzie siedział i złodziejem poganiał. Ale nie martwmy się tym, co będzie po wojnie. Najpierw trzeba ją przeżyć. Wełna! Mówię panu, że to najlepszy interes. Bo droga i najlepiej można na niej zarobić. Ile mąki trzeba się nataskać, żeby coś z tego mieć, a jak się rozsypie, to i ślad zostaje. A wełna to czysty interes...

— Czego pan ode mnie oczekuje? Bo czegoś pan ode mnie oczekuje, tak? — pojął wreszcie Witold.

— Oczywiście. Co kilka dni widzę, że przychodzą wagony z wełną — ze Stanisławowa, Kołomyi, Buczacza...

— Wszędzie mamy terenowe placówki.

— No właśnie! Chodzi o to, żeby pan zawiadamiał, kiedy wagon z węglą będzie ładowany i kiedy wysyłany do Lwowa. Żeby się zdążyło skrzyknąć na dany dzień ludzi z naszej spółki.

— Z... naszej spółki?

— Pan także będzie do niej należał. Za frajer nikt niczego teraz nie robi. Każdy musi dostać swoją część. Pan — za informację, ten, co służby rozdziela — za wysyłanie na trasę odpowiednich ludzi...

— Ale przecież można wpaść... można wpaść — jęknął Witold.

— Pan powinien mieć najmniejszego boja, bo kto panu udowodni, że to pan robotę nadał? Więc niech się pan nie miga. Mówię panu, że hopy są do zarobienia! A byłyby jeszcze większe, gdyby udało się w tych papierach, co do wysyłki dołączają, zaszachrować wagę, wtedy i didko by się nie połapał...

— Ba! — mruknął Witold, ale nie dodał nic więcej, bo od razu przyłapał się na tym, że zaczyna już zastanawiać się nad możliwościami dokonania proponowanego mu złodziejstwa. Poczuł, że się czerwieni, jakby ktoś odgadł jego myśli i zamiary — ojciec, gdyby żył, matka, nawet Anielka, która na swój sposób przez całe jego życie przykazywała mu, co wolno, a czego nie... Ale przecież Dawrosiewicz miał rację, kiedy mówił, że cały naród żyje z tego, co ukradnie, bo oni okradają nas, a my ich — sprawa jest całkowicie czysta. Ale jednak jakby trochę mniej czysta — na przykład od kradzieży broni. Dokonawszy jej, mógłby nawet Niemcom — zwłaszcza Niemcom — patrzeć prosto w oczy, choć za chwilę na pewno by go rozstrzelali. Uświadomił sobie nagle — podczas wciąż trwającego milczenia — że nie myśli już o reakcji matki czy Anielki na to, co miał zamiar zrobić, co może zrobić, co powinien zrobić, ale że najważniejszy byłby wstyd, tak — wstyd! przed jego niemieckim szefem, który tylekroć dawał mu do odczucia, że rodzi się między nimi coraz wyraźniejsze porozumienie dwóch inteligentnych i znających swoją wartość ludzi, chwilowo tylko rozdzielo-

nych walką swoich narodów. Ten Dieter Knapp z Rosenheim, chory na serce więc nie powołany do wojska, miał wydać najbardziej dla niego znaczący osąd jego postępu. Ale do diabła z tymi inteligenckimi obciążeniami! Z tym balastem wychowania, etyki i obyczajów! Czy Knapp nie zrzucił go z siebie, czy nie zrzucił go z siebie co dnia, siedząc w okupowanym kraju, więc dlaczego on, Polak, ma się czuć związany, obarczony swoim poczuciem...

— No jak? — spytał Dawrosiewicz.

— Właściwie nie wiem...

— Nie wie pan? — Dawrosiewicz przysunął się do niego, położył mu na kolanie swoją ciężką dłoń ładowacza węgla. — Czego pan nie wie? Czy tego — jak to zrobić, czy w ogóle zrobić?

— I jedno, i drugie wymaga zastanowienia.

— Dla mnie tylko to pierwsze.

— Nie jestem całkiem pewny...

— Ot że frajerska makitra z paną! — nie wytrzymał Dawrosiewicz. — Czy nie widzi pan, co oni z nami robią? Chcą nas zagłodzić, a pan ma skrupuły...

— Nie aż skrupuły!

— A jak to nazwać?

— Ja tylko chcę się zastanowić...

— Mogę zrozumieć, że się pan boi. To całkiem co innego.

— Powiedziałem, że muszę się zastanowić. Porozmawiać z kolegą, który pracuje przy wełnie. Bo ja akurat jestem przy skórach...

— Też nieźle!

Witold wstał z krzesła, usuwając przedtem kolano spod ciężkiej dłoni Dawrosiewicza.

— W ciągu trzech dni dam panu odpowiedź. Ubieraj się! — zawołał do Myszki.

— Mycha! Ubieraj się! — powtórzyła Tycia na całe gardło tuż za drzwiami.

Dawrosiewicz podniósł się także.

— Przepraszam — zreflektował się — nie chciałem pana kunirować. Pomyślałem tylko, że jest okazja.

— Ja się naprawdę zastanowię — już z naciskiem powtórzył Witold.

Myszka zjawiła się ubrana i czerwona jak burak.

— Tylko nie tryndajcie się niepotrzebnie po mieście! — zawołała za nią matka.

— Odprowadzę Myszkę do domu — powiedział.

Wyszli i zaraz za drzwiami, przytrzymując klamkę, żeby Tycia nie mogła ich otworzyć, Myszka przytuliła się do niego.

— Tak mi przykro — szepnęła.

— Dlaczego? — udał, że nie wie, o co chodzi.

— Tato przypiął się do ciebie, słyszałam trochę, co mówił. Nie zawracaj sobie tym głowy. A zwłaszcza...

— Co — zwłaszcza...?

— Zwłaszcza nie myśl, że to ja go napuściłam. Mnie wystarcza... mnie musi wystarczyć to, co zarabiam w dystrykcie i u mego krawca. Wszystkie pieniądze mamie oddaję.

Pocałował ją i wyciągnął na ulicę.

Początek marca był jeszcze mroźny, ale popołudnie miało już wiosenną świetlistość, przenikliwym blaskiem oblewając twarze ludzi, domy, nagie jeszcze konary drzew.

— Ślicznie wyglądasz! — powiedział, głównie po to, żeby skończyć z tą sprawą. Bo właściwie wydała mu się jakaś biedniutka w tym swoim wyszarzałym i na pewno nie bardzo ciepłym paletku. Dlaczego dziś właśnie, dlaczego dopiero dziś o tym pomyślał? Dlaczego dopiero teraz spostrzegł, jak wytarty i wyrudziały jest kołnierzyk przy płaszczu z popielatych ongiś bibretek, w który teraz chowała wciąż rozognioną rumieńcem twarz. Sama była aż zbyt kładną ozdobą każdego ubrania, każdej rzeczy, którą nosiła, ale można było sobie wyobrazić, jak wyglądałaby wystrojona według wojennej mody, przeniesionej tu z Warszawy. Wzięła go pod rękę i wtedy zobaczył na rękawie swojej kurtki jej pocerowaną włóczkową rękawiczkę... Nosiła te rękawiczki od początku zimy, a on dopiero dziś zauważył. O, do diabła! pomyślał. Może rzeczywiście frajerska makitra ze mnie?

— Dokąd idziemy? — zapytała.

— Najpierw pod bibliotekę uniwersytecką.

— Panna Siebel?

— Panna Siebel! Kazała mi być po piątej, w bibliotece dłużej pracują. Pewnie przygotowują nowy transport książek do Reichu.

Spacerowali długo manifestacyjnie okazując młodzieńcze zakochanie, zanim w drzwiach wśród innych wychodzących ukazała się niepozorna postać córki jubilera. Gdy mijała ich, rzuciła półgłosem:

— Nie tu! Za rogiem. Wejdę do bramy.

Podążyli za nią zawsze w tej samej odległości, nie za bliskiej i nie za dalekiej; szła szybko, musieli dotrzymać jej kroku. Myszka wysunęła nagle dłoń spod ramienia Witolda, choć przecież wciąż powinni wyglądać na parę zakochanych. Ale prawdziwe, a tym bardziej manifestowane szczęście wy-

dało jej się czymś niestosownym wobec samotności tej ułomnej dziewczyny, podwójnie ugodzonej przez los.

— Rozumiem — szepnął Witold. Czuł to samo. I więcej: ogarniało go prawie zawstydzenie, że niezagrożony — choć może tylko tymczasowo, jeszcze bez żadnego znaczka, bez znamienia zagłady na czole — śmie obarczać tę dziewczynę powinnością, która nie miała już żadnego znaczenia w jej życiu. Tylko wdzięczność profesora Chołodyńskiego i odległa i niesprawdzalna ważność i wartość jego pracy stanowiła zapłatę za dodatkowy ciężar, jaki złożył na jej ramiona. Zamierzał jej to powiedzieć, przeprosić i podziękować goręcej niż to robił zazwyczaj, gdy wręczała mu książki. I zapytać — czy wolno jeszcze mieć nadzieję, czy nie naraża się za bardzo...?

— Pan zwariował! — powiedziała, chwytając go za rękę. Stali w mrocznej bramie narożnej kamienicy, Myszka została na straży przed drzwiami. — Pan zwariował! — powtórzyła. — Przecież teraz to całe moje szczęście!

— Szczęście? — Podejrzewał, że to ona zwariowała.

— Tak! Ja walczę! Nie rozumie pan tego?

— Rozumiem... — wyjąkał.

— Walczę! Każdy dzień ma dla mnie wielkie znaczenie. Niesie z sobą jakiś cel. Kiedy budzę się rano, myślę: znowu wystrychnę ich na dudka. Tych cholerników! Tych przeklętników! Żeby oni spuchli jak nitka, żeby z kości spadli! — Wykształcona i obcująca wciąż z literaturą, przeszła w zapamiętaniu na język lwowskiej ulicy, który najdokładniej oddawał żywione uczucia. — Żeby zdechli! — zakończyła. Trzymała go wciąż za rękę, widział z bliska jej oczy połyskujące hamowanymi łzami. Bez żadnego związku z tym, co mówiła, pomyślał, czy chociaż raz je ktoś całował? Te piękne, sarnie, osłonięte czarnymi rzęsami oczy? I czy byłaby przez to choć przez chwilę szczęśliwa?

— Żeby zdechli! — powtórzyła. Zamilkła na długo. Zza zamkniętej bramy dochodził odgłos kroków mijających kamienicę przechodniów. Myszka bała się na pewno, że któryś z nich wejdzie akurat do tego domu, a mógł to być Ukraińiec, albo volksdeutsch, należało więc kończyć tę rozmowę, choć Sieblówna w brązowym karakułowym futerku z kołnierzem z niebieskiego lisa nie wyglądała na uciekinierkę z janowskiego obozu, a gwiazda Dawida na jej piersi mogła nie być zauważona w mroku sieni.

— To narzeczona? — spytała nagle.

— Kto?

— Ta dziewczyna, z którą pan szedł, a która teraz czeka na pana.

— Czeka przede wszystkim po to, żeby wejść tu z każdym przechodniem, który skierowałby się do tego domu. Może by nie zwrócił wtedy uwagi, że tu stoimy...

— Że stoi pan ze mną — poprawiła cicho.

Objął ją szybkim, ale i delikatnym, bardzo łagodnym ruchem — i zrobił to, co może choć na krótką chwilę mogło ją uszczęśliwić. Pocałował ją. Najpierw jej oczy, lewe i prawe, a potem usta, które pod jego wargami rozchyliły się skwapliwie w zdumionym zachwycie.

— Co pan robi? — szepnęła, gdy wypuścił ją z uścisku.

— Dziękuję pani w imieniu profesora Chołodyńskiego. Bo chyba woli pani — usiłował żartować — że to ja panią całuję, a nie profesor.

— Nie wiem, jak profesor wygląda — ochłonawszy podchwyciła jego żartobliwy ton.

— Dobrze wygląda, ale... nie jest już młody.

Na górze rozległo się skrzypnięcie, a potem trzaśnięcie drzwiami, i ktoś szybko zbiegł po schodach. Była to młoda kobieta, która mijając stojących w sieni, obrzuciła ich badawczym spojrzeniem. Najpierw chłopaka,

potem dziewczynę w karakułowym futrze z jawnie i nieubłaganie semicką twarzą.

— Nie wiem, czy to szantaż czy handel — powiedziała zjadliwie — ale na jedno i drugie ten dom jest za dobry.

— Co pani sobie wyobraża? — krzyknął Witold. — Jaki szantaż? Jaki handel?

— Ja tam swoje wiem. Wynoście się stąd! — Wyszła, głośno zamykając za sobą bramę.

— No i widzi pan — szepnęła Chajka — o nic innego nas... o nic innego pana nie podejrzewają. Szantaż albo handel!

— To i dobrze — mruknął Witold. Wziął od dziewczyny książki, wsadził je do swojej torby. — Bardzo dobrze!

— Ma pan rację — potwierdziła po namyśle. — Czy wybiera się pan w tych dniach do tatusia?

— Tak. Jesteśmy w... stałym kontakcie.

— To niech pan zostawi tytuły dalszych książek dla profesora. Trzeba się śpieszyć.

Udał, że nie zrozumiał.

— Profesor nie pracuje tak szybko.

— Wiem. Ale ja muszę się śpieszyć.

— Pani ojciec ma bardzo dobry plan.

Potrząsnęła głową.

— O tym właśnie myślałam.

Wyszła pierwsza, a on dopiero po chwili opuścił sień.

— Co tak długo? — spytała Myszka.

— Musieliśmy porozmawiać.

— Czy ta kobieta, która wyszła stąd... zaczepiła was?

— Nie.

— Zdawało mi się, że coś mówiła.

— Może mówiła do siebie. To się ludziom czasem zdarza.

Nie chciał informować Myszkę o incydencie z kobietą w bramie. Posądzenie o szantażowanie ukrywających się Żydów było czymś najobrzydliwszym w wojennej obyczajowości. Ale zdarzało się. Zdarzało się, że ktoś rozpoznawszy na ulicy Żyda bez gwiazdy Dawida na płaszczu — szedł za nim i dopadłszy go wreszcie, domagał się okupu za poniechanie denuncjacji. Matka miała koleżankę z gimnazjum Żydówkę, która na kilka lat przed wojną przeszła wraz z mężem na katolicyzm. I, jak to u neofitów bywa, byli bardzo pobożni, chodzili co dnia na ranną mszę do katedry, przystępowali co niedziela do komunii świętej, być może w nadziei, że ich to uratuje. Ale właśnie podczas nabożeństwa podeszła do niej kobieta, która zażądała oddania obrączek — dyskretnego oczywiście, ale możliwego podczas podniesienia, gdy wszyscy klęcząc i nie rozglądając się po kościele pochylem głowy czczą unoszony przez księdza sakrament — zażądała obrączek i pieniędzy w zamian za milczenie. Dostała i nikt spośród osób modlących się obok niczego nie zauważył. Ale następnego dnia koleżanka matki wraz z mężem zgłosiła się w obozie janowskim, gdzie obydwójce przeszli na judaizm, chyba nie tylko dlatego, żeby całkiem formalnie — ze względu na wyznanie — móc tam przebywać. Opowiedziała to wszystko, gdy matka spotkała ją na ulicy i zaczepiła — choć tamta chciała ją wyminać — zdumiona gwiazdą Dawida na jej płaszczu. Dlaczego nie przyszedł do mnie? — zapytała, ale słowa marły jej na ustach, bo przecież wiedziała, że mówi to tylko dlatego, że sprawa jest już nieodwracalna i że przyjaciółka — Żydówka nie poprosi jej już o ukrycie. Przyznała się do tego, gdy podczas kolacji zapytał ją czemu płacze, a Anielka zakończyła całą sprawę westchnieniem: Jeszcze tego tylko nam brakowało!

Nie chciał więc mówić Myszcze o zachowaniu kobiety w bramie, choć nic złego w nim nie było, przeciwnie. Wziął znów dziewczynę pod rękę, pod skrzydełko, jak się wśród młodzieży mówiło, i od razu ruszyli szybkim krokiem.

— A teraz dokąd? — zapytała.

— Teraz na Kolonię Profesorską. Muszę oddać profesorowi książki, choć pewnie go nie zastanę, ma dzisiaj wykład dla innej grupy gdzieś na mieście.

W tramwaju stali sprasowani na tylnym pomoście, podczas porannych i przedwieczornych godzin tłok w tramwajach był największy. Arbeitsamt przydzielał ludziom miejsca pracy w różnych punktach miasta, nie licząc się z tym, gdzie kto mieszkał, a Lwów był duży, szeroko rozłożony na swoich wzgórzach. Przez otwarte drzwi, których nie można było zasunąć, bo ludzie wisieli na stopniach, zawiewał ostry wiatr. Witold starał się osłaniać przed nim Myszkę szerokimi swoimi plecami, w czym niewątpliwie udział miała wypchana przez krawca na ramionach kurtka z koca z prawdziwej wielbłądziej wełny.

— Kiedy to się skończy? — szepnęła Myszka. Przytuliła policzek do jego piersi, tłok na pomoście to usprawiedliwiał.

— Co?

— Zima i to wszystko.

Powiedział to, o czym od dawna marzył, co skrycie sobie planował:

— Gdybyśmy mieli jakiś ką...

— Kąt...?

— Pokój, w którym moglibyśmy być razem.

— Sami? — zapytała niepewnie.

— Sami. Kiedy zarobię trochę więcej pieniędzy, wynajmę gdzieś pokój na mieście.

Odsunęła się trochę od niego, choć ścisk nie bardzo na to pozwalał.

— I... co wtedy?

— Co wtedy? Będziemy razem! Dziewczyno!

— A teraz nie jesteśmy razem? Już bardziej razem być nie możemy.

— Och, to co innego!

— Miałbyś wyrzucać pieniądze na wynajmowanie jakiejś kuczy...

— To wcale nie byłaby kucza. Przeciwnie — duży, piękny pokój dla nas dwojga.

— Szkoda pieniędzy! — powiedziała. — A poza tym zanim je zarobisz, to już będzie wiosna i lato, i będziemy mogli siedzieć w parku. Poznaliśmy się w parku...

Nic nie zrozumiała. Nic a nic! A on nie śmiał powiedzieć jej wyraźnie, co się dzieje z chłopakiem podczas trwającego od miesiący przytulania i całowania. Kończył niedługo dwadzieścia jeden lat, miał kilka przygód z dziewczynami, ale w żadnej się nie kochał, to one go uwodziły, zapraszając do domu, gdy rodzice wyjeżdżali lub wychodzili do kogoś na imieniny. Nie zachował z owych przygód wspomnień; gdy spotykał te dziewczyny, witali się zwyczajnie: Cześć! Cześć! — jakby nic się nie zdarzyło między nimi. Najdziwniejsze było tylko to, że po powrocie do domu z takiej eskapady nie mógł patrzeć prosto w oczy matce ani Anielce, może nawet głównie Anielce, ona była bardziej dociekliwa.

— Och, jak ja tęsknię do wiosny i lata! — Myszka znowu przytuliła się do niego. To mi się chyba tylko zdawało, pocieszyła się szybko, on nie mógł myśleć o czymś takim, nie mógł sobie wyobrazić, że ona... Choć chłopcom nieraz roi się w głowie... Nie na darmo gdy wybierała się gdzieś z chłopakiem, matka wołała zawsze za nią: Mycha, bój się Boga! Jeszcze

by tego brakowało, żeby w ten ciężki, zły czas przyniosła do domu jakieś zmartwienie.

— Ja także! — powiedział Witold drętwym głosem. — Ja także tęsknię do wiosny i lata.

Na ulicach Kolonii Profesorskiej leżał śnieg. Odgarniany w śródmieściu przez pracujących pod ukraińskim nadzorem Żydów, tutaj leżał na jezdni i chodnikach, przemieniony gdzieś w lód wyslizgany przez dzieci. Przejechali się też na obcasach spory kawałek, Myszka się śmiała i obydwójce zapomnieli o rozmowie w tramwaju; młodość przestała nieść w sobie mroczne powikłania i mogło być właśnie tak: ślizgawka i śmiech dziewczyny nie przerażonej jeszcze miłością.

Już z daleka, gdy zbliżali się do willi Chołodyńskich, słyhać było rąbanie drzewa. Wasylko! pomyślał Witold z obudzoną nagle sympatią do mrukliwego Rusina. Wprawdzie ruszt gazowy, który niósł, miał wykluczyć, a przynajmniej ograniczyć palenie w piecach, niemniej jednak sama obecność Wasylka w domu profesora, jego pomoc, prawie opieka, miała w sobie coś pocieszającego. Tylko dlaczego Wasylko nie odgarnął śniegu z chodnika przed domem, ani ze ścieżki, która od furtki poprzez ogród do niego wiodła? Leń z Wasylka! pomyślał Witold z nagłym spadkiem sympatii do niego. Zastanawiał się, czy nie powiedzieć mu czegoś na ten temat, był już na tyle tu zadomowiony, że profesor może nawet byłby mu za to wdzięczny, skoro delikatność nie pozwalała mu przymuszać Wasylka do prac, których konieczności sam nie zauważał. A przecież na tych oblodzonych zaspach można było się przewrócić, złamać rękę czy nogę. Troska o profesora potęgowała złość na Wasylka, a sięgnęła szczytu, gdy dobrnąwszy do drewnitni, która stała poza domem, zobaczył, że drzewo rąbie... profesorowa. W huculskim futrzanym serdaku, w chustce na głowie — walczyła z opornym pieńkiem, który nawet po Jdlky uderzeniach siekierą nie dawał się rozłupać. Jej rudy kot był przy niej, ale przezornie trzymał się z daleka.

— Pani pozwoli — Witold pospiesznie przystąpił do niej — ja to zrobię.

Przestraszyła się, nie słyszała, jak szli — zaskoczona podniosła głowę, odgarnęła włosy z czoła i najpierw się zawstydziała: swego stroju, wyglądu, a także chyba i nieudolności w pracy, której nie potrafiła sprostać.

Witold wyjął siekiere z jej ręki, ale przedtem dokonał prezentacji:

— Moja koleżanka — pani profesorowa Chołodyńska. — A gdzież Wasylko? — spytał, gdy już kilka odrąbanych polan leżało na ziemi.

— Ten okropny Wasylko — powiedziała profesorowa — szkoli się na generała. Nie pokazuje się od kilku dni. Poszłam do jego matki, zapytałam, co się z nim dzieje. Powiedziała, że jest skoszarowany.

— Co takiego?

— Skoszarowany! Tylko tyle umiała mi powiedzieć.

— Czy to znaczy...

— Och, bardzo łatwo się domyśleć, co znaczy. — Podniosła dłoń do oczu. — Wbiłam sobie drzazgę w palec, pewnie będzie ropieć.

— Trzeba ją zaraz wyjąć — powiedziała Myszka troskliwie.

Lidia Chołodyńska jakby dopiero teraz przyjęła do wiadomości jej obecność. Obrzuciła dziewczynę uważnym spojrzeniem i jeszcze bardziej zawstydziała się zaniedbania, w jakim ją zastali.

— Tak — szepnęła — trzeba ją zaraz wyjąć. Może mąż zaraz wróci — dodała.

Witold nałożył sobie naręcz drewna, drugą wzięła Myszka, poprzedzani przez gospodynię ruszyli ku domowi. Szła szybko, jakby chciała jak najbardziej skrócić czas, w którym mogli obserwować z tyłu jej potargane włosy wystające spod chustki, serdak — zapewne pamiątka z odległych wakacji w Worochcie czy Zaleszczykach, fartuch, którym cała była przepa-

sana, i przydeptane filcaki na nogach... Gdy tylko weszli do willi, zniknęła w pokoju i zanim Witold z Myszka zdążyli ułożyć polana w miejscu, w którym składał je Wasylko — ukazała się już bez serdaka, fartucha i chustki, gładko przyczesana, ale jeszcze bardziej zawstydzona tym, że musieli to zauważyć, choć tak naprawdę zauważyła i zrozumiała tę zmianę w wyglądzie tylko Myszka.

Witold wyjmował już ze swojej torby ruszt gazowy i szukał miejsca przy kuchni, żeby go podłączyć.

— Co to jest? — spytała gospodyni zdumiona.

Uśmiechnął się do niej uradowany.

— Obiecałem panu profesorowi, że zdobędę coś takiego i przyniosę,

— Mąż nic mi nie mówił.

— Pewnie myślał, że mi się nie uda. Bo to rzeczywiście nie takie proste. — Podłączył przewód gazowy do kuchenki, pociągnął go przez hall i wszedł do najbliższego pokoju. — Przydałaby się jakaś blacha — powiedział.

— Nie mam takiej blachy — zmartwiła się bezradnie.

— Może być blacha do ciasta — poradziła Myszka. — Na pewno jest w bratrurze. Zaraz zobaczę. — Nie pytając o pozwolenie, pobiegła do kuchni i wróciła z blachą, która akurat nadawała się pod ruszt. Już po chwili błogie ciepło zaczęło promieniować z gazowych płomieni.

— My w ten sposób — powiedział Witold — ogrzewamy co dnia jeden pokój. Tylko jeden, żeby wysokie zużycie gazu nie podpadło kontrolerowi. Choć czasem wystarczy dać mu w łapę...

— Dziękuję panu — uśmiechnęła się, speszona jednak trochę tą niespodziewaną darowizną. — Ale to na pewno coś kosztowało...

— Drobiazg — Witold potrząsnął głową — nie ma o czym mówić. Najtrudniej było znaleźć coś takiego. Ale to już zasługa naszej Anielki — przyznał się wreszcie, nie śmiąc całej zasługi brać na siebie. — Jeśli wie, że coś jest potrzebne, spod ziemi potrafi wydobyc.

— Dziękuję — powtórzyła. I dodała: — Bardzo bym chciała poznać Anielkę.

— Może dojdzie do tego — roześmiał się Witold, przypominając sobie, jak to Anielka zgłosiła gotowość umycia okien w willi profesora za naukę, którą u niego pobierał i zamiast książek, przynoszonych mu z biblioteki, co wydawało jej się tak niebezpieczne, że nieraz to przed nią ukrywał. Sięgnął do torby: — A to są książki dla pana profesora. Proszę powiedzieć, żeby przygotował spis dalszych. Zabiorę, gdy przyjdę we wtorek na wykład. — Jest w domu łopata? — zapytał nagle.

— Po co panu łopata?

— Śnieg odrzucę sprzed domu. I ścieżkę oczyszczę. Pan profesor mógłby się pośliznąć...

— Obydwoje — powiedziała z naciskiem — uważamy, żeby się nie pośliznąć. A w ogóle może już w końcu będzie wiosna i śnieg stopnieje.

— Ale tymczasem wciąż leży. — Skierował się ku drzwiom, zatrzymała go jednak ruchem ręki.

— Nie lubię słowa „tymczasem”. Ma kilka znaczeń, to — którego pan użył, ale jeszcze i inne. — Podeszła do półki z książkami, szukała przez chwilę dotykając palcem ich grzbietów, aż znalazła i wyjęła z szeregu niedużą książeczkę, którą od razu otworzyła na wiadomej stronie, musiała często odczytywać ten tekst. — Mój mąż napisał w swojej pracy: „Nigdy — lub prawie nigdy — nie używam słowa tymczasem. Bo cóż to jest za słowo? Co ono oznacza — że wszystko wokół gna bez chwili spoczynku ku swemu nieistnieniu? Nawet to, co nie żyje, poddane jest wewnętrznemu ruchowi przemijania, swojej tymczasowości. Jest więc to słowo tragiczne, bo-

leśniejsze niż żal czy cierpienie, okrutne w swej bezapelacyjności. A zatem choć wszyscy jesteśmy, choć wszystko wokół jest tymczasem, nie będziemy używać tego niedobrego słowa. A jeszcze i dlatego, że jesteśmy Polakami, bo poza tamtym swoim znaczeniem ma ono jeszcze jedno dla narodów cierpiących: obojętność. Gdy one walczą, gdy wykrwawiają się tracąc najlepszych spośród siebie, gdy są mordowane i ujarzmiane, świat żyje tymczasem swoim życiem i nie ma nic bardziej powolniejszego niż pomoc czy ratunek".

Odłożyła książkę, wsunęła ją między inne na półce.

— Ostatnie zdanie mąż dopisał teraz. Na marginesie. Choć oczywiście nie jest to w naszej historii tylko margines terażniejszości.

— Ale mnie się wydaje... — odezwała się z wahaniem, ale jednak brnąc w swoim nietakcie Myszka — mnie się wydaje, że w słowie tymczasem jest także pociecha i otucha. I że... wolałabym to znaczenie od innych treści.

— Co ty opowiadasz? — przerwał jej Witold, zmieszany — nie odważyłby się poddać w wątpliwość wywodu profesora. I pośpiesznie uciał wszelką dyskusję: — A jednak poproszę o łopatę i odrzucę śnieg sprzed domu.

— Łopaty są w drewni — powiedziała profesorowa. Prawdopodobnie bezwiednie użyła liczby mnogiej, ale Myszka także ruszyła ku drzwiom.

— Pomogę ci.

— Dam sobie radę.

— Pomogę ci! — powtórzyła z naciskiem. — Wiesz — powiedziała, gdy rozbijał zmarznięty śnieg na ścieżce — nie tak sobie wyobrażałam żonę profesora Chołodyńskiego.

— Jest trochę zaniedbana. W takim dużym domu ma wiele pracy, a rozpieściły ją chyba pierwsze lata małżeństwa przed wojną.

— Opowiadała ci?

— Nie, skądże? Ale tak to sobie wyobrażam. Profesor uniwersytetu przed wojną coś znaczył. I była to nie tylko wysoka ranga zawodowa i towarzyska, ale także i odpowiednia pensja.

— A wiesz, ile zarabiał kolejowy maszynista? — Myszka podparła się na łopacie. — Ojciec miał nadzieję, że dostanie się na kurs maszynistów, tylko że akurat wybuchła wojna. Ale jako hajcer też nieźle zarabiał. Byliśmy nawet raz na wakacjach w Iwoniczu. Obiecywał nam, że jak zostanie maszynistą, to co roku będziemy wyjeżdżać. No i tymczasem wszystko diabli wzięli. Widzisz, jest jeszcze jedno znaczenie słowa „tymczasem”.

— Ale niepotrzebnie wyjechałaś z tą poprawką do wywodu profesora.

— Przede wszystkim to nie była poprawka, lecz uzupełnienie.

— Zgoda. Musisz jednak przyznać, że zawarł w tym, co napisał, całą prawdę naszego istnienia.

— Ale głównie tylko egzystencjalną. I gdyby nie było tego dopisku na marginesie...

— Tak — zamyślił się Witold — gdyby nie było tego dopisku na marginesie — urwał, patrzył na Myszkę zaskoczony. Uważał rodzinę Dawrosiewiczów za prymitywnych prostaków, którzy mieli piękną córkę, ale mimo woli i ją zamykał w tym kręgu, a przecież była studentką i, choć nie kontynuowała teraz studiów, coś z dawnych wykładów musiało pozostać w jej głowie. Teraz właściwie go zawstydziła, bo nie on, tylko ona zwróciła uwagę na to, że dopisek profesora na marginesie przedwojennej jego książki jest najistotniejszy w dzisiejszym czasie. Myślał właśnie tak samo i to samo, gdy ojciec był w więzieniu, gdy szukał jego zwłok wśród innych pomordowanych więźniów, a świat żył tymczasem swoim życiem i nie można się było spodziewać ani pomocy, ani ratunku. — Masz rację — po-

wiedział. Zabrał się ostro do odgarniania śniegu, a Myszka także już się nie odezwała.

Po oczyszczeniu ścieżki i chodnika przed domem odnieśli łopaty do drewnutni i wrócili do willi, żeby pożegnać profesorową. Siedziała w kucki z dłonią zanurzoną w garnku wypełnionym mydlaną wodą.

— To podobno pomaga — zawstydziała się, że wierzy w takie rzeczy — może drzazga sama wyjdzie. Powinnam ją od razu wyjąć, tylko że ostatnio jakoś źle widzę, wzrok mi się osłabił, muszę pewnie zacząć nosić okulary. Ale teraz wszystko takie drogie...

— Czy mógłbym to zobaczyć? — Witold zbliżył się do niej. Kot, siedzący na stole obok naczynia z wodą, patrzył mu przenikliwie w oczy.

— Och, nie — zaprotestowała. — Mąż niedługo wróci...

— Niech się pani nie boi, zrobię to delikatnie. — Wyjął rękę kobiety z wody, przyjrzał się skaleczeniu. — Poproszę o cieką igłę. I spirytus dla dezynfekcji.

— Spirytusu nie mam.

— Ani kropli?

— Ani kropli.

W tym domu naprawdę przydałaby się Anielka, pomyślał Witold. Wziął podaną mu igłę, podszedł do pokoju, w którym wciąż palił się gaz, potrzymał igłę nad płomieniem. Drzazga tkwiła głęboko pod skórą i nie od razu dało się ją wydobyć. Witold spostrzegł, że nie tylko zraniona dłoń drży, ale że i jemu trzęsą się ręce. Przypomniało mu się, co opowiadał Siebel o wizycie profesora w jego sklepie, gdy przyszedł z narzeczoną, żeby kupić jej pierścionek. Paluszki, jak u lalki, powiedział — ale teraz już tak nie wyglądały, zniszczone domową pracą, poparzone i poranione, z coraz większą raną na jednym z nich, gdzie wciąż tkwiła nie dająca się usunąć drzazga. Uświadomił sobie, że ręce Anielki, która przecież wszystko w

domu robiła, były w lepszym stanie pewnie dlatego, że przyzwyczajona do swojej pracy umiała dawać sobie z nią radę.

— Już! — powiedział z ulgą na pewno większą niż ta, którą ona mogła odczuwać, gdy ostry kawałek drewna został wreszcie wydobyty z palca. — A teraz niech pani moczy palec w wodzie z mydłem. Zawsze to jakaś dezynfekcja.

— Dziękuję, bardzo panu dziękuję! — Włożyła znów rękę do garnuszka i patrzyła na niego z wdzięcznością. Zauważył po raz pierwszy, że oczy ma szare, nakrapiane złotymi plamkami, ale nie pomyślał o nich, że piękne, tylko że — słabe, słabe na pewno z niedożywienia. Rany boskie! Nad czym on się zastanawiał, cierpiąc się tak długo, gdy Dawrosiewicz proponował, żeby ukraść trochę tej drogocennej wełny; mogłoby to poprawić byt wielu ludziom; o tym powinien myśleć, tylko o tym!

— Pani Lidko! — powiedział, po raz pierwszy zwracając się do niej w ten sposób, co samego go zdziwiło. — Proszę już nigdy nie rąbać drzewa! We wtorek po wykładzie zostanę i narąbię ile trzeba. A co do okularów to... — chciał powiedzieć, że już prawie zdecydował się na przeprowadzenie machlojki z wełną, ale jednak powstrzymał się od tego. — Co do okularów, to mamy znajomego okulistę...

— Dziękuję! — powtórzyła coraz bardziej zdumiona.

Gdyby oderwał wzrok od jej oczu, dostrzegłby zapewne nikły, ale wyraźnie ironiczny uśmiezek Myszki, która z rosnącym zniecierpliwieniem przysłuchiwała się jego żarliwym deklaracjom.

— Gaz potrafi pani zgasić sama? — zapytała.

— Cóż prostszego? — przerwał jej Witold, zrozumiałwszy intencję tego pytania. — Tylko ruszt trzeba schować — zwrócił się do profesorowej. — Bo jednak zdarzają się kontrole.

— Komedia! — parsknęła Myszka, gdy wyszli.

— Z czym komedia? — spytał cierpko.

— Z tym wyjmowaniem drzazgi. Z rąbaniem drzewa. Ze wszystkim!

— Trzeba pomóc kobiecie... — zaczął łagodnie nie przeczuwając jeszcze kłótni.

— Moja mama przez całe życie robiła wszystko sama! — wybuchnęła Myszka z nie wiadomo do kogo skierowaną pretensją. — I nikt się nad nią nie litował.

— A jednak ojciec kazał pomóc jej w kuchni.

— Komu?

— Tobie i Tyci.

— Ach, to zupełnie co innego.

— Nie widzę żadnej różnicy.

— Owszem. My jesteśmy córkami, a ty jesteś bądź co bądź całkiem obcy człowiek.

— Dla kogo?

— Dla niej. Dla profesorowej. Dla pani Lidki, jak ją już nazywasz.

Zazdrosna! pomyślał Witold ubawiony. Odpowiedział jednak spokojnie.

— Jestem studentem profesora. A w dawnych wiekach zacy i uczniowie mistrzów...

— Och, daj mi spokój!

Korzystając z tego, że na ulicy było pusto — szybko pocałował ją w policzek, wziął pod rękę.

— Nie bój się! — parsknęła. — Nie musisz mnie wspierać ramieniem. Nie pośliznę się i nie przewrócę. Swoje opiekuńcze uczucia zachowaj dla starszych pań, które tego potrzebują.

— Ona jest całkiem młoda — roześmiał się Witold.

— W jaki sposób od razu wpadłeś na to, że mówię o niej? Może miałam na myśli twoją matkę?

Dąsała się aż do domu, ale w bramie wycalował ją do utraty tchu i rozstali się pogodnie.

— Śpiesz się! — powiedziała. — Godzina policyjna niedługo.

Zdażył na szczęście, choć musiał prawie biec, ale tym bardziej zdumiał się, gdy Anielka z wypiekami na twarzy powiedziała mu w przedpokoju, że czeka ktoś na niego. O tej porze? O tej porze mógł to być tylko gość, którego nie obowiązywała godzina policyjna, ale Anielka była umiarkowanie wystraszona, nie chodziło więc chyba o wizytę najgorszą z najgorszych...

— Kto? — spytał, pośpiesznie ściągając kurtkę.

— Mówi, że dziennikarz.

— Dziennikarz? Polak?

— Polak.

— Dokąd go poprosiłaś?

— Do salonu.

— Tam strasznie zimno.

— To i dobrze — powiedziała Anielka.

Na progu swego pokoju ukazała się matka, gestem przynagliła go, żeby najpierw wszedł do niej.

— Rozmawiałam z nim. To dziennikarz z „Nowego Wieku”. Pisze artykuł o więzieniu na Łąckiego. O pomordowanych w tym więzieniu przez Sowietów...

Z fotela pod oknem podniósł się porucznik Leszek. Witold odnotował najpierw, jakby to była ze wszystkiego, co się działo, rzecz najważniejsza, że kawalerzysta, zadomowiony już całkiem w ich mieszkaniu, ma na sobie sweter ojca, ten, który ojciec najbardziej lubił i którego z tego właśnie powodu Anielka nie sprzedała jeszcze na bazarze.

— Nic nie mów! — powiedział prawie rozkazująco. — Nic nie wiesz, nic nie widziałeś! Nie byłeś w ogóle tam... W takich sprawach trzeba być bardzo ostrożnym.

— W jakich sprawach? — spytał cicho czując, że krew napływa mu do głowy. — W jakich sprawach?

— W tych właśnie. Nie daj się wciągnąć w żadne opowieści!

— Więc nie wolno mi nawet... — warknął przez zaciśnięte zęby — nie wolno mi nawet nikomu powiedzieć, jak zginął mój ojciec? Co z nim zrobili? I za co? Za co? Za nic!

Porucznik objął go niezgrabnie tą swoją jedną ręką, przyciągnął do siebie i Witold miał teraz blisko przed oczyma rozpięty na jego szerokiej piersi ten najbardziej przez ojca ulubiony sweter, którego Anielka do tej pory, właśnie dlatego do tej pory nie wyniosła na bazar...

— Więc nie wolno mi nawet... — powtórzył.

— Bądź rozsądny! — powiedział porucznik. — Nakazuję ci być rozsądnym! Wojna trwa! Trwa — i my, Polacy, jesteśmy w takim szachu...

Witold cofnął się o krok, ręka porucznika opadła. Może gdyby kawalerzysta nie miał na sobie swetra ojca i może gdyby jego ton nie był tak rozkazujący — zachowałby się inaczej. Nie wszedłby do salonu z obrazem

tamtego strasznego dnia w oczach i pragnieniem mówienia o nim z kimkolwiek, jakby to miała być nie tylko częśćka jego bólu, ale i zemsty.

— Przede wszystkim... — zaczął, gdy gość, łysawy młody człowiek, przedstawił mu się i wyjawiał cel swojej wizyty — przede wszystkim niech pan pamięta, żeby zacząć od tego, że był upał, koniec czerwca, upał niesamowity — więc kiedy otworzono więzienie, buchnął stamtąd odór tak potworny, że można było paść, paść na ziemię od tego smrodu i myśli, że tam jest także ciało mego ojca, że rozkłada się i śmierdzi, jak zwykła padlina...

Młody łysawy człowiek notował — w pośpiechu i z przerażeniem w oczach, gdy na chwilę podnosił je na niego — notował, śpieszył się, żeby nie uronić żadnego słowa, a on zapomniał do kogo mówi i po co, zapomniał, że artykuł ma ukazać się w „gadzinówce”, a ten, kto go napisze, nie jest już w pełni Polakiem, bo pisze to, co podoba się, co może podobać się Niemcom.

— Więc najpierw: smród! Niech pan pisze — smród nie ludzki, a przecież ludzki, pomordowani przez ludzi ludzie, ich ciała rozkładały się w czerwcowym upale, gdy jedna wielka armia ustępowała przed drugą wielką armią i wszystko było dozwolone, a odpowiedzialność za zbrodnię ukryła się na najodleglejszej z planet naszej galaktyki.

— A ja bym tego tak nie ujął — młody łysawy człowiek odjął od notatnika swoje wieczne pióro; patrząc na Witolda zamrugał powiekami. — Ja bym tego tak nie ujął — bo przecież to, co się teraz dokonuje, jest jednak jakimś odwetem i za to, co się stało w więzieniu na Łackiego także. Słyszał pan ostatnie komunikaty Oberkommando der Wehrmacht? Wie pan dokąd już zapędziła tę pierwszą wielką armię druga wielka armia?

Witold przytomniał powoli. Odwet? pomyślał w popłochu. Przez kogo dokonany odwet? Nie ci, którzy go sobie przypisywali, mieli do niego prawo. Zbrodnie na Wzgórzach Wóleckich i na Łackiego wpisywały się do jednego rejestru. My, Polacy, jesteśmy w takim szachu... — powiedział porucznik, którego prawie odepchnął od siebie, choć nie zasługiwał na to.

— Napiszemy spokojną, dobitną, niezaprzeczalną prawdę — ciągnął przedstawiciel „Nowego Wieku”. — Znalazł pan ciało swego ojca wśród pomordowanych na Łackiego, tak?

— Tak — potwierdził Witold z zadławiającą mdłością w sercu, nie w żołądku, ale właśnie w sercu — więc co to było? Żal? Wciąż ten sam, nie złagodzony przez czas — żal? Czy strach? Dlaczego strach? Przenikliwy strach, jakby dokonywał się los — własny czy cudzy — ale zawsze czyhający na słowa, które nie powinny być wypowiedziane w jakiejś złej godzinie.

VI

— Ten Bednarski wygląda na coś lepszego — powiedziała Anielka, wyjmując z torby i kładąc na stole dwa piękne bochenki białego chleba. Nigdy przedtem: przed wojną, w spokojny, syty — choć nie dla wszystkich — czas nie miał chleba dla ludzi tyle piękności, tyle smaku i zapachu; ciekawe, myślała Anielka, czy zechcą o tym pamiętać, gdy nie będą głodni? Nakryła bochenki lnianą ściereczką, ale zaraz chwyciła nóż i odkrajała z jednego przyrumienioną przylipkę dla Witolda, który siedząc przy stole czekał na obiad i na dalsze wynurzenia Anielki o Bednarskim.

Dziś wyjątkowo chleba nie przyniosła matka; zapowiedziała rano przed wyjściem z domu, że musi po pracy załatwić coś w mieście, więc żeby nie musiała ta- skać ze sobą chleba, niech Anielka przyjdzie po niego do piekarni. Anielka poszła z ochotą, od dawna była ciekawa Bednarskiego, tak hojnego chlebobawcy — w całym tego słowa znaczeniu — mecenasowej. Najbardziej była ciekawa, czy rzeczywiście się w niej durzy, choć nie spodziewała się, że to się tak od razu da zauważyć. Podpałiła gaz pod

wcześniej ugotowaną zupą i przysiadła na chwilę przy stole naprzeciwko Witolda, żeby mu opowiedzieć o swoich wrażeniach.

— Nie wyobrażaj sobie tylko, że naprawdę wygląda na piekarza, że chodzi w białej czapie przepasany płócienną weretą. Takich to on ma kilka w piekarni przy dzierzach i piecach, a sam siedzi w pokoju obok za biurkiem w popielatym ancugu, ze złotą szpilką w krawacie, siedzi sobie za biurkiem, a mamuńcia twoja za drugim. I nic tylko liczą oboje na liczydłach, a chrobotanie takie i grzechot od tego w pokoju, że nawet nie słyszeli, kiedy weszłam. Więc zakaszlałam w progę, raz i drugi, pani mecenasowa podniosła pierwsza głowę i mówi do niego: A to jest właśnie nasza Anielka! — Musiała mu nieraz mówić o mnie, bo od razu wiedział o kogo chodzi. I co ty na to powiesz? Jak go zobaczyłam, pomyślałam sobie: funiaste panisko, a on wyskakuje zza biurka, rękę mi podaje i do krzesła prowadzi. Niech sobie pani Anielka siada — mówi. — Może zmęczona. Anielka nigdy nie jest zmęczona — roześmiała się mama. — I przyszła tylko po chleb, bo mam coś, jak stąd wyjdę, załatwić na mieście... — mama nie wiadomo dlaczego się zaczerwieniła i dokończyła już całkiem cicho, jakby się tłumaczyła temu Bednarskiemu, że nie idzie prosto do domu — więc ciężko by mi było nosić chleb ze sobą.

— Jasne — powiedział Witold. — Takie dwa bochny to chyba ze dwa kilo.

— Ta poczekaj, co ten Bednarski na to: Pójdę z panią — mówi od razu. — Jeśli ma pani coś do załatwienia na mieście, pójdę z panią! Czasy teraz takie... A mama zaczerwieniła się jeszcze bardziej. — Nie, nie! — zaczęła się bronić. — Dziękuję. Po cóż by miał się pan fatygować? — Taż to żadna fatyga dla mnie — mówi Bednarski. — To przyjemność! — Tak powiedział: przyjemność! Ale mama i tak się nie zgodziła, żeby szedł z nią, podziękowała bardzo uprzejmie, tylko nie wiem dlaczego była taka zmieszana, co Bednarski musiał zauważyć i po swojemu jakoś zrozumieć, bo z ppwrotem usiadł za biurkiem i już się nie odezwał, a ja sobie zaraz poszłam, bo mi się go zrobiło żal. I tobie też by było go żal, jakbyś na niego

patrzył. Bo wcale nie funiasty od tych pieniędzy, co je teraz na swoim chlebie zarabia, tylko jakby całkiem biedny. I mówię ci, nie wygląda na piekarza. Na coś lepszego wygląda!

— Anielko! — uśmiechnął się Witold. — Piekarz podczas wojny najlepszy z najlepszych! Jeszcze tego nie pojęłaś?

Anielka zamyśliła się.

— Może — powiedziała jednak dość niepewnie. — Przyzwyczajona do bywających w tym domu adwokatów, prokuratorów, sędziów i lekarzy nie ceniła zbyt wysoko rzemieślniczego stanu.

— A szewc? A krawiec? — ciągnął dalej Witold, głównie jednak zainteresowany tym, czy zupa już się dostatecznie podgrzała. — Te zawody może nawet lepiej teraz się mają niż przed wojną. W każdym razie żyje im się łatwiej niż dawnym urzędnikom. Z inteligencji to tylko lekarze nie muszą szukać innych zarobków... Żeby tylko ta zupa nie była za gorąca!

— Zobacz, jaki mały gaz! — Anielka nie miała zamiaru zakończyć ekscytującej ją rozmowy. — A powiem ci jeszcze, że na mamę to byłam prawie zła.

— Co ty mówisz? Dlaczego?

— Dlaczego? — Anielka wstała już od stołu, ale jeszcze na chwilę do niego wróciła. — Bo źle potraktowała tego Bednarskiego, a on na to nie zasługuje. Dla pana Leszka potrafiła być miła, czasem to mi się wydawało, że aż za bardzo. Ciekawe — Anielka zamyśliła się — gdzie on się teraz obraca?

— Nie wiem — powiedział Witold zgodnie z prawdą. — Pojęcia nie mam. — Nie chciał wtajemniczać Anielki, dlaczego nic nie wie i że nie powinien wiedzieć — zasada konspiracji wykluczała ciągłość pobytów i zadań.

— Może narokuje niespodzianie — Anielka podniosła pokrywkę na garnku z zupą, żeby sprawdzić, czy już się zagrzała. — Źle mu u nas nie było.

— Też tak myślę — powiedział Witold bez przekonania. Zastanowił się, czy uczucia obudzone, gdy poznał porucznika, gdy go pierwszy raz zobaczył i uściśnął jego lewą rękę, nie uległy osłabieniu podczas jego pobytu w ich mieszkaniu.

Anielka jakoś skojarzyła jego milczenie ze swoimi myślami.

— Ten sweter pana mecenasa, co mu pani mecenasowa dała, żeby nosił — to on zostawił. I sprzedałam go zaraz na bazarze.

— Dajże wreszcie tę zupę! — powiedział Witold. Było mu czegoś żal, sam nie wiedział czego, czuł w sercu ćmienie, jak rodzący się ból zęba. — Czekam na Zygmunta Teleszkę — dodał, żeby to przerwać i zagłuszyć. — Dasz mu trochę zupy?

Anielka zasumowała się nad garnkiem.

— Dla mamy nie zostanie.

— Dolejesz trochę wody — zażartował Witold.

— Ah! — obruszyła się Anielka. — Juszki ani wasseryci pani mecenasowej nie podam! Pan Zygmunt dostanie chleba z leberką.

— Dobre i to — ucieszył się Witold. Zygmunt wydawał mu się zawsze niedożywiony, może taka była jego uroda, a może naprawdę nie dojadł. Choć ostatnio i jemu powinno się poprawić, pracował także w Landwirtschaftliche Zentralstelle i razem kręcili tę wełnianą machloję, która — jak słusznie przewidywał papa Dawrosiewicz — okazała się złotym interesem. Niespodziewanie zasobni umówili się nawet, że pójdą dziś na ciastka do cukierni, którą w pobliżu katedry prowadziła przedwojenna senatorowa; nie udało się jej we wrześnie trzydziestego dziewiątego towarzyszyć mężowi w ucieczce za granicę i oto zadziwiała Lwów nie ujawnionymi w przedwo-

jennej świetności talentami — jej ciastka przypominały dawne ciastka od Zaleskiego i były sławne w całym mieście, choć miały dwie dość zasadnicze wady: były drogie i bardzo małe. Solidny więc podkład z chleba był bardzo potrzebny przed tą wyprawą do cukierni, w której miała uczestniczyć także — uroczyście, bo po raz pierwszy — zaproszona Myszka. A dla niej — Witold rozpromieniał się, myśląc o tym — przyjemność miała być podwójna: ciastka senatorowej i okazja, żeby wreszcie pokazać się w kapeluszu, który jej kupił, choć bardzo wzbraniała się przyjęcia tak drogiego prezentu. Wojna wojną, ale i podczas niej kobiety usiłowały być modne, a właśnie u lwowskich modystek pojawiły się niebiesko-popielate kapelusze z włochatego filcu, o dużych, bardzo twarzowych rondach. Kupił taki matce, a potem i Myszcze po długich z nią targach. Marzyło mu się, żeby kupić... trzeci, ale zaniechał tej myśli, nie tylko dlatego, że wyzbyłby się już wszystkich pieniędzy, ale także — i przede wszystkim — i z tego powodu, że prezent na pewno nie byłby, nie mógłby być przyjęty.

Zygmunt zjawił się bardzo podniecony.

— Widziałem naszego porucznika — powiedział już w przedpokoju.

— Którego?

— A z kim mieliśmy ostatnio kontakt? Leszka!

— To niemożliwe.

— Dlaczego?

— Chyba pokazałby się najpierw u nas. Mieszkał tutaj dość długo.

— I to wystarczający powód, żeby zmienić adres. Wyjechał do Warszawy, a po powrocie nawet wskazane było, żeby zatrzymał się gdzie indziej.

— Gdzie go widziałeś?

— Na Kopernika.

— Może ci się zdawało, że to on?

— Może — tracił pewność Zygmunt. — Teraz tylu okaleczonych mężczyzn widzi się na ulicach. Bo głównie dlatego zwróciłem uwagę na tego przechodnia, że miał pusty rękaw... zaraz... a może to nie był prawy lecz lewy, sam nie wiem. Szedł tak szybko i widziałem go tylko z tyłu.

— Gdyby się zjawił we Lwowie, Romek Wierzeja wiedziałby o tym.

— Na pewno. Musimy wpaść do niego w tych dniach. Chociaż — roześmiał się Zygmunt, zerkając na Anielkę — kępuje mnie zawsze, gdy służąca po otwarciu drzwi kieruje mnie do gabinetu pana doktora.

— Raczej do poczekalni, tam zawsze pełno.

— I w ten sposób objawia się wojna! — Zygmunt zamilkł, bo Anielka postawiła przed nim talerz z dwiema kromkami chleba posmarowanego leberką.

— Niech sobie pan Zygmusz poje — powiedziała.

— Och, dziękuję! — gość niby to wzbraniał się przed poczęstunkiem.

— Wtrajaj jak dają! — zaprosił go bardziej dobitnie Witold. — Widzę, że tobie także potrzebna prynuka do jedzenia, jak u Ukraińców, którzy wychodzą głodni z gościny, gdy prynuki nie było.

— Ja na pewno głodny nie wyjdę! — Zygmunt chwycił kromkę z talerza, wbił w nią zęby. — Skąd macie taki wspaniały chleb? Przed wojną takiego nie było!

— Był, tylko tak nie smakował — powiedziała Anielka. — A ten chleb od Bednarskiego, od szefa pani mecenasowej. — Specjalnie nazwała tak piekarza, bo wciąż jej się wydawało, że nie jest przez swoją pracownicę traktowany jak należy. — Ma się rozumieć, to nie jest chleb na kartki.

— Wcale tak nie myślałem — mruknął Zygmunt pochłaniając drugą kromkę. Chciał jeszcze zapytać, skąd leberka, bo mu się wydała tak pyszna,

że i ona na pewno nie pochodziła z kartkowego przydziału. Handel miał podczas wojny podwójny nurt — ten oficjalny, na kartki, obejmujący produkty, które zdaniem Niemców powinny wystarczyć Polakom do przeżycia i utrzymania sił do pracy, i ten drugi, który był prawdziwym sposobem zdobywania koniecznego wyżywienia.

— A leberka — dodała Anielka, jakby zgadując jego myśli — od baby aż z Gródka. Co tydzień mi przywozi. Wolę brać od niej, niż kupować na bazarze. Przynajmniej wiem, że na pewno z paciuka.

— Anielka się boi — roześmiał się Witold, że na bazarze sprzedają wędliny z ludzkiego mięsa. Tylko nie wiem, skąd ta pewność, że w Gródku Jagiellońskim...

— Ja jednak wolę mieć tę pewność — roześmiał się także Zygmunt. Ale... jakby z oporem przełknął ostatni kęs.

— Och, ty durny wariacie! — obruszyła się na Witolda Anielka, trzepnąwszy go mokrą mytką. — Co innego kupować u pierwszego lepszego batiara na bazarze, a co innego od znajomej baby. Ta gdzieżby mi ona taki zbrodniczy towar do domu przyniosła?

— No, już dobrze, Anielko, przepraszam! — Witold schylił się, żeby uniknąć drugiego plaśnięcia mokrą mytką, bo jeszcze raz zamierzyła się na niego. — Idziemy! — powiedział do Zygmunta.

Wszystkie miasta pięknieją wiosną, więc i Lwów także, ale dodatkowej urody przysparzały mu wzgórza, które w pierwszych dniach kwietnia zaczynały się już zielenić w oddali ponad dachami domów i wieżami kościołów. Wysoki Zamek, Kopiec Unii Lubelskiej, Góra Lwia... Kiedy chodzili obydwaj do gimnazjum na Łyczakowskiej, te trzy wzgórza zapowiadały im najwcześniej wiosnę niby seledynowa mgła zawieszona w tej stronie nad miastem. Teraz też po wyjściu z domu zwrócili głowy w tym kierunku, ale nie doznali dawnej radości. Nie zieleń zdobiła teraz miasto, ale natarczywa czerwień i czerń hitlerowskich płacht, rozwieszonych na budynkach, gdzie mieściły się okupacyjne urzędy, a nawet lokale i sklepy „nur für Deutsche”,

których w miarę przesuwania się frontu na wschód przybywało coraz więcej. Minęli też przyozdobiony tak Hotel „George”, w którego słynnej restauracji ojciec Witolda załatwiał więcej spraw niż w swojej kancelarii i dokąd w nagrodę za dobre cenzury zapraszał swego podrastającego syna, nie przeczuwając, że nadejdzie czas, kiedy Polacy nie będą mieli tu wstępu. Przed głównym wejściem stało kilka samochodów, co oznaczało, że gośćmi restauracji czy hotelu są figury znacznej rangi; wobec konieczności oszczędzania benzyny dla celów wojennych samochody służbowe były przydzielane nie byle komu, nawet szef Witolda i Zygmunta w Landwirtschaftliche Zentralstelle poruszał się po mieście zaprzęgiem konnym, wiosną i latem — zarekwirowanym w jakiejś hrabiowskiej wozowni powozem, jesienią i zimą — w podobny sposób zdobytą kareta.

Przez otwarte szeroko drzwi tego zarezerwowanego teraz tylko dla zwycięzców przybytku dochodziły dźwięki muzyki i — złudny chyba przy wojennych er- satach — zapach kawy. Wchodzili i wychodzili oficerowie, nie tylko niemieccy, także włoscy i węgierscy, śmiały się głośno towarzyszące im dziewczyny — chciało się wierzyć, że były to tylko Niemki z takim zapalem zgłaszające się we wszystkich miastach i miasteczkach Reichu na jakże patriotyczny Osteinsatz. W kraju mężczyzn było jak na lekarstwo, tutaj wojna zgromadziła ich tysiące i wszyscy byli spragnieni towarzystwa kobiet. W obliczu niewiadomego jutra — wszyscy byli wściekle spragnieni towarzystwa kobiet.

— Co tak skapcaniałeś? — powiedział Witold do Zygmunta, który, zawsze lekko pochylony, zgarbił się jeszcze bardziej. — Nadejdzie czas, kiedy my będziemy wchodzić do tego lokalu z naszymi dziewczynami.

— Może z córkami, albo nawet wnuczkami. Bo jak się ta wojna będzie tak wlec jak dotychczas...

Witold usiłował zażartować:

— Zapominasz, że przedtem musielibyśmy się ożenić. A właściwie dlaczego nie? Tyle ludzi pobiera się mimo wojny. Co byś powiedział na to, gdybyśmy i my się ożenili?

— My nie możemy.

— Coś ty? Dlaczego?

Zygmunt przystanął, dużo niższy od Witolda podniósł na niego oczy. Jego drobna twarz pomniejszyła się jeszcze w pierwszy raz objawionym zniechęceniu.

— My nie możemy — powtórzył.

— Dlaczego? Wytlumacz mi — dlaczego?

Zygmunt długo milczał, gryząc wargi. Wreszcie rzekł:

— Bo kochamy się w jednej dziewczynie.

— Wariatuńciu mój słodki! — Witold wciąż usiłował żartować. — A czy ja powiedziałem, że chciałbym się ożenić z Myszką?

— A z jaką inną?

— No... może jednak najbardziej z nią — spoważniał Witold.

— No widzisz! I ja także innej bym nie chciał.

Znów ruszyli przed siebie i długa minęła chwila zanim Witold się odezwał, nadrabiając miną.

— Nie bierzemy pod uwagę, którego ona by wybrała.

— Chyba masz pewność, że ciebie. Na razie ciebie!

— Co to znaczy — na razie? Ach, masz znów na myśli swoje wartości wewnętrzne, które każda dziewczyna musi wreszcie dostrzec? — Witold śmiał się, ale już nie tak dobrotliwie, jak zwykle w obcowaniu z Zygmun-

tem, którego zawsze traktował niby młodszego brata, choć to on był młodszy od niego.

— Na razie — to znaczy: dopóki nie zrazi się do ciebie. A co do wartości wewnętrznych — Zygmunt znów przystanął, chwycił Witolda za klapy trencza — to mam uczucie, że obydwaj nie mamy ich już za wiele.

— Co ty mówisz?

— Dobrze mówię. Prawdę mówię! Bo co my robimy? Pracujemy dla Niemców, bo boimy się zostać bez ausweisu. Kradniemy i sprzedajemy wełnę, handlujemy żydowskim złotem...

— Zapominasz, że to także przysługa dla Siebla, który zbiera dolary na ucieczkę. Na ratunek.

— Myślisz, że mu się uda?

— Boję się o tym myśleć. I może nawet nie powinienem.

— Dlaczego?

— Bo cień wątpliwości u mnie osłabiłby w nim chęć i postanowienie walki o życie. On walczy. I jego córka Chajka także. Ona jeszcze i w inny sposób.

— Ale nasz udział w tej walce jest znikomy. Czas mija i nic nie robimy. Nic! Zupełnie nic!

— A co możemy zrobić? Oni są jeszcze bardzo silni.

— Właśnie! Bardzo silni! A nie powinni się takimi czuć — tu, na naszej ziemi! Gdyby tak na przykład prasnąć granatem choćby w to wejście do „George'a”. Niechby się przestraszyli, niechby przestali myśleć, że są u siebie, zwycięscy i bezpieczni. Niechby pomyśleli, że nigdy żaden wróg nie może się czuć bezpieczny na zdobytej ziemi. Wyskakiwaliby z łóżek w gaciach, dziewczyny by piszczwały. Choćby taki odwet się nam należy.

— Za ten odwet poszliby pod ścianę nasi zakładnicy!

— No, tak — posmutniał Zygmunt, rozpromieniony na krótką chwilę.
— Głupstwa gadam. Ale przecież nie możemy jak pacany czekać na zmiłowanie boskie. Mam nadzieję, że jeśli nasz porucznik wrócił...

— O ile to naprawdę jego widziałeś na ulicy.

— Powiedziałem: mam nadzieję.

Ruszywszy znów z miejsca skręcili w ulicę Boimów; Zygmunt przyspieszył kroku.

— Może Myszka już czeka?

— Nie czeka, nie czeka — uspokoił go Witold. — Kazałem jej przyjść na szóstą, a jest dopiero piętnaście po piątej.

— Kazałeś! Słusznie ci powiedziałem, że ona tylko na razie woli ciebie. Dopóki się nie przekona, że ją traktujesz...

— Dobrze ją traktuję, skoro jest szczęśliwa.

— A jest?

— Jest!

— Skąd ta pewność?

— Bo mi to mówi. I wygląda na to!

— Wiesz — Zygmunt zatrzymał się przed wejściem do cukierni senatorowej. — Ja chyba pójdę do domu, nie będę wam przeszkadzał. Poczytam trochę i wcześniej dziś pójdę do leżajska.

— Idy, idy — popchnął go ku drzwiom Witold — co mi tu za głodne kawałki zasuwasz? Powiedziałem Myszcze, że cię przyprowadzę...

— I znowu to twoje słownictwo! Jej kazałeś, mnie przyprowadzasz...

— Słuchaj, Zygmunt! — Witold wreszcie się zdenerwował. — Ty się coś za subtelny zrobiłeś. I czasy jakoś nie na to, i znamy się za długo, żebyś teraz przede mną funia strugał.

— Żadnego funia nie strugam.

— Właż! — Witold wcisnął go w drzwi, przy tej okazji dał kuksańca pod żebro. — I przed Myszką ani słowa o tym, o czym gadaliśmy po drodze.

— Miałbym się jej rzeczywiście z czego zwierzać.

— Pozwalam ci zalecać się do niej.

— Pocałuj mnie w nos, dobrze?

— Dobrze! Widzisz, jaki jestem miły, a ty wciąż masz mi coś do zarzucenia.

W cukierni, małej i przytulnej, nie wszystkie stoliki były jeszcze, na szczęście, zajęte. Usadowili się pod oknem, skąd był widok na ulicę i salkę można było obserwować bez odwracania głowy. Sama pani senatorowa stała za bufetem, niczym jednak nie zajęta poza baczeniem na pracę dwóch kelnerek, które obsługiwały gości. Niemłoda już, ale i na pewno jeszcze niestara, z godnością poddawała się swemu — zastępczemu niejako — wojennemu losowi, pielęgnując dawny sposób bycia. Nikt z gości nawet z tych, którzy nie wiedzieli kim była — nie tylko w przeszłości, ale właśnie i teraz, w tej przejściowej chwili wojennej — nie zwróciłby się do niej z prośbą o podanie czegokolwiek.

Ciastka zresztą stały na paterach na każdym stoliku, rzeczywiście — mikroskopijne, ale niektóre z nich nawet z migdałami na wierzchu dobitnie białymi na czekoladowej polewie.

— Coś takiego! — szepnął Zygmunt.

Sojusz Niemców z Włochami jednak na coś się przydaje — powiedział Witold.

— Z Węgrami także — dodał Zygmunt wyciągając z kieszeni paczkę papierosów.

— Co podać? — spytała kelnerka.

— Czekamy na kogoś — powiedział Witold.

— Jest karta? — spytał Zygmunt.

— Proszę, jest karta! — kelnerka uśmiechnęła się, podając ręcznym piśmem wypełniony kartonik. Wiedziała, że młodzi goście ciekawi są bardziej wyszczególnionych w nim cen niż zasobów lokalu.

— Poczytam ci — mruknął Zygmunt do Witolda, gdy się oddaliła.

— Poczytam sobie sam — odpowiedział równie cicho, dyskretnie rozglądając się na boki.

— Zapewniam cię, że wszyscy od tego zaczynają pobyt w tym lokalu.

— Jestem przygotowany...

— ...na najgorsze?

— Mniej więcej — roześmiał się Witold nadrabiając miną. — A zresztą, żebyś wiedział, ja cię zaprosiłem. — Ceny, wypisane starannie i czytelnie na firmowym kartoniku, mogły rzeczywiście przyprawić o zawrót głowy. — Chciałem sprawić przyjemność Myszce — dodał, nie wiadomo dlaczego ze smutkiem. — Niewiele ich ma. Gdyby nie było wojny, zapraszałbym ją na fajfy, do kina, do opery i teatru...

— Pomyśl, że są dziewczyny, które nawet tu przyjść nie mogą.

— Wiem. I nieraz o nich myślę. — Przypomniała mu się Chajka Sieblówna, choć nie miał pewności, że Zygmunt akurat ją miał na myśli. Zapoznał ich ze sobą, gdy któregoś dnia razem czekali na nią przed biblioteką. Wszystko, cały swój los miała w oczach i nie można było myśleć o niczym innym, gdy się w nie patrzyło. Kiedy przed kilkoma dniami był u Siebla, jubiler, dając mu znów jakąś złotą sztukę do sprzedania, powiedział: W moim domu już śmierdzi nieszczęście. Ja cały śmierdę nieszczęściem. I strachem. Ja się kąpię, szoruję — wychodzę z wanny i wciąż nim śmierdę.

Tego mdłego zapaszku nie da się niczym zabić. Żadnymi perfumami, żadną eau de cologne. Od niego można tylko uciec. I ja właśnie mam zamiar to zrobić. Mam zamiar spróbować. — I jeszcze dodał: Pana ojciec był mądry człowiek, ale nie przewidział, że może przyjść taka chwila, kiedy mu się ta cała mądrość na nic nie przyda. Ja jeszcze na swoją liczę, ale i mnie może ona zawieść. Bo podczas wojny nie można w ogóle nic przewidzieć i niczego się spodziewać. Ona jest jak bąk — kiedy się go raz puści, to nawet zwycięzający nie mogą obliczyć, jak długo będzie się kręcić i gdzie upadnie. A co dopiero my! — Tak mówił stary i mądry — ale czy na każdy czas? — jubiler Siebel. A jego córka, podwójnie okradziona przez los, nie mogła nawet wejść do tej cukierenki. Garbu może nie byłoby widać, gdyby siedziała pod ścianą, ale gwiazdę Dawida tak, zresztą nie odważyłaby się wejść z nią tutaj. A miałyby pieniądze na mnóstwo, na całą paterę ciastek, i na kawę nazwaną prawdziwą, i na kieliszek rieslinga. Były miejsca, gdzie pieniądze traciły swoje znaczenie, i byli ludzie, w których rękach je traciły, choć właśnie im — wręczone komuś w najczarniejszej godzinie — mogły uratować życie.

— Są dziewczyny — powtórzył swoją myśl Zygmunt i zaraz dodał: — są kobiety, które nawet tu przyjść nie mogą. I myślą o chlebie, a nie o ciastkach.

— Przestań! — syknął Witold, pochylając się ku niemu nad stolikiem. — Czy musisz zepsuć każdą przyjemność? Trzeba ratować, co się da, każdą chwilę. Po to właśnie okradamy Niemców sami przez nich okradani, po to wdajemy się w pokątne handle, żeby zdobywać coś ponadto, co oni nam łaskawie dają. Mówiłeś, że chciałbyś prasnąć granatem w wejście do „George'a”; ilekroć zdobywamy coś wbrew nim, rzucamy granat w ich postanowienie zniszczenia nas, pokonania nas na całym obszarze naszego życia. I tak musimy myśleć, to jest cała nasza walka, dopóki ten nasz cholerny porucznik się nie zjawi.

— Od kiedy go tak nazywasz?

— Wypnęło mi się to słowo, a ty się od razu czepiasz.

— Wydawało mi się, że go bardzo lubisz?

— Tak, oczywiście. — Witold zamilkł z bolesnym postanowieniem, że nie będzie o tym myślał, ani teraz, ani nigdy więcej. Szybko, w popłochu, poszukał w pamięci zdarzenia, jakiejś chwili dobrej i własnej w niej zasługi, która pozwoliłaby mu złagodnieć, zdobyć się na wewnętrzny uśmiech, na pokonanie udręki, która niespodziewanie znów się odezwała. Znalazł coś takiego w całkiem świeżym wspomnieniu niedawnego dnia, kiedy to udało mu się zmusić profesorową Chołodyńską, żeby poszła z nim do okulisty, rzekomego przyjaciela ojca, który dla niezatartej o nim pamięci nie przyjmował honorariów od jego rodziny. W rzeczywistości doktor Kaplicki był znajomym na tyle dobrym, że można było z nim omówić rzecz całą, wcześniej wręczając należne honorarium za wizytę i za okulary, w które także zaopatrywał pacjentów w ten wojenny czas. Profesor wprawdzie miał pewne obiekcje co do rozszerzania bezinteresowności doktora Kaplickiego także i na znajomych rodziny nieżyjącego mecenasa, ale Witold pokonał je opowieścią o przyjaźni z doktorem wciąż tak żywej, że każda przysługa jeszcze ją umacniała. Mimo to ucieszył się, że Chołodyński miał akurat jakieś spotkanie na mieście i że nie zastał go w domu, gdy przyszedł po profesorową w umówiony dzień. Zawsze mu się wydawało, że wśród ludzi, których nie mógłby oszukać, on był na pierwszym miejscu, ale — na Boga! — cóż to było za oszustwo przy tak zacnych intencjach?

Profesorową zastał już gotową do wyjścia. Otworzyła mu drzwi w ciemnozielonym kostiumie, wiśniowej bluzce i wiśniowym berecie na gładko zaczesanych ciemnych włosach. Ponieważ nigdy nie widział jej tak starannie ubranej i musiała odczytać zdumiony podziw w jego oczach, wyjaśniła od razu, że są to ostatnie rzeczy z jej garderoby, których jeszcze nie sprzedała, bo przecież czasem — jak choćby dziś — trzeba w czymś wyjść do miasta. Gdy wracali już od doktora Kaplickiego z okularami w torebce, co oznaczało, że znów będzie mogła czytać, nawlec igłę i szyć, a także wyjąć drzazgę z palca, gdyby po raz drugi zdarzyło jej się coś takiego, gdy więc wracali już od doktora Kaplickiego, a ona promieniała radością i wdzięcznością, o której mu wciąż mówiła, zatrzymała się nagle pośrodku

Wałów Hetmańskich i wyznała z zakłopotaniem: Okłamałam pana! Mam jeszcze coś do sprzedania. Pierścionek. Bo gdybym go sprzedała, mogłabym zapłacić doktorowi za wizytę i za okulary. Z jakiej racji całkiem obcy człowiek...

— Ależ powiedziałem pani — zaczął znów mówić o niewygasających uczuciach okulisty do całej rodziny Czownickich, do ich przyjaciół, a także znajomych... ale mu przerwała: Wiem, to wspaniałe, że ktoś taki istnieje! Otworzyła torebkę, spojrzała z zachwytem na okulary, upewniła się, że naprawdę je ma. — Ale jednak trapi mnie myśl, że przecież mogłabym... — Teraz on jej przerwał, chwycił ją pod rękę (skąd wzięło się w nim tyle śmiałości?) i prawie siłą ruszył z miejsca, w którym opadły ją znów żywione i przedtem wątpliwości. — Nie powinna się pani niczym trapić. Niczym! A już najmniej tym, że doktor Kaplicki nie dostał swego honorarium. Gdyby z tego powodu miała pani sprzedawać pierścionek... — Ależ nie! Ja go nie sprzedam! — Uśmiechnęła się znów, bardziej do siebie, do swoich myśli niż do niego. — Czuję się wciąż trochę nieswojo tak obdarowana przez całkiem obcego człowieka, ale pierścionka nie sprzedam, bo to pamiątka. Zareczynowy pierścionek, który dostałam od męża. Bardzo piękny! Jeździliśmy po niego aż na Zamarstynów, do jubilera, który sprowadzał biżuterię z Wiednia. Stefanowi powiedział ktoś o nim, więc postanowił tam właśnie mnie zawieźć i dobrać dla mnie pierścionek... Piękny, naprawdę bardzo piękny! — Zamilkła na długo i dopiero po chwili dodała: — To był Żyd, ten jubiler. Mój Boże! Może nie żyje? A już na pewno nie prowadzi swego sklepu. — Nie odezwał się, nie powiedział, że zna owego jubilera z Zamarstynowskiej, że z nim handluje. Bo może by z rozpędu się wygadał, że Siebel do dziś pamięta pierścionek, który u niego kupił profesor Chołodyński dla swojej młodziutkiej narzeczonej. I że narzeczoną także pamięta, jej paluszki jak u lalki... A najśmieszniejsze w tym wszystkim było to — i to dopiero trzeba było zachować w tajemnicy! — że właśnie handel z Sieblem pozwolił mu na opłacenie honorarium doktora Kaplickiego, a więc tym samym na uratowanie pierścionka przed sprzedażą. Milczał i prowadził energicznie profesorową do tramwaju w nadziei, że nie podejmie już tego tema-

tu. Ona jednak po pewnym czasie znów się zatrzymała. Pomyślał, że chce z tego miejsca napawać się wiosennym widokiem miasta; tak rzadko opuszczała Kolonię Profesorską, chyba jeszcze tego roku nie była w śródmieściu, a zieleń sadów na Kolonii nie mogła się równać z majestatycznym bogactwem starych drzew na wzniesieniu, z którego wyrastała katedra św. Jura, drzew wokół kościoła Bernardynów i w Parku Kościuszki... Patrzyła w tym kierunku, ale nie był pewien, czy doznaje radości i pocieszenia niezniszczalną, a teraz tak wyrazistą urodą miasta, czy w ogóle ją dostrzega. Pragnął, żeby tak było, bo jej dzisiejsze — tak rzadkie — wyjście z domu powinno mieć za cel nie tylko wizytę u okulisty, ale i spacer, tak sobie ułożył, a kiedy zobaczył ją starannie ubraną, nabrał przekonania, że i ona tak sobie wyobrażała to wiosenne popołudnie. Powie po powrocie mężowi: Byłam z panem Witkiem na spacerze — a profesor się ucieszy, prawdopodobnie sam nie często z nią wychodził, nie był człowiekiem, który zdołałby się przyzwyczaić do widoku nowych władców na ulicach miasta, miał poza tym swoją pracę, i uważał, że powinien się z nią spieszyć. Zdumiał się, uprzytomniwszy sobie, że właściwie cały dzień był poświęcony profesorowi, że przez cały czas towarzyszyła mu myśl, czy profesor będzie zadowolony z tego, czego on dla niego dokonał: z okularów dla żony, z jej spaceru, i z tego także, że od dłuższego czasu po raz pierwszy tak ładnie się ubrała. — Pan profesor się ucieszy — powiedział, nie zdoławszy zachować tej myśli tylko dla siebie. — Zwróciła ku niemu uśmiechniętą twarz: Wie pan, myślałam o tym samym. I jeszcze i o tym — dodała po chwili — że mąż ma tylu studentów, a przywiązał się głównie do pana... — Ja także — szepnął zmieszany i wzruszony — bo przecież do trzech pozostałych profesorów, których mam na tym roku studiów, nie żywię tych uczuć, jakie od razu... od pierwszej wizyty u pana profesora... — Mój mąż bardzo to sobie ceni — powiedziała.

Więc to był rzeczywiście piękny dzień, zakończony najpiękniej jak tylko można było sobie wyobrazić, i wiedział, że często, bardzo często będzie wracał do niego wspomnieniem.

— Idzie Mycha! — odezwał się Zygmunt. Siedział pod oknem z widokiem na całą ulicę, na jej przeciwległy trotuar, z którego Myszka właśnie schodziła, wkracząc na jezdnię. Była w tym pięknym, kupionym jej przez Witolda kapeluszu i nie tylko Zygmunt, ale i inni goście cukierni senatorowej, siedzący przy oknach, ocenili, że wygląda zachwycająco i pomyśleli — być może — że zjawienie się takiej dziewczyny pozwala choć na chwilę zapomnieć o wojnie. — Ale ma kapcyliner! — dodał jednak Zygmunt z umiarkowanym podziwem, może nawet z dezaprobatą, nie znał się na kobiecej modzie.

— Nie podoba ci się? — warknął Witold, wstając na powitanie Myszki, bo już wchodziła do cukierni, a sam fakt, że wszyscy zwrócili ku niej głowy i długo nie zdejmowali z niej wzroku, był świadectwem, że nie mają takich, jak Zygmunt, wątpliwości. Szła między stolikami prześlicznie, wiedząc, że się podoba; niektóre dziewczyny potrafią potęgować wywoływany przez siebie podziw, ona to potrafiła, ona ofiarowywała siebie każdemu, kto na nią patrzył, odwdzięczała się hojnie kołysaniem bioder, podaniem ku przodowi małych, ale jednak cudownie wyraźnych pod sukienką piersi, zalotnym przechyleniem głowy.

— Kocham cię! — powiedział Witold całując jej rękę. — Ale szkopał w tym, że i Zygmunt cię kocha. Właśnie mi to powiedział, kiedyśmy tu szli. Nie będziemy mieli łatwej rozmowy.

— Taż dajcie najpierw usiąść! — roześmiała się. — I odetchnąć! Zmachałam się porządnie! Mój krawiec mnie przetrzymał, wciąż mi podsuwał coś do przepasowania. Bałam się, że się spóźnię.

— Nie spóźniłaś się — uspokoił ją Witold. — No... kilka minut. — Skinął na kelnerkę. — Co będziesz piła? A ciastka wybierz sobie sama, stoją przed tobą.

— Och, cudownie wyglądają! — westchnęła z zachwytem Myszka. — A kawa jest tu podobno prawdziwa?

— Tak wynika z karty — wtrącił Zygmunt. Chciał jeszcze dodać: I ceny! Ale powstrzymał się od tego, w końcu Witold zapraszał, a godzien był każdej zemsty, skoro ta wspaniała dziewczyna należała do niego.

— Więc dla Myszki kawa — powiedział Witold, gdy kelnerka się zbliżyła. — A... dla ciebie?

— Dla mnie też! — uśmiechnął się złośliwie Teleszko.

— Trzy kawy! — zamówił Witold. Ceny w cukierence senatorowej trochę go zaskoczyły, nie spodziewał się, że są aż tak wysokie, a najgłupiej w świecie byłoby przy rachunku prosić o pożyczkę Zygmunta. — Wybierzcie sobie ciastka — powiedział bohatercko do obydwójga swoich gości.

— Ja zjem to z migdałem! — sięgnęła do patery Myszka.

— Ja też! — ochoczo zgodził się z jej gustem Zygmunt. — Witold płaci, mogę więc sobie wybrać chyba najdroższe ciastko.

— Myślisz, że jest najdroższe? — zmartwiła się Myszka.

— Tak podejrzewam.

Po co ja się tu przytaskałem z tym hamanem? pomyślał Witold. Będzie się ze mną handryczył przez cały czas.

— A ty nie zjesz migdałowego ciastka? — Myszka pogłaskała go po rękę.

— Owszem — uśmiechnął się. — Jak wszyscy, to wszyscy!

Ciastko było rzeczywiście pyszne, niestety, potęgowało to jeszcze żal, że jest tak małe. Kawa nie dorównywała mu jakością, ale powstrzymali się od uwag, pociągnawszy pierwszy łyk, gdyż filiżanki, w których ją podano, były z najcieńszej porcelany, łyżeczki srebrne, co podkreślało szacunek dla gości, bywających w tym lokalu — wszystko więc powinno tu im smakować.

— Teraz musisz zjeść to ciastko z pistacją — powiedział Zygmunt do Myszki. — Ja też mam na nie ochotę — dodał, zerkając na Witolda — na szczęście są dwa. A ty? — zwrócił się do niego. — Które dla ciebie?

— Ja dziękuję! — stanowczo zaprotestował Witold. Zaczął w myślach pisać rachunek, każde następne ciastko powiększało kompromitującą go przed samym sobą obawę, że nie starczy mu pieniędzy.

— Ja też dziękuję — szepnęła Myszka. — Jadłam dopiero co obiad...

— Co ty opowiadasz? — Zygmunt zdjął ciastko z patery, położył na jej talerzyku. Drugie na swoim.

— Och, ja naprawdę... — broniła się.

— Jedz! Kiedy ostatni raz jadłaś ciastka i byłaś w cukierni?

— Mama czasem coś upiecze.

— To na pewno nie to samo.

— Moja mama potrafi dokonywać cudów. Robi coś z niczego.

— Jak tak będziesz zachwalać, domowe wypieki, Witold już cię nigdy nie zaprosi.

— Przestań dziukać! — całkiem nieelegancko odezwał się Witold. — Dziukasz i dziukasz i sam nie wiesz co.

— Wiem — uśmiechnął się Zygmunt.

Myszka dziobała łyżeczką swoje ciastko, on swoje pochłonał od razu. Witold liczył, pochmurnie zamyślony. Doszedłszy do niepokojących wniosków, zdenerwował się sam na siebie. Po co mu to było? Poszedłby z Myszką na spacer i też by była szczęśliwa. W dodatku ten Zygmunt! Po co powiedział mu, że i jego zaprasza? Nie tylko sytuacja, nawet już te myśli były żenujące, ale nie potrafił się od nich uwolnić. Powinien przedtem sprawdzić, jakie są ceny w tej cukierni i dopiero potem zapraszać do niej aż dwie osoby. Ale nie przewidział... Właśnie! Co mówił stary, mądry jubiler

Siebel? Mówił, że podczas wojny nie można w ogóle nic przewidzieć. Nawet w takich śmiesznych, idiotycznych sprawach.

Tymczasem Zygmunt, ten batiar z za drąga, ten zakazany mazak, ten szkut świrkowaty, namawiał Myszkę do zjedzenia trzeciego ciastka! Wybrał je znowu dla niej spośród nielicznych już na paterze i wyciągał nawet rękę z widelczykiem, żeby przenieść je na jej talerzyk, ale trzasnęła go po niej i roześmiała się niespodziewanie tak głośno, że siedzący najbliżej ich stolika zwrócili ku nim głowy.

— Jest taka humoreska Zoszczenki — powiedziała, gdy zdumieni patrzyli na nią — czytałam ją całkiem niedawno w jakimś starym kalendarzu.

— I cóż ta humoreska? Dlaczego ci się przypomniała? — spytał Witold, przeczuwając przykrość.

— Zaraz zrozumiesz — Myszka pochyliła się ku niemu, patrzyła mu przymilnie w oczy. — Tylko proszę cię, zdobądź się na odrobinę poczucia humoru.

— To konieczne?

Trochę spoważniała.

— Myślę, że tak.

— Opowiadaj! — domagał się Zygmunt.

— A więc chłopak zaprasza dziewczynę do teatru. W Moskwie, bo dzieje się to w Moskwie i chyba tuż po rewolucji. Podczas przerwy wychodzą do foyer, przechadzają się, rozmawiają, ale chłopak widzi, że dziewczyna zerka ku bufetowi. A na bufecie na tacach — ciastka. Częstuj się! — mówi chłopak. Dziewczyna zjadła jedno, sięgnęła po drugie, a chłopak przebiera palcami kopiejki w kieszeni, jest pewien, że ich nie starczy na zapłacenie rachunku. Więc kiedy dziewczyna wzięła z tacy trzecie ciastko, syknął: Połóż! Kładź z powrotem! Dziewczyna oblała się rumieńcem, ale jeszcze ma nadzieję, że się przesłyszała, patrzy na chłopaka niedowierzają-

co. — Połóż! — on powtarza. — Kładź na miejsce! — Wróciło więc ciastko na tacę, ale trochę zagniecione palcem, co od razu zauważył bufetowy, domaga się zapłaty za trzecie ciastko, robi się awantura, ludzie się wokół gromadzą, chłopak uparczywie tłumaczy, że ciastku nic się nie stało, bufetowy nie ma zamiaru ustąpić, dziewczyna chce ze wstydu zapaść się pod ziemię, ludzi gromadzi się coraz więcej, ciekawi ich o co ta awantura, i kiedy trzeba jednak w końcu za ciastko zapłacić i chłopak wysupłuje z kieszeni kopiejki — okazuje się, że jest ich akurat na trzy ciastka.

— Dojadaj! — mówi chłopak do dziewczyny, ale ona oczywiście nie ma już ochoty. — Tak mi się przynajmniej wydaje, dokładnie nie pamiętam jak to się kończy.

— I to jest dla ciebie takie śmieszne? — spytał Witold cierpko.

— W każdym razie świetnie napisane. I przetłumaczone. To słowo „dojadaj”, którego użył polski tłumacz! Ile w nim atmosfery tamtych lat i tamtego środowiska!

Witold roześmiał się wreszcie, ale jeszcze nie całkiem szczerze.

— Może wobec tego ja przeliczę pieniądze.

— Nie musisz. — Zygmunt śmiał się także. — Co ty sobie wyobrażasz? Przecież ja nie jestem bez forsy.

— Ani ja! — Myszka położyła dłoń na rękę Witolda, drugą przykryła rękę Zygmunta. — Mój krawiec wypłacił mi dz5ś honorarium — on tak mówi — za ubiegłe dwa tygodnie. Chłopaki! Czy pieniądze między nami to jakiś problem? Możemy zupełnie ich nie mieć i też będzie fajnie!

— Ale ja jednak swoje przeliczę! — Witold, już zupełnie rozpogodzony i odprężony, wyjął z kieszeni kilka banknotów i ostentacyjnie zaczął je liczyć. — Dojadaj! — powiedział pod koniec do Myszk.

Znów się śmiali — na złość wojnie, biedzie, zmarnowanym swoim latom.

— Cicho! — powiedział nagle Zygmunt. Patrzył na ulicę, a potem wzrok przeniósł na wejściowe drzwi. — Do licha! Chyba mi się jednak nie zdawało?

— Co? Gdzie? — spoważniał i zaniepokoił się Witold.

— Mówiłem ci... Na Kopernika...

Drzwi otworzyły się, właściwie otwierały się powoli — mężczyzna przepuszczał przed sobą kobietę. Zaskoczenie było podwójne, w wejściu ukazała się matka Witolda z porucznikiem Leszkiem.

Nie zauważyli ich, rozejrzeli się po salce, kelnerka podeszła i podprowadziła ich do stolika na wprost drzwi, pod przeciwległą ścianą.

— Więc to jednak był on! — szepnął Zygmunt.

Witold milczał.

— To twoja matka? — Myszka przechyliła się ku niemu. — Widziałam ją kilka razy z tobą w katedrze. — Uśmiechnęła się, trochę z radością, trochę z zakłopotaniem. — Ma taki kapelusz jak ja. Ładnie w nim wygląda.

Witold wciąż milczał. Czekał, że zostanie dostrzeżony przez matkę lub przez porucznika, byli jednak tak zajęci sobą, tak łakomie ale i boleśnie w siebie zapatrzeni, że nie można było na to liczyć.

— Pójdę się przywitać — powiedział niedbale, wstając od stolika,

— Zostań! — chciał powstrzymać go Zygmunt.

Nie posłuchał, przepychając się między siedzącymi przedostawał się nieśpiesznie ku stolikowi pod ścianą, nie zauważony ani przez matkę, ani przez jej towarzysza. Podnieśli ku niemu głowy dopiero gdy stanął przed nimi, gdy nawet stuknął lekko obcasami, co — jak się tego spodziewał — ostro zaatakowało uwagę porucznika.

— Ty... tu? — szepnęła matka blednąc.

— To samo chciałem powiedzieć. Do was obojga. — Było to powiedziane niegrzecznie i zjadliwie, zdawał sobie z tego sprawę, ale nie potrafił się opanować, zresztą może nawet nie chciał. Tak, na pewno nie chciał. I satysfakcję sprawiło mu to, że matka się przestraszyła. Zmieszła i przestraszyła, usta jej drżały, gdy zaczęła się tłumaczyć, choć przecież nie musiała, dlaczego uważała, że musi się przed nim tłumaczyć?

— Spotkałam pana Leszka zaraz po wyjściu z piekarni...

— Przyjechałem wczoraj z Warszawy — powiedział porucznik, jakby domagano się od niego tego wyjaśnienia. Wstał, żeby przywitać się z Witoldem i rozejrzał się za krzesłem dla niego; na szczęście było wolne przy sąsiednim stoliku, ale to Witold sam je sobie przystawił nie czekając na zaproszenie, żeby się przysiadł.

— Dlaczego nie zatrzymałeś się u nas? Nawet akurat dziś Anielka mówiła, że źle ci chyba u nas nie było.

— Anielka...? — zdumiała się matka, wciąż nie mogąc ochłonąć. — Przy jakiej okazji?

— Bo kiedy jadłem obiad, przyszedł Zygmunt z wiadomością, że chyba widział Leszka na Kopernika. Powiedziałem, że może mu się wydawało, bo przecież najpewniej zaraz po przyjeździe Leszek zameldowałby się u nas.

— Znalezione mi pokój na Wałowej — powiedział porucznik. — Nie powinienem za długo mieszkać w jednym miejscu.

— Tak, oczywiście — zgodził się Witold. W gruncie rzeczy był szczęśliwy, że kawalerzysta nie zamieszkał znów u nich. Nie mógł sobie dać rady ze sprzecznymi uczuciami, których nie mógł pokonać — z uczuciem przyjaźni, jakie się w nim obudziło, gdy tylko go poznał, z nagłą niechęcią, gdy nabierał teraz pewności, że matką i on... A na dodatek ta ulica Wałowa, tak niedaleka od ich mieszkania przy placu Mariackim, i pobliska kawiarnia, w której siedzieli, do której może przyszli wprost stamtąd, z pokoju

znalezionego mu — przez kogo? Oczywiście przez nią! I jasne już było, że nie miał przed nią tajemnic, choć ilekroć się spotykali u Romka Wierzei, przestrzegał ich zawsze, że pierwszym i podstawowym warunkiem konspiracji jest trzymanie gęby zamkniętej na kłódkę nawet przed bliskimi. Ona jednak najwidoczniej była tak bliska... Bładła teraz i czerwieniała na przemian, aż wreszcie, gdy na to patrzył, zrobiło mu się jej żal. Wyobrażał sobie, jaką rozpaczą była dla niej ta miłość, tak niegodna po niedawnej przecież śmierci męża, i tak niebezpieczna, tak zagrażająca powtórzeniem bolesnej utraty.

— Wszystko rozumiem — powiedział cicho. — Nie denerwuj się, mamó, wszystko rozumiem.

— Co rozumiesz? — spytał porucznik. Nie matka, tylko on postawił to pytanie.

Witold uśmiechnął się, ale jednak bardzo smutno. Chyba się tu nie rozpłaczę, pomyślał. Ostatni raz płakał na pogrzebie ojca, teraz miał uczucie, że grzebie go po raz drugi.

— Co rozumiesz? — powtórzył porucznik.

— To, co trzeba rozumieć w takiej sytuacji. Nie roztrząsajmy szczegółów. I jeśli to ze względu na mnie nie chciałeś znów zamieszkać u nas...

— Nie ze względu na ciebie.

— Na pewno?

— Na pewno!

— Myślę jednak, że lepiej by ci było u nas. Mama i Anielka zadbałyby o ciebie...

— Sam o sobie dbam w należyty sposób. A czas nie jest po temu, żeby się rozpieszczać, lub pozwalać, żeby czynili to inni.

— Pokój na Wałowej jest całkiem przyzwoity — matka przytomniała powoli, nie na tyle jednak, żeby zrozumieć niestosowność tej udzielanej synowi informacji. Nawet dodała: — Ponadto niekrepujący. I jest to rzeczywiście tak blisko od nas, że czy Anielka... czy ja...

— Skończmy już z tą sprawą — przerwał jej porucznik tak stanowczo, że od razu zamilkła, a Witoldowi po raz drugi — choć z innego powodu — zrobiło się jej żal. Wchodziła oto w zupełną zależność od drugiego człowieka, od jego spojrzeń, od głosu, nie od słów nawet, samo brzmienie mogło wyzłacać świat, lub okrywać go żałobą. Pomyślał, że jemu na pewno nic takiego się nie przydarzy, że jest na to za silny, zbyt niepodległy wewnętrznie, jak zwierzę nie poddające się tresurze. Zerknął ku Myszce — ona?! Nie, ani ona, ani żadna inna!

Matka skierowała wzrok za jego spojrzeniem.

— Co to za dziewczyna? Jest z Zygmuntem Teleszką. Siedziałeś z nimi?

— Tak. Zygmunt się w niej kocha.

— Śliczna!

— Też tak myślę.

— I ma taki sam kapelusz jak ja.

— Teraz taka moda we Lwowie.

— Ładna moda! — wmieszał się porucznik do rozmowy, która wszystkim przynosiła ulgę. — I chyba wyłącznie tutejsza. Nie widziałem takich kapeluszy w Warszawie.

Jeszcze chwilę rozmawiali na równie błahe tematy, wreszcie Witold wstał, żeby się pożegnać.

— Mam nadzieję, że będziesz nas odwiedzać — powiedział całkiem głupio do porucznika.

— Zobaczymy się niedługo u Romka — odpowiedział.

Gdy Witold wrócił do stolika, Zygmunt od razu spytał:

— Kiedy przyjechał?

— Mówi, że wczoraj.

— Czy to znaczy, że mu nie wierzysz?

— Sam nie wiem. Tak mi się powiedziało. Strasznie jesteś dziś docieklivy.

Myszka dyskretnie przyglądała się porucznikowi.

— Mój Boże, jaki biedny! Gdzie stracił rękę?

— Pod Kockiem.

— A przyjechał teraz z Warszawy? — indagował dalej Zygmunt.

— Z Warszawy. To znaczy — uśmiechnął się Witold nieznacznie — mówi, że z Warszawy.

— Nie powiedział, kiedy się spotkamy?

— Owszem — Witold zerknął na Myszkę; gęba na kłódkę! pomyślał i znacząco spojrział na Zygmunta. — Owszem, powiedział, że niedługo.

— Obaj go znacie? — spytała Myszka.

— Poznaliśmy się kiedyś przelotnie — mruknął Zygmunt. Patrzył od dłuższej chwili w okno i nagle zerwał się. — Muszę was na chwilę przeprosić!

Patrzyli zdumieni, jak znika za kotarą, za którą kryły się drzwi wiodące do toalety.

— Czyżby te ciastka działały tak piorunująco? — przestraszyła się nie na żarty Myszka.

— Daję słowo, że mu ich nie żałowałem. Ale jeś... — Witold przerwał w pół słowa, w otwartych gwałtownie drzwiach stało dwóch mężczyzn w czarnych mundurach. Zbyt dobrze już ich znano w tym mieście, żeby ktokolwiek sądził, że przyszli tu zwabieni sławą ciastek polskiej senatorowej.

Gwar w cukierni wygasł, jak zalane wodą, trzaskające przedtem wesołym płomieniem ognisko. Tych dwóch stało wciąż w progu, penetrując salkę uważnym spojrzeniem. Senatorowa, nieruchoma jak wszyscy przez długą chwilę, wyprostowała się nagle — choć nie była przedtem zgarbiona — i ruszyła ku nim z wyzywająco uprzejmym wyrazem twarzy.

Powstrzymali ją stanowczym gestem i wciąż penetrowali wzrokiem salkę, przyglądając się gościom przy każdym stoliku, trzymając ich jak na muszce podczas polowania, które zwierzynie nie daje żadnej szansy.

— Ausweisy mamy w porządku — szepnęła Myszka.

Witold spojrzał na nią groźnie.

— Cicho bądź! — syknął.

Jeden z gestapowców, nie ruszając się od progu, odbezpieczył broń, mały pistolet niespiesznie wyjęty z kabury u pasa. Drugi — równie niespiesznie — zaczął iść przez salę, klucząc między stolicami, tak że nie było zrazu wiadomo, ku któremu zmierza, przeciskał się między siedzącymi, nawet raz czy dwa powiedział bardzo uprzejmie „*Verzeihung*” — aż wreszcie zatrzymał się przed stolikiem pod ścianą.

Witold nie widział tego, siedział zwrócony twarzą ku drzwiom i nie widział tego, ale nie miał żadnej wątpliwości, przed którym ze stolików stanął gestapowiec. Orientował się, że porucznik Leszek nosi przy sobie broń; kiedy w zimie szli od Romka Wierzei na plac Mariacki, powiedział, że ma wszystko czego potrzebuje. On chciał się dowiedzieć, czy gość, którego prowadził do swego domu, ma ausweis, nie zapytał o to wprost i otrzymał taką właśnie odpowiedź: mam wszystko, czego potrzebuję. Cekał więc teraz na strzał, ale strzał nie nastąpił; gestapowiec w drzwiach

trzymał spokojnie rewolwer w opuszczonej ręce, Witold nie usłyszał nawet krzyku matki, gdy już widział — wciąż dotąd nie odwracając się nawet na chwilę do tyłu— że porucznik, trzymany przez Niemca za pusty rękaw marynarki, zbliża się ku drzwiom i wychodzi pod eskortą tych dwóch strasznych ludzi. Nie zrewidowali go na miejscu, zrobią to na gestapo, a może on po drodze tą swoją dobrze wyćwiczoną lewą ręką potrafi wyszarpnąć broń z za pasa... jeśli wziął ją ze sobą wybierając się do miasta z kobietą.

W cukierni gwar wybuchł równie nagle, jak uciszył się przed kilkoma minutami — wszyscy domagali się rachunku, wszyscy chcieli jak najspieszniej stąd wyjść.

— Drodzy państwo! — uspokajała senatorowa. — To będzie podejrzenie wyglądać, gdy naraz wszyscy goście zaczną opuszczać lokal. Może na ulicy czekają... — urwała. — Proszę się uspokoić! — dodała po chwili.

Witold rzucił się ku matce. Siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, otaczały ją panie, które przysiadły się do niej od sąsiednich stolików.

— Jestem synem — powiedział, odsuwając je. Podniósł matkę z krzesła i przeprowadził do swego stolika, Myszka zaczęła ją tulić, całować i uspokajać i ledwie usłyszeli dwa strzały, które padły z głębi ulicy.

Ludzie znów ucichli, wstrzymawszy oddechy. Witold mocniej przygarnął do siebie matkę, ukrył jej twarz na swojej piersi, dopiero teraz zapłakała.

— A jednak trzeba zobaczyć, co się stało — powiedziała senatorowa, gdy przez długi czas z ulicy nie dochodził żaden odgłos. Wyszła z za kontuaru, skierowała się ku drzwiom, otworzyła je ostrożnie i powoli zeszła po kilku stopniach na ulicę.

Wróciła natychmiast, blada jak ściana; z dłonią na sercu padła na najbliższe krzesło, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

Nikt nie śmiał zapytać, co widziała, co ją tak przeraziło. Czekali aż ochłonie i sama to powie, ale czekać trzeba było długo, a kiedy wreszcie przyszła do siebie, pierwsze jej słowa nie wyjaśniły sytuacji.

Podniosła się, rozkazującym spojrzeniem powiodła po sali.

— Proszę, niech każdy z państwa wraca na swoje miejsce! I jeśli ktoś ma przy sobie coś... niebezpiecznego, proszę mi to natychmiast oddać, zaraz spalę! Za chwilę może tu być gestapo!

— Znowu? — spytała naiwnie starsza pani z bukietem fiołków przy kłapie kostiumu. — Przecież dopiero co tu byli!

Senatorowa przymknęła na chwilę oczy, nabrała w piersi tchu.

— A teraz leżą na ulicy zastrzeleni. Obydwaj!

— Kto? — zszokowana dama z fiołkami wciąż nic nie rozumiała.

— Oni! Ci, co tu byli. Ktoś do nich strzelał i leżą obydwaj na ulicy. Zaraz będzie tu gestapo!

— Wątpię — odezwał się jakiś mężczyzna. — Sądząc po odgłosie, strzały były oddane w głębi ulicy. Nie mogły paść stąd, to jasne.

— Ja jednak proszę — senatorowa znowu podniosła głos — jeśli ktoś z państwa ma przy sobie jakieś materiały...

— Słyszałaś? Słyszałaś? — szepnął Witold do matki. — To oni tam leżą! Oni dwaj! Nie on! — Posadził ją na krześle Zygmunta, gładził po rękach. Uspokajała się powoli. — Na pewno zdołał uciec podczas tej strzelaniny. Jestem pewien, że nic mu się nie stało. I ty musisz być pewna.

— Idź zobacz, co się dzieje z Zygmuntem — odezwała się Myszka. — Zamknął się w toalecie ze strachu i boi się wyjść.

Witold wstał. Spojrzał na Myszkę nieprzyjaźnie.

— Nie znasz Zygmunta! — powiedział cicho. — Nie zamknął się w toalecie ze strachu.

— A jednak idź zobacz, co się z nim dzieje.

— Właśnie mam zamiar to zrobić. Mam zamiar się upewnić. — Skierował się ku kotarze, otworzył ukryte za nią drzwi — toaleta była pusta, a okno — wiodące na podwórze i gdzieś dalej — szeroko otwarte.

Zamknął je i przez chwilę stał, z bijącym sercem i wilgotniejącymi oczyma. Co to jest? pomyślał. Stary chłop jestem, a wciąż chce mi się płakać.

VII

Miała już wyjść — z dwiema książkami dla profesora Chołodyńskiego w torbie — gdy na progu pomieszczenia, w którym pracowała, ukazał się Kurt Lobetz, okupacyjny kierownik likwidacji biblioteki lub jej przeobrażenia w inną placówkę; nie wiadomo było, czy w niemieckich planach — po zwycięstwie — Lwów miał być nadal miastem uniwersyteckim. A jeśli tak, to chyba nie dla Polaków. Dla Ukraińców? Nie mówiło się na ten temat.

Widzieli się już kilka razy w ciągu dnia, ale on mimo to, wchodząc, powiedział:

— *Guten Abend, Fraulein Siebel.*

Było wczesne wiosenne popołudnie, do wieczora pozostało kilka godzin, zdumiało ją to powitanie, ale odpowiedziała tak samo:

— *Guten Abend, Herr Lobetz.*

Usiadł przy stercie książek, zdjętych z półki i złożonych na stoliku. Przejrzał jedną z nich, choć była to polska książka i nie rozumiał z niej ani słowa.

— Niech pani siada — powiedział po długiej chwili, wciąż nie zdejmując wzroku z kart książki, z której nie rozumiał ani słowa. — Nie musi... nie powinna pani stać, kiedy ja siedzę.

Usiadła posłusznie — bo posłuszeństwo i uległość wobec rozkazu spowodowały, że to zrobiła — przysiadła na brzegu krzesła i złożyła na kolanach torbę z książkami. Miała uczucie, że trzyma w niej dwa żywe — drapieżne — stworzenia, które mogą lada moment wydostać się z niej i rzucić się jej do gardła. Dlaczego jej, a nie jemu? Nie, jemu na pewno nie. Jemu nic nie groziło, przynajmniej nie tutaj. I nie teraz, jeszcze nie teraz. Wierzyła, że nadejdzie czas, kiedy los się odwróci i staną się zwierzyną ci, którzy wyznaczyli sobie rolę myśliwych. Ale kto doczeka, żeby to zobaczyć?

— Jaka piękna wiosna! — powiedział nagle.

— Bardzo piękna — potwierdziła zdumiona.

— Lwów ma tyle zieleni! O wiele więcej niż niemieckie miasta. Zwłaszcza te stare, budowane według dawnych praw miejskich, w obrębie murów, gdzie szkoda była miejsca na ogrody i parki. Właśnie z takiego miasta pochodzę. Z Erfurtu.

Milczała, nie wiedziała co powiedzieć. Książki w jej torbie zamieniły się z drapieżnych zwierząt w dwa rozżarzone węgle, które parzyły jej kolana.

— Erfurt to bardzo piękne miasto — ciągnął dalej Lobetz.

— Wyobrażam sobie — szepnęła.

— Nie, nie może sobie pani tego wyobrazić — zaprzeczył gwałtownie. — Kto nie był w starych niemieckich miastach, nie może sobie wyobrazić

ich piękności — dodał łagodniej. Ci z góry nie odważyliby się ich niszczyć, gdyby wiedzieli, jakie są piękne.

— Kto...? — spytała nie rozumiejąc.

— Ci z góry — ci, co je bombardują. Pochodzą z brzydkich, ubogich miast...

— Anglicy też mają zabytkowe miasta o cennej architekturze. — Powiedziała to i czekała, truchlejąc ze strachu na jego reakcję, ale Lobetz jakby tego nie usłyszał, albo udawał, że nie słyszy.

— Gdyby zobaczyli Erfurt — ciągnął dalej — Eisenach, gdzie urodził się Luter, Getyngę, Norymbergę nie odważyliby się rzucić na nie ani jednej bomby...

Teraz ona nie słuchała. Przypomniała sobie jedną z nielicznych radości swego życia — wycieczkę do Anglii, dokąd wysłał ją ojciec w nadziei, że może by tam studiowała, skoro na polskich uniwersytetach mogły ją spotkać upokorzenia i krzywdy. Towarzyszył jej brat, Izaak, który studiował już za granicą i poruszał się po Europie — z pieniędzmi ojca w kieszeni — jak po lwowskim Corso między teatrem a Akademicką. Byli w Cambridge, uczyła się angielskiego od dziecka, tak samo jak niemieckiego i francuskiego, ojciec wiedział, że trzeba czymś wesprzeć jej kalectwo, pojechali więc do Cambridge i studiowałyby tam, gdyby interesy ojca nie pogorszyły się nagle i wydatek, na który przedtem godził się z radością, nie okazał się zbyt wielkim obciążeniem dla jego sklepu. Nie studiowała więc w Anglii, ale Cambridge widziała i miała to, jak otrzymany prezent na całe życie, a teraz patrząc w oczy swego niemieckiego szefa mogła wyrecytować jednym tchem:

— Cambridge — uniwersytet założony w XII wieku, Kings College z późnogotycką kaplicą Kings Chapel z XV wieku, Trinity College z XVI, biblioteka uniwersytecka z XVII... mało brakowało, a siedziałabym teraz tam, a nie tutaj.

Lobetz, wyrwany ze swego zapatrzenia w piękno niemieckich miast, zamrugnął powiekami, usta, otwarte do następnego słowa monologu, znieruchomiały.

— Co to znaczy...? — wyjąkał. — O czym pani mówi?

— Mówię, że gdzie indziej, na przykład w Anglii, też są stare piękne miasta. — Nie powiedziała, nie dodała, że też spadają na nie bomby, ale była pewna, że on o tym pomyśli, był inteligentnym człowiekiem, tego nie mogła mu odmówić, i musiał o tym pomyśleć, musiał tym wnioskiem zakończyć niepotrzebnie rozpoczętą i tak dla niej niebezpieczną rozmowę.

Nie zakończył jej jednak, uśmiechnął się nawet niespodziewanie i jego niemłoda twarz, której wyrazu tak się bała, wypowiadając swoje zuchwałe słowa, złagodniała, zatraciła ostrość rysów.

— A wie pani, że tego właśnie mi było brak.

— Czego? — zapytała z potęgującym się lękiem, jakby uśmiech na jego ustach był zasadzką, w którą miała zaraz wpaść.

— Żeby ktoś się ze mną nie zgadzał, żeby ktoś oponował, gdy mówię...

— Ależ ja się zgadzam z panem — przerwała mu gwałtownie. — Tylko...

— Tylko co?

— ... żal mi wszystkich niszczonej miast. Choć uważam...

— No, śmiało! Śmiało, panno Siebel!

— ... że najwspanialszą architekturą bożą jest człowiek. Architekturą, która — zniszczona — nie daje się odbudować.

Nic nie odrzekł, nic nie powiedział, o nic nie zapytał. Odłożył wreszcie książkę, którą wciąż trzymał w ręce, przesunął dłonią po czole i oczach, po całej twarzy.

— Ja przepraszam — zaczęła cicho — jeśli byłam zbyt śmiała...

— Ależ nie była pani zbyt śmiała! — krzyknął. Odjął dłoń od twarzy i patrzył na nią przenikliwie, jakby oczy mogły powiedzieć więcej niż słowa. Ale ona opuściła powieki, zacisnęła je mocno. Czekwała, co nastąpi. To było najgorsze ze wszystkiego — można było tylko czekać na to, co nastąpi. Bez żadnego sprzeciwu, gestu samoobrony. A jednak było coś, co pozwalało jej mieć uczucie, że nie przez cały czas czekała z opuszczoną głową. Dwie książki, które trzymała w torbie, nie były już drapieżnymi stworzeniami, zdolnymi każdej chwili rzucić się jej do gardła, i nie parzyły już jej kolan, jak rozżarzone węgle — stały się parą ptaków, parą gołębi, czekających, żeby zabrała je stąd i wypuściła na wolność.

— Panno Siebel! — powiedział Lobetz. — Myślę akurat tak samo. Wydobyła to pani ze mnie i to ja powinienem się bać, a nie pani. — Wstał, przeszedł się po salce bibliotecznej, dotknął roztargnionymi palcami grzbietów książek na półkach. — Dobrze mi się z panią pracowało — powiedział. — Dobrze mi się z panią pracuje — poprawił się zaraz, ale ona odnotowała już w myśli ten czas przeszły, przydając jego użyciu wszystkie znaczenia, jakie miało — jakie mogło mieć — dla niej. Nie wyobrażała sobie jeszcze, że mógł go użyć — myśląc o sobie.

— Mnie także — powiedziała cicho — dobrze się z panem pracuje.

— W tym wschodnim mieście, jakim jest Lwów, błyszczą niczym, inkrustacje w jego obrazie przeniesione tu i tkwiące od lat najwspanialsze znamiona Europy. Myślę, że włączenie Galicji pod panowanie Habsburgów...

Nie słuchała tego, co mówił dalej. Oczarowanie Europą, jakiemu ulegała od dziecka głównie poprzez naukę zachodnich języków, zostało zniweczone tym, co teraz stamtąd przyszło: wymyśloną tam zagładą. Nienawiścią i zagładą. I bierną słabością tych, którzy mając je pod bokiem, pozwolili im rosnąć. Oto czym się objawiły te najwspanialsze znamiona Europy, o

których mówił Lobetz, z czym przyszła do wschodnich miast, ale także i swoich nie szczędząc.

Okupacyjny likwidator uniwersyteckiej biblioteki we Lwowie dawno skończył swój wywód o radości, jakiej doznawał odnajdując ślady Europy, jej przenikania w kulturę wschodniego miasta, panna Siebel — dawał jej to wyraźnie do zrozumienia — była bezsprzecznym tego dowodem... Porzucił ten temat, jakby się nim zmęczył lub zniechęcił do niego, a może uznał go za zbyt jałowy w sytuacji własnej i dziewczyny, do której mówił. Bo czy z nią rozmawiał? Kilkakrotnie tracił tę pewność, widząc strach w jej oczach. Czy można uważać za rozmowę wymianę zdań z człowiekiem, który się boi?

A jednak zapytał:

— Od czego to zaczęliśmy tę rozmowę?

Ona pamiętała i odpowiedziała od razu:

— Od tego, że wiosna taka piękna i że Lwów ma tyle zieleni.

— Właśnie! Tyle tu parków i drzew na ulicach i placach. Myślałem nawet, żeby sprowadzić tu rodzinę. Ale teraz — już na to za późno.

— Dlaczego? — spytała ostrożnie.

— Idę do wojska, panno Siebel! — zawołał gromko, tak gromko, że objawiło to całą rozpacz tego wyznania. — Dostałem powołanie. Nie jestem tu tak niezbędny, jak mi się wydawało. A po przeszkoleniu — front wschodni. Pozostaje mi tylko żywa nadzieja, że wiosna w rosyjskich stepach jest równie piękna, jak w tym mieście.

Wciąż fałszywie ożywiony, krążył przez chwilę po bibliotecznym pomieszczeniu, aż padł z powrotem na krzesło przy stoliku z książkami i znowu wziął do ręki polską książkę i zaczął przewracać jej kartki, choć nie rozumiał z nich ani słowa.

— Kiedy? — zapytała.

— W przyszłym tygodniu.

— To prędko.

— Bardzo prędko.

— Ale... przeszkolenie chyba trochę potrwa...?

— Nie za długo.

Zgarbił się nagle i poszarzał na twarzy, jakby już teraz zmęczony tym, co go czekało, zmęczony a priori — czy to było możliwe? Patrzyła na niego przekonana, że nie przyszedł tylko po to, żeby jej to powiedzieć, że nie przyszedł po to, żeby tylko o jej powiedzieć, i postanowiła przyspieszyć pchnięcie nożem (szpada — Europa! Europa!), jakie miała otrzymać, skrócić mękę oczekiwania, a i jemu ułatwić sytuację.

— Pan... jeszcze chciał mi coś powiedzieć.

— Tak, panno Siebel. Tak!

Wyprostował się, zaczerpnął jakby powietrza, nie spodziewała się, że tak trudno mu będzie zadać ten cios.

— Proszę, niech pan mówi.

Przez chwilę czytał polską książkę, nie rozumiejąc z niej ani słowa, aż wreszcie rzucił ją na stos innych.

— Moje odejście z biblioteki zmieni prawdopodobnie pani los. Mój następca może nie zechce...

— Spodziewałam się tego.

— Spodziewała się pani?

— Tak.

— Musi się pani na to przygotować. Musi pani... — zaczął mówić gorączkowo, ale zaraz przerwał, nie znajdując słów, które mogłyby wyrazić i przedstawić choćby jedną możliwość przeciwstawienia się przemocy.

— Dziękuję panu — powiedziała.

Spuścił głowę.

— Bo może się okazać, że nie pracując w bibliotece nie będzie pani miała prawa mieszkania wraz z rodziną w swoim mieszkaniu.

— Obóz, tak?

— Właśnie... — Znów urwał, wstał i zaczął krążyć po salce wokół półek wypełnionych książkami, jeszcze wypełnionych książkami, po czym wrócił na swoje krzesło, ale nie wziął już do ręki żadnej książki, choć patrzył na nie

— głównie po to, żeby nie patrzeć w jej oczy, żeby nie widzieć, jak urągliwie przyjmowała to, co jej mówił; wiedział, że urągliwość tego spojrzenia i gromkość jego słów, którymi zawiadomił ją o powołaniu do wojska, należą do tej samej ludzkiej — skrywanej przed ludźmi — rozpacz.

— Od dawna wiemy, że czeka nas obóz na Janowie.

— Ale może jest jakieś... wyjście, jakaś możliwość...

— plątał się, więc przerwała mu, żeby się nie męczył:

— Jakie? — zapytała. — W każdym razie jeszcze raz dziękuję.

Nie był człowiekiem, któremu mogłaby się przyznać do przygotowań czynionych przez ojca, ale poczuwała się do wyrażenia mu wdzięczności za ich przyspieszenie. Ptaki, które trzymała w torbie, może były ostatnimi, jakie miały wyfrunąć stąd na wolność. Zaniepokoiła się, czy Czownicki, z którym była umówiona w tym samym co zwykle miejscu, nie zrezygnował już z czekania, sądząc, że z jakiegoś powodu wyszła wcześniej z biblioteki lub w ogóle dziś w niej nie była. Zabranie książek do domu nie było bezpieczne; pomyślała z żalem, że będzie musiała zostawić je w bibliotece. Niechby tylko Lobetz stąd wyszedł, nie mogła przy nim wyjąć ich z torby...

— Dziękuję panu — powtórzyła w nadziei, że zakończy to rozmowę. Ale on nie ruszał się z krzesła i patrzył wciąż w stertę książek na stole.

— Tylko tyle mogłem dla pani zrobić — powiedział. I zaraz dodał: — Nie zatrzymuję pani, panno Siebel. Na pewno się pani śpieszy. Ja tu jeszcze zostanę.

Wyszła z mrocznego gmachu biblioteki w wiosenne słońce, bardziej rażące niż kiedykolwiek innego dnia. Nie mogła się nadmiernie śpieszyć, żeby nie zwracać uwagi przechodniów, a powinna może biec, żeby zastać tego Polaka, któremu nic nie groziło, któremu jeszcze nic nie groziło, w umówionym miejscu.

Było tak, jak się spodziewała — nie czekał.

Weszła do bramy narożnej kamienicy, gdzie nieraz oddawała mu książki i gdzie — raz — ją pocałował; przy każdym następnym spotkaniu myślała, czekała, że to się powtórzy, ale nie powtórzyło się, oddawała mu książki, on dziękował w imieniu profesora i odchodził. A teraz zwyczajnie nie czekał, głupi goj! Czy nie mogło mu przejść przez myśl, że coś ją zatrzymało?

Dwie książki w torbie nie były już drapieżnymi stworzeniami, które mogły rzucić się jej do gardła, nie były też żarzącymi się węglami, ani ptakami, czekającymi, żeby je wypuściła na wolność — tu, na ulicy, przemieniły się w dwa granaty i czuła pod pachą ich obły kształt i przyczajone niebezpieczeństwo, jakby zdjęła je z półki bibliotecznej już odbezpieczone, przygotowane do wybuchu. Nie, nie mogła ich zanieść do domu, nie mogła podłożyć ich rodzinie, musiała zaraz się ich pozbyć, niechby ktoś inny trzymał je pod swoim dachem, gdzie nie groziły wybuchem.

Pomyślała o profesorze Chołodyńskim, dla niego przecież były przeznaczone. Ale gdzie mieszkał? Z tego, co mówił Czownicki, wynikało, że na Kolonii Profesorskiej, tylko czy tak łatwo da się go odnaleźć, nie znając dokładnego adresu? Postanowiła zaryzykować, wsiadła do tramwaju i pojechała na Kolonię.

Kwitły tu już sady, otaczające profesorskie wille, na klombach czerwieniły się tulipany, żółte i fioletowe prymule obrzeżały jaskrawię zielone trawniki. Gdyby nie wiedziało się nic o świecie, o tym mieście i o tym miejscu przede wszystkim — wydawałoby się ono stworzone na sielankę, na wiosenną radość, wyciętą z kalendarza historii.

Już na początku Chajka popełniła błąd.

Weszła do pierwszego lepszego domu, żeby zapytać o profesora Chołodyńskiego, miała nadzieję, że profesorskie nazwiska są tu znane, a sąsiedzkie stosunki pozwolą uzyskać potrzebną informację.

Zadzwoiła, ale gdy drzwi się otworzyły, nie zdążyła o nic zapytać — natychmiast zatrzaśnięto je z powrotem. Widziała tylko przez sekundę młodą dziewczynę w progu i przerażenie w jej oczach. A potem usłyszała pośpieszne kroki w głąb mieszkania i krzyk:

— Mamo! Jakaś Żydówka!

— Nie otwieraj! — odkrzyknęła z głębi. — Nie otwieraj!

Uciekła stamtąd, zatrzymała się aż pod płotem ogrodu, w którym stara, przygarbiona kobieta sadyła flance warzyw. Chajka nie dotknęła dłonią furtki, żadnym gestem nie okazała zamiaru, że chce za nią wejść, że odważa się zakłócić spokój tej posesji, domu, który na niej stał.

— Przepraszam — powiedziała — gdzieś tu na Kolonii mieszka profesor Chołodyński. Nie wie pani gdzie?

Kobieta podniosła głowę znad grządki, odgarnęła z czoła pobrudzonymi ziemią palcami kosmyk siwych włosów. Patrzyła na nią bez słowa. Wszyscy teraz tak patrzyli. Żyli razem od wieków w tym mieście i nigdy się tak sobie nie przyglądali. W cowieczornych spacerach na deptaku — od Teatru Miejskiego, ulicą Legionów, placem Mariackim i Akademicką — płynęły, mijając się, w obydwu kierunkach twarze polskie i żydowskie, ukraińskie, polskie i żydowskie, aryjskie — jak teraz mówiono — i żydow-

skie, i nikt się tym ostatnim tak nie przyglądał, po prostu były w tym wesołym przedwieczornym tłumie, należały do tego miasta...

Teraz budziły strach. I to właśnie przyszło z tej przeklętej Europy, która poddała się zbrodni, zaplanowanej przez diabła, a ułożonej w pięknym języku, którego uczyła się z takim zachwytem, powtarzając wiersze Goethego, Schillera, Heinego...

— Przepraszam — powtórzyła. — Szukam profesora Chołodyńskiego. Mieszka gdzieś tu na Kolonii.

— Na tej ulicy nie — powiedziała kobieta i nieprędko wróciła do sadzenia flanc, wyprostowana patrzyła w ślad za nią; Chajka czuła jej wzrok na plecach aż do rogu.

Pytała jeszcze kilkakrotnie o profesora, zawsze ludzi na ulicy lub w ogrodach, nie zapuszczając się nigdy poza furtkę lub na próg domu. Zrezygnowana postanowiła już wracać, gdy w szczególnie uroczej uliczce, w ogrodzie przy niezbyt okazałej willi spostrzegła Witolda Czowniciego, zajadle kopiącego ziemię na grządki. Stała przy nim kobieta najwyraźniej niezbyt pewna fachowości jego pracy; nie mogła się powstrzymać od uwag, rozbijając grabiami zbyt duże grudy ziemi. W pobliżu kobiety siedział nie spuszcający z niej oczu ogromny rudy kot.

Chajka przystanąła. I tu także nie otworzyła furtki, nie weszła na ścieżkę.

— Panie Witku! — mówiła kobieta. — Naprawdę nie powinien się pan brać do tej roboty. Może trafiłby mi się ktoś...

— ...bardziej kompetentny? — chłopak roześmiał się, wbił szpadel głęboko w ziemię i szybkim ruchem przewrócił mokrą bryłę. Potem następną i następną. — Co tu pani posieje?

— Pietruszkę.

— A marchewki nie?

— Marchewkę też posieję. Na drugiej grządce. Cebulę, koperek... Posadzę flance porów i selerów. Lubię mieć zakryszkę pod ręką.

— To do zupy?

— Do zupy. Jakże zupa czy rosół bez zakryszki? Rosół — z czego teraz? rosół? Pewnie długo jeszcze zupy będą tylko z jarzyn, które tu urosną.

Były więc jeszcze kobiety, które miały siał warzywa tej wiosny, sadzić flance na grządkach, a potem plewić, uwalniając je od chwastów. Ten zamiar był nie tylko jednym ze sposobów walki z grożącym głodem, który mógł się jeszcze nasilać w miarę trwania wojny, był także radością nadziei na jutro, na pojutrze, na dni wzrastania zasianych roślin i zbierania plonów.

Słusznie dzieliła teraz ludzi na tych, którzy mieli jutro, i tych przed którymi rysowało się ono każdego ranka coraz wyraźniejszym znakiem zapytania. Do pierwszych zaliczała Niemców, Ukraińców, Polaków, do drugich — swój naród, przeznaczony na zagładę. Ale czy ten podział zawsze miał sens, czy nie podlegał wyłomom? Oto Lobetz z czołowego miejsca pierwszej grupy był już po tej stronie co ona. Też już miał przed sobą znak zapytania. A ten Polak, który zastrzelił dwóch gestapowców w pobliżu cukierni na ulicy Boimów? Tylko może on nie da się złapać, o Boże! Boże wszystkich narodów, wszystkich wyznań! Niech on nie da się złapać!

— Ktoś stoi przy furtce — powiedziała kobieta do Czownickiego, wciąż zawzięcie kopiącego grządkę.

Dlaczego powiedziała to do niego i tak niepewnym głosem, chyba ona była tu gospodynią i powinna podejść do płotu, powinna zainteresować się gościem.

Czownicki podniósł głowę, przez chwilę sprawiał wrażenie, że nie dowierza własnym oczom, nie odpowiedział nic kobiecie, wbił szpadel w ziemię i powoli ruszył ku furtce.

Ale ktoś, kto wyszedł z domu, okazał się szybszy. Mężczyzna, w którym Chajka domyśliła się profesora Chołodyńskiego, przemierzył kilkoma krokami ścieżkę i otworzył przed nią furtkę.

— Panna Siebel? Czy tak? Wreszcie mam okazję, żeby panią poznać i podziękować. Witold mówił mi, że nie doczekał się pani przed biblioteką. Myślał, że coś zaszło...

— Tak — odezwała się, nie ruszając się z miejsca — zatrzymał mnie mój szef. — Otworzyła torbę, żeby wyjąć z niej książki; na krótki moment ogarnęło ją zdumienie, że nie są granatami, które niosła tu z duszą na ramieniu. Nie wyglądały też na drapieżne stworzenia, które mogłyby rzucić się jej do gardła, nie parzyły jak rozżarzone węgle, ani nie szykowały się do odlotu, jak ptaki wypuszczane na wolność. Były dwoma tomami, zawierającymi przebieg obrad Ligi Narodów z 1933 roku, kiedy Niemcy, a potem Włochy zgłosiły swoje z niej wystąpienie. — Przyniosłam panu... — zaczęła, pokonując suchość warg.

— Ależ proszę, niech pani wejdzie! — profesor wyciągnął do niej rękę, ale przedtem uczynił zapraszający gest. — Nie lubię witać się przez próg, nawet jeśli jest to próg ogrodu. Lidko! — zawołał. — To panna Siebel! Moja żona — przedstawił, gdy profesorowa się zbliżyła. — Mam nadzieję, że mamy panią czym poczęstować, choć czasy teraz takie...

Zbliżył się również Witold.

— Czekałem dosyć długo — zaczął się tłumaczyć. — Na ulicy i w sieni tego domu, wie pani, za rogiem... — urwał, bo panna Siebel oblała się szkarłatnym rumieńcem. Patrzyła na niego swoimi sarnimi oczyma, które nagle zaszklily się łzami.

— Mam słoik prawdziwego, domowego dżemu z truskawek — powiedziała Lidka Chołodyńska, pokonawszy początkowe zaskoczenie. — Z takim dżemem nawet kartkowy chleb smakuje jak tort.

— Ja dziękuję — broniła się Chajka, prowadzona przez oboje gospodarzy do wejścia — nie jestem głodna. Jeszcze jakoś udaje nam się kupować jedzenie. Mamy pod Brzuchowicami zaprzyjaźnionych z nami jeszcze przed wojną gospodarzy i przywożą, co trzeba... Więc naprawdę dziękuję, proszę sobie nie robić kłopotu i... uszczerbku.

— No, nie jest jeszcze z nami tak źle — zaprotestował dość słabo profesor.

Panna Siebel, wprowadzona do saloniku na dole, od razu przystąpiła do rzeczy. Wyjęła z torby i położyła na stole obydwie książki.

— Gdyby to były inne pozycje — powiedziała — nie spotkawszy pana Czownickiego, zabrałabym je do domu. Ale tych akurat wolałam w domu nie mieć, bo gdyby coś się zdarzyło i znaleziono by je u nas... Są to książki zawierające przebieg burzliwego zebrania Ligi, gdy Niemcy, a potem Włochy z niej występowały. Przemówienia wszystkich delegatów...

— To bardzo dla mnie cenne! Bardzo! Ale niechże pani siada — profesor prawie przemocą posadził swego gościa w fotelu. — Nie ma pani pojęcia, jak się cieszę, że mogłem panią wreszcie poznać i podziękować za wszystko, co pani dla mnie zrobiła, co pani dla mnie robi...

— Niestety — Chajka opuściła głowę, długo milczała, a profesor nie przynaglał jej, żeby mówiła — Niestety, obawiam się, że niedługo się to skończy. Może nie będę pracowała w bibliotece. Mój niemiecki szef właśnie dlatego dłużej mnie zatrzymał, żeby mi to powiedzieć — dostał powołanie do wojska. A jego następca nie zechce, być może...

— Rozumiem — zmartwił się profesor. — I powiedział to pani? Tak wprost?

— Wydaje mi się, że mnie... cenił — cicho wyznała panna Siebel. — A poza tym... myślę, że z całego personelu biblioteki tylko przede mną mógł zdradzić się ze... stanu swego ducha. Bo idzie na front wschodni.

— Już to wie? Będzie przecież musiał przejść jakieś przeszkolenie? W powołaniu nie mógł mieć od razu skierowania.

— A więc może tylko... boi się tego. Choć nie wiem, dlaczego ten zachodni, gdyby wreszcie powstał, miałby być lepszy.

— Nie powstanie — powiedział krótko profesor. — W tym roku na pewno nie. Alianci nie są gotowi.

Panna Siebel zamilkła. Gasły oto kolejne światełka, które czasem udawało jej się widzieć w czarnym tunelu przyszłości. Przyszłość — jakież to było nieprzydatne słowo podczas wojny — każdej, a tej szczególnie. Bo ginęli, bo mieli ginąć nie tylko żołnierze. „Alianci nie są gotowi”. Już wtedy powinni być gotowi, gdy w języku Goethego ustanawiano najokrutniejsze prawa. Ale nie byli i nie uważali za konieczne... A w Anglii, a w Ameryce, na całym świecie żyło tylu Żydów, mądrych i bogatych — dlaczego nie zatroszczyli się, dlaczego nie przewidzieli losu swoich braci w Europie?

Z głębi domu, prawdopodobnie z kuchni, dochodziło pogodne przekomarzanie się dwóch głosów. Pierwszy należał do pani domu, w brzmieniu drugiego rozpoznała Chajka głos Witolda, który chyba bardzo był tu zadowolony, bo wkroczył po chwili do pokoju z tacą, na której stały filiżanki pachnące cudownym aromatem mięty i talerz z kromkami chleba, posmarowanego owym domowym truskawkowym dżemem. Profesorowa postępowala za nim niosąc talerzyki.

— Zawsze sięję pod płótem z tyłu ogrodu — mówiła — trochę mięty. Ale nigdy się tak nie przydawała, jak teraz podczas wojny. Smakuje nawet bez cukru — uśmiechnęła się.

Chajce wydała się bardzo miła, gdy prawie przepaszająco mówiła ostatnie słowa. Niepotrzebnie utkwilo jej w pamięci to zdanie, które profesorowa w ogrodzie skierowała do Witolda: „Ktoś stoi przy furtce”. Powiedziała je tak, jakby wiedziała, kto stoi przy furtce. A może nie wiedziała? Chajka nie zdejmując z twarzy profesorowej boleśnie badawczego spojrzenia, skarciła samą siebie za zbytnią wrażliwość.

Profesor tymczasem powtarzał Witoldowi to, co przed chwilą od niej usłyszał.

— Idzie do wojska — mówił o jej niemieckim szefie.

— Tego można się było spodziewać — powiedział Witold; chciał, żeby zabrzmiało to pocieszająco, ale nie zabrzmiało, nie zdążyło zabrzmieć, bo profesor, wciąż powtarzając słowa Chajki, mówił, że ona pewnie przestanie teraz pracować w bibliotece, a to by oznaczało — profesor o tym nie mówił, ale Witold zdawał sobie z tego sprawę — to by oznaczało zmianę sytuacji całej rodziny Sieblów, przyspieszenie realizacji planów starego, a dla niego, dla Witolda, utratę kontaktów z nim i dobrych dotychczasowych zarobków. Wprawdzie za namową ojca Myszki zdecydował się jednak na uszczuplenie ładunku w wagonach z wełną dopuszczając do spółki Zygmunta, który zjawił się nazajutrz w biurze jakby nigdy nic, jakby dwóch gestapowców nie padło na bruk ulicy Boimów, nie doprowadziwszy porucznika Leszka do swego samochodu — ale nawet z tym spryciarzem patriotyczne to złodziejstwo, jak mówili sobie ze śmiechem, trzeba było uprawiać z umiarkowaniem, żeby Niemcom to nie podpadło; handel z Sieblem był więc jednak głównym dopływem gotówki, czasem całkiem znacznej, gdy jubiler wyzbywał się jakiejś większej sztuki złota. Pensja w Landwirtschaftliche Zentralstelle była tylko znikomym dodatkiem do pierwszorzędnego ausweisu. Pomyślał, że i jego szef podzieliłby może los szefa Chajki Sieblówny i na jego miejsce mógłby przyjść ktoś gorszy. W każdym bądź razie wiadomości i perspektywy nie były dobre i Witold, nie mając nic do dorzucenia w tej rozmowie, zawołał prawie z entuzjazmem:

— Dokończę kopania grządki!

— Nie, nie! — usiłowała go powstrzymać profesorowa, ale uśmiechnął się do niej już w drzwiach, przymrużywszy lekko oko.

— Musi pani przyznać, że robię to coraz lepiej.

— Nie przyznaje! — zaśmiała się. — Nie przyznaje!

Z ulgą, choć niezbyt taktownie zostawił Chołodyńskim bawienie tak niespodziewanego gościa i ochoczo chwycił za szpadel. Kot, który siedział na brzegu grządki potracając łapą zwijającą się konwulsyjnie dżdżownicę, spojrział na niego pytająco, jakby oczekując wyjaśnienia, co to za dziwny stwór wypełził spod grudy ziemi. Do zjedzenia się nie nadawał, tak przynajmniej należało sądzić z dotychczasowych doświadczeń. Ale jeśli nie do zjedzenia, to — do czego? Pytanie to kot miał w oczach, ale Witold nie znajdował na nie odpowiedzi. Kot zresztą niedługo interesował się dżdżownicą, na modrzewiu, obsypanym już puchem jasnej zieleni, odezwał się kos. Kot zwrócił głowę w tym kierunku, zastrzygł uchem, oczy mu za-błyśły.

— Ty bandyto! — powiedział do niego Witold. Nie wiadomo dlaczego — przy szpadlu, w cudzym ogrodzie, gdzie w miarę trwania wojny powiększono obszar przeznaczony na warzywa — dzień wydał mu się uroczy i nie tylko ze względu na wiosnę i pogodę. Nie przyniósł profesorowi książek, ale za to skopie mu kawał ogrodu, i kto wie — uznał tę myśl za wręcz obraźliwą, ale jednak ją dokończył — czy nie będzie z tego większego pożytku.

Deszcz dawno nie padał, ziemia była twarda i sucha, tylko na spodzie z trudem odcinanej szpadlem skiby trochę ciemniejsza od pozostałej w niej jeszcze zimowej wilgoci. W dodatku rosły tu w ubiegłym roku kartofle, których lęty jeszcze w niej tkwiły, tępy szpadel z trudem je pokonywał. Witold poczuł wilgoć zraszającą mu czoło, ale mimo to wciąż uważał, że dzień jest wyjątkowo udany, a każda robota w słońcu i pachnącym powietrzu wiatru lepsza od wyławiania niepewności losu Sieblówny i jej rodziny, przyczajonej w każdym zdaniu rozmowy prowadzonej w saloniku.

Siebel był skryty, i słusznie! nie zdradzał się ze swoich planów i przygotowań, raz tylko, gdy szeptali w kącie rozległego hallu jego mieszkania, gdzie zwykle załatwiali wszelkie interesy nie wtajemniczając w nie rodziny — raz tylko powiedział mu, że nawiązał kontakt z dwoma oficerami —

niemieckim i węgierskim — przyjaciółmi, czy nawet spokrewnionymi w czasach zażyłości austro-węgierskiej przed pierwszą wojną.

— Szlachcice! — szeptał mu do ucha z zachwyconą pewnością, że wysokie urodzenie jest najlepszą rękojmią prawości i honoru. — Czy takich dwóch panów z dziada pradziada mogłoby oszukać biednego polskiego Żyda? I na czym? Ja rozumiem, zdarza się wzięcie pierścionka na kredyt, przychodzi wielki pan, co on musi zaraz zrobić prezent kobiecie i nieraz już coś kupował i płacił, ale teraz jest bez pieniędzy i długo jest bez pieniędzy, zawsze jest bez pieniędzy! — takie rzeczy, takie oszustwa się zdarzają. Ale oszukać kogoś na życie? Nie jia głupie paręset złotych — ale na życie! Czy to jest możliwe?

— Nie przypuszczam — powiedział mu dość oględnie, sam nie wiedział, skąd mu się wzięła ta oględność w wyrażeniu zdania w tak ważnej sprawie, powinien wyrazić — albo wątpić, albo utrzymać Siebla w absolutnej pewności jego racji, przypomnienie spraw, które ojciec prowadził bardzo wielkim panom, matactwa u ich podłoża, nie upoważniały go przecież, żeby teraz w chwilach i sprawach, nie notowanych dotąd w historii, żeby teraz...

— Ten Węgier — ciągnął dalej Siebel, śliniąc mu ucho — ma majątek blisko granicy...

— Jakiej? — spytał omdlewając ze strachu, aby Siebel nie wymienił którejś z granic już obłożonej wojną. W Serbii już się przecież bili, w Chorwacji...

— Rumuńskiej — powiedział Siebel. W Rumunii jeszcze daje się żyć. I dobry żydowski Pan Bóg ulituje się nad swoimi dziećmi zaplątanymi w ten łajdacki świat, sprawi, że dobrniemy do Konstancy albo do Gałacza. A stamtąd skok przez morze do Turcji i dalej na południe... na południe do naszej ziemi! Och, przekłeta chwila, w której chociaż jeden Żyd ją opuścił!

Chciał coś powiedzieć, ale za słaby był w Starym — zresztą i w Nowym — Testamencie, żeby na pewno wiedzieć, dlaczego Żydzi opuścili swoją ziemię. Milczał, a Siebel wciąż dyszał mu w ucho:

— Ale niech pan nie myśli, że tej mi nie żal.

— Wcale tak nie myślę — szepnął.

— Tu się przecież urodziłem. I mój ojciec. I dziadek. Nie zostawiłbym jej nigdy, gdyby ci bandyci tu nie przyszli. Nigdy. Wierzy mi pan? — odchylił do tyłu głowę i patrzył mu w oczy przejmującym spojrzeniem.

— Wierzę — powiedział.

Siebel jakby się uspokoił po tym stwierdzeniu.

— Po wojnie... — zaczął innym tonem — bo ona się chyba kiedyś skończy, choć słyszałem, że jedna trwała trzydzieści lat — po wojnie ja do pana napiszę, panie Witku. Piękny list do pana napiszę, przyjemnie będzie panu go czytać.

Obydwaj zamyślili się nad ostatnim zdaniem i chyba naprawdę nie było już nic więcej do powiedzenia.

Kos gwizdał zawzięcie na samym czubku modrzewia, a kot zadarłszy głowę przyglądał mu się z filozoficzną zadumą. Dziwny był ten świat; to, co było osiągalne i w zasięgu łapy, nie nadawało się do zjedzenia, a to, na co miałyby ochotę, siedziało na najwyższej gałęzi i w dodatku miało skrzydła, żeby zaraz z niej sfrunąć, gdyby zdołał wspiąć się po pniu tak wysoko.

— Ty bandyto! — powtórzył, jak mu się wydawało pieszczotliwie, Witold, ale rudzielec spojrział na niego nieufnie i oddalwszy się nieco, przysiadł znów opodal na puszystym ogonie. — Masz rację, nie należy się spoufalać.

O czym oni tak długo gadają? pomyślał, prawie za złe mając Chołodyńskim, że przetrzymują swego gościa. Ale to był jakby i jego gość, nie przyszłaby tutaj, gdyby dłużej poczekał na nią w pobliżu biblioteki. Dla-

czego właściwie tak się spieszył? Żeby powiedzieć profesorowi, że Sieblówna się nie pokazała? Co mu z tej informacji przyszło, nic, zupełnie nic. No i przez niego, przez to, że na nią dłużej nie czekał, ona teraz siedziała tam w saloniku, i żeby chociaż wyszła, kiedy on był zajęty kopaniem grządki — nie musiałby jej odprowadzać, całkiem naturalne by było, że skoro pracuje w ogrodzie, nie może rzucić roboty i jechać z nią tramwajem na Zamarstynów. Co to zresztą za głupi zwyczaj z tym odprowadzaniem dziewcząt, jakby same nie mogły trafić do domu i... czy w każdych okolicznościach... absolutnie w każdych okolicznościach chłopak jest do tego zobowiązany? Zamyślił się ponuro, coraz bardziej zły, ale równocześnie jakby i zawstydzony sobą — gdy nagle usłyszał skrzypienie furtki. Kot i on równocześnie zwrócili głowy w tym kierunku.

Przy furtce stał ukraiński policjant.

Już nie stał, już ją otworzył, już szedł ścieżką pospiesznie i w jakimś dziwnym podnieceniu, irytacji prawie, ale nie ku wejściu do domu, lecz w stronę grządek, ku rozkopanej, nie wyglądzonej jeszcze grabiami ziemi.

Przystanął na jej skraju, kopnął butem z wysoką, wyglansowaną cholewą potężną bryłę, którą Witold właśnie zrzucił ze szpadla.

— Taż to kaparstwo, nie robota! — zapiał z wściekłością. — Taż kto to widział, żeby ziemię tylko z wierzchu obracać. Chabazi, bodziaków, badyli z zeszłorocznych baroboli, co tu rosły, w niej nazostawiać, nie oczyścić, nie poruszyć? Ja mogę być prosty hryć i kałakunio, jak pany tu mówią — ale na ogrodowej robocie ja się znam!

Wyrwał Witoldowi szpadel z ręki, wbił go w grządkę głęboko, z przewróconej bryły wyrwał zeszłoroczny chwast, otrząsnął z ziemi korzenie i odrzucił je na bok, bokiem szpadla, a także dłonią rozkruszył nie rozpulchnione jeszcze miejsca, wygładził je starannie, prawie z miłością i dopiero wtedy podniósł oczy na pidpanka, który tego nie potrafił i za mało — to chyba było najważniejsze — wkładał w to serca.

— Tak trzeba robić! — powiedział, ale już nie groźnie, bo bardzo z siebie zadowolony.

Witoldowi zaczęło coś świtać w głowie. Ukraiński policjant, jego twarz okrągła, spojrzenia pełne oddania, jakimi obrzucał swoją robotę, przenosząc je co chwila na okna willi, w nadziei, w pewności nieomal, że i stamtąd ją widzą i tak samo oceniają — były przecież mu znane.

Wasylko! pomyślał. Bih me! Taż to Wasylko!

Profesorowa istotnie dostrzegła go i może usłyszała przez otwarte okno, bo już biegła ścieżką. Wasylko do niej teraz zwrócił swoje pretensje:

— Czego mi pani nie powiedziała, że ogród już trzeba kopać?

— Jak miałam ci... jak miałam panu powiedzieć — zająknęła się — kiedy od dawna... pana nie widziałam...

Wasylko spuścił oczy, ale tak — i po to tylko — żeby sam siebie mógł obejrzeć, swój paradny wygląd, do którego najwidoczniej jeszcze nie przywykł.

— Nie mogłem przyjść. Bo byłem na szkoleniu. Matka nie mówiła?

— Mówiła. Drugi raz nie poszłam, bo myślałam... — profesorowa zamilkła, ale Wasylko przerwał jej zakłopotanie:

— A teraz już mogę. Już mam trochę wolnego czasu po służbie. I od razu przyszedłem! — Zdjął czapkę i kurtkę od munduru, uznawszy, że profesorowa już się na nie napatrzyła, i w koszuli tylko, znowu chwycił za szpadel. Ale nim zaczął kopać, spojrzął jeszcze raz karcąco i zjadliwie na Witolda.

— Tyle chabazi i badyli w ziemi nazostawiał... co by tu urosło?

— Urosłoby, urosło — profesorowa wzięła w obronę Witolda, choć przedtem i ona nie była zadowolona z jego ogrodniczych zdolności, ale to tylko rozwściekliło Wasylka.

— Co by urosło? Gó... — zmiłygował się jednak — nic by nie urosło!

— Niech się pan nie handryczy — profesorowa podniosła głos — i nie hersztyka, pan Witold chciał jak najlepiej.

Wasyłko znowu zwrócił spojrzenie ku temu, który „chciał jak najlepiej”, a teraz jakby — bez żadnego szacunku dla jego munduru, bez najmniejszego przed nim strachu! — lekko się z niego podśmiewywał.

— Ja wcale się nie handryczę i nie hersztykam — rzekł z ponurym smutkiem — ale prawdziwej roboty to tu ani za centa.

— Wszystko jedno — profesorowa chciała skończyć tę rozmowę.

— A tak w ogóle — Wasyłko wznosił na nią swoje uległe, proszące spojrzenie — to ja jestem Wasyłko, jak dawniej. Żaden tam pan! Ale nie dla wszystkich! — dodał groźnie. — Tylko dla pani Lidki i dla pana profesora.

— Dobrze — uśmiechnęła się Chołodyńska. I dodała: — Dziękuję.

Wymownym gestem zagarnęła Witolda ku domowi, ale nim odeszła, zwróciła się jeszcze do Wasyłka:

— Głodny nie jesteś? Bo mam chleb z dżemem truskawkowym. Domowym! Pamiętasz, jak w zeszłym roku obrodziły truskawki tam pod płotem?

Uśmiechnął się szeroko. Białe zębiska zaśniły w wilgotnych wargach.

— Pamiętam. A... głodny już teraz nigdy nie jestem.

Kot zbliżył się do niego i usiadł na brzegu grządki.

— Zobacz — powiedziała profesorowa odchodząc — też się ucieszył, że przyszedłeś.

Też! odnotował w myśli Witold postępując za nią ku drzwiom domu. Wciąż mu się chciało śmiać, ale jakby już trochę mniej.

— Co się tam dzieje w ogrodzie? — spytał profesor, gdy weszli do saloniku.

Żona odpowiedziała mu dopiero po chwili:

— Wasylko przyszedł kopać grządki.

— O, to dobrze!

— Tylko że...

— ... że co?

— ... że jest w mundurze.

— W mun... durze...? — zająknąwszy się powtórzył profesor.

— Przecież był na jakimś szkoleniu. Sam mówiłeś, kiedy ci powtórzyłam, co na ten temat powiedziała mi jego matka — że pewnie szkoli się na generała.

— A na co się... wyszkolił? — ostrożnie spytał profesor.

— Nie wiem.

— W jakim jest mundurze?

— Też nie wiem. Naburmosił się, że dopuściłam do kopania grządek pana Witka.

— To mundur ukraińskiej policji — powiedział Witold. Patrzył wymownie na pannę Siebel.

Odstawiła filiżankę, podniosła się z fotela.

— Ja już pójdę.

— Odprowadzę panią — powiedział.

— Nie, nie — stanowczo potrząsnęła głową. — Nie trzeba! — I dodała, jakby znała jego myśli, które atakowały go w ogrodzie. — Trafię sama

do domu. Zawsze trafiałam. Nigdy nikt mnie nie odprowadzał i nie odprowadza.

— Ale dziś ja to zrobię. — Witold nie patrzył na nią. Twarde i stanowcze brzmienie tych słów kierował nie do niej. Do siebie.

VIII

To jeszcze było możliwe — odprowadzanie do domu Żydówek, szwindle z dostawami owczej wełny rekwirowanej z całego dystryktu, kontynuowanie studiów i pracy konspiracyjnej, wydostającej się coraz odważniej z organizacyjnych powijaków po prawej stronie Sanu, na którą przenoszono w wszechobecnym, bo podwójnym: niemiecko-ukraińskim zagrożeniu doświadczenia walki podziemnej stosowane w Generalnym Gubernatorstwie.

To jeszcze było możliwe, po prostu mieli trochę szczęścia, choć niemiecki terror wzrastał w miarę odnoszonych zwycięstw. Dywizje w mundurach koloru feld- grau parły w euforii naprzód w rosyjskie stepy i nie przechodziło przez myśl dowódcom ani żołnierzom, że przed zakończeniem wojny zobaczą je znów, jak poprzedniej zimy, nie w zieleni, nie w kwiatach, ale w bieli śniegu, w lodowatym wichrze, gnącym do ziemi suche bądy i nagie gałęzie drzew. Cała Europa myślała wciąż o Napoleonie w nadziei, że historia musi się powtórzyć, ale oni byli pewni, że złamią tę tradycję historycznych powtórek, że zdepczą je tak jak deptali dotąd wszystko na swojej drodze. Megafony na ulicznych latarniach prawie każdego dnia donosiły o zajmowaniu kolejnych miejscowości, wielka armia była coraz bliżej Stalingradu i Kaukazu. Letnia ofensywa 42 roku miała dać niemieckim motorom benzynę z Majkopskiego Zagłębia. Szef Witolda i Zygmunta w Landwirtschaftliche Zentralstelle powtarzał coraz częściej ze śmiechem, że wożące go po Lwowie konie będą mogły niedługo wrócić do galicyj-

skich majątków, ponieważ on z powozu przesiądzie się wreszcie do swego służbowego auta.

Tak więc było to lato ugruntowanych niemieckich nadziei, ale także i polskiej — absurdalnej prawie wobec siły wroga — pewności, że każdy opór na tej ziemi jest drugim frontem utworzonym wcześniej, niż ten oczekiwany na zachodzie. Ale szczęście w tych dniach, tygodniach i miesiącach, przechodzących powoli w przeklęte lata — było potrzebne jak chleb: nie można było żyć bez niego.

Miał je Zygmunt Teleszko, który po oddaniu strzałów do dwóch gestapowców na ulicy Boimów wrócił jakby nigdy nic do domu, a nazajutrz zasiadł za swoim biurkiem w Landwirtschaftliche Zentralstelle, słusznie rozumując, że nieobecność w domu i w biurze byłaby oczywistą wskazówką dla niemieckich organów ścigania. A ile szczęścia mieli chłopcy z grupy porucznika Leszka spotkawszy się u Romka Wierzei w przeddzień najazdu gestapo na gabinet doktora i poczekalnię pełną pacjentów, z których każdy mógł się wykazać — i wykazywał się na żądanie — dorodnym syfilisem czy tryprem.

Doktor — ochłonąwszy z wrażenia, a potrzebował jednak na to trochę czasu — opowiadał potem kolegom syna przebieg wydarzenia, które mogłoby się wydać świetnym skeczem, gdyby nie to, że tak groźnych i przynajmniej na początku zupełnie pozbawionych poczucia humoru miało reżyserów.

Było ich czterech. Wyobrażali sobie zapewne, że Polacy mogą być uzbrojeni, bo dwóch z erkaemami na brzuchach zatrzymało się przy drzwiach, a pozostali — starsi rangą — przystąpili do swoich czynności.

Doktor Wierzeja miał, na szczęście — i okazało się ono w tym dniu tak potrzebne — karty pacjentów pozostających w dłuższym leczeniu; nowi, zgłaszający się do niego po raz pierwszy, legitymowali się tylko objawami swojej choroby, drząc, aby nie wydała się gestapowcom, nie specjalizującym się bądź co bądź w tych przypadłościach, zbyt mało oczywista.

Siedzieli w porozpinanej dolnej garderobie, bardziej przerażeni niż zawstydzeni sytuacją, a tych dwóch przy drzwiach nie uważało za słuszne hamować swojej wesołości. Słowo „*schwanzparade*” powtarzało się wciąż w uwagach, które wymieniali w nadziei, że Polacy wreszcie pojną, co oznacza.

Dwaj starsi rangą, przeglądający karty pacjentów w gabinecie doktora i wzywający ich po kolei przed swoje oblicze, nie byli skłonni do żartów. Nie przyznawali się oczywiście do tego, co najbardziej ich rozwścieklało: spodziewali się wyłapać tu polskich chłopaczków, chorych na swoją narodową pychę, a zmuszeni byli oglądać obrzydliwe przypadki chorób wenerycznych, o których od dawna nikt już nie słyszał w ich czystym — jak wciąż powtarzali — moralnie i epidemiologicznie kraju, a które szerzyły się coraz groźniej na zapleczu bohaterskiej armii, walczącej o nowy ład w Europie. To także wciąż powtarzali, nie kryjąc odrazy do oglądanych osobników. Potężny kopniak, jakim wyprawiali ich za drzwi gabinetu, był tego dobitnym dowodem.

Najbardziej jednak wyprowadził ich z równowagi wąsaty Ukrainiec, który w popłochu przybiegł do wenerologa słusznie podejrzewając, że coś mu się przytrafiło. Bo mogło się to przytrafić tylko Polakom — nigdy sprzymierzeńcowi, zwłaszcza że każdej chwili powinien oczekiwać na zaszczyt powołania do dywizji SS — Galizien.

Ukrainiec, wciąż zaniepokojony przede wszystkim paskudną sprawą, w którą się wpakował, niewiele rozumiał z tego, co do niego wrzeszczano, więc kopniak, jaki i on dostał, prawie go zdziwił. Papiery miał w porządku i przyzwyczał się już do właściwego traktowania przez potężnych sojuszników, a tu nagle taka kalamancja! Odzyskawszy równowagę po kopniaku, zatrzymał się w drzwiach, odwrócił się i powoli zapinając spodnie patrzył jakby w oczekiwaniu wyjaśnienia.

— Weg! — wrzasnął gestapowiec. Przyskoczył do delikwenta, złapał go za barki i jednym pchnięciem wyrzucił na środek poczekalni. — Weg! — powtórzył, otrzepując dłonie.

Doktor Wierzeja nie zdołał poskromić krótkiego uśmiešku wywołanego tą sceną; przyłapany na tej swojej polskiej satysfakcji nie spuścił oczu w przekonaniu, że to Niemiec powinien spuścić swoje. I tak się też stało.

Po tym incydencie nie przebadano już reszty pacjentów. Niespodziewani goście wynieśli się, udzieliwszy lekarzowi nawet czegoś w rodzaju pochwały: był potrzebny w tym plugawym kraju! I wzorowo spełniał swoje obowiązki.

Lokal przy Sykstuskiej był już jednak spalony. Grupie porucznika Leszka wynaleziono inne miejsce dla coraz częstszych już teraz spotkań. Napady ukraińskich band na polską ludność wsi i miasteczek stworzyły pilną potrzebę organizowania w nich samoobrony, a więc szkolenia i dostawy broni. Spotykali się teraz w zacisznym pokoju za piekarnią Bednarzkiego i tylko Witold wiedział — poza porucznikiem oczywiście — kto załatwił dla nich ten lokal.

Wstrząśnięty niespodziewanym zjawieniem się matki i kawalerzysty w kawiarni na Boimów miał zamiar przeprowadzić z nim (z nimi?) rozmowę, chyba śmieszna, choć tak bolesna, ale dalszy rozwój wypadków sprawił, że stało się to na razie zupełnie nieważne.

Najpilniejszą sprawą... niech tam sobie matka durzy się w tym oficerku, niech robi do niego słodkie oczy i umawia się z nim w niewiadomy sposób — najpilniejszą sprawą było przekonać się, czy to rzeczywiście Zygmunt strzelał do gestapowców, opuściwszy kawiarnię senatorowej przez okno w toalecie? A jeśli tak — to czy nie wpadł, czy go nie złapano? Gestapowcy pozostawili opodal samochód i kierowca mógł zauważyć strzelającego, mógł udać się w pogoń za nim — różne myśli kłębiły mu się pod czaszką podczas bezsennej nocy.

Kiedy rankiem następnego dnia zastał Zygmunta za biurkiem w Landwirtschaftliche Zentralstelle, ledwie stłumił okrzyk, choć przecież to, że tu siedział, mogło także oznaczać bezsensowność całonocnych nadziei i obaw.

W tym samym pokoju pracowało jeszcze dwóch innych kolegów, dopiero gdy wyszli, przyskoczył do jego biurka.

— Ty? — spytał, prawie pewny, że robi z siebie idiotę.

Ale Zygmunt, szczerząc zęby z uciechy, którą wreszcie komuś mógł objawić, odpowiedział od razu:

— Ja! — I dodał chełpliwie, prostując się na krześle i wysuwając do przodu wątle piersi: — To był numer, co? Tylko mi nie mów, że tego byś się po mnie nigdy nie spodziewał.

Witold położył dłoń na ręce Zygmunta, wspartej o biurko, uścisnął ją, aż musiało go to zabołec.

— Nie, tego ci nie powiem. Powiem ci coś innego: od razu, kiedy to się stało, byłem pewny, że to ty.

Teleszko spoważniał.

— Dziękuję — powiedział. Usta mu zadrżały, jakby dopiero w tej chwili pojął i ocenił, czego dokonał.

— I wbrew wszystkim przypuszczeniom czekałem na to, że przyjdiesz dziś do pracy i że zobaczę cię tu za biurkiem.

— Dziękuję — powtórzył. — A co innego miałem zrobić?

— Nic innego. Właśnie to. Tylko w jaki sposób on się z nami znów skontaktuje?

— Kiedy tamci upadli, dał nura w najbliższą bramę. Jakiś kontakt na pewno znajdzie. Musimy czekać.

Czekali więc, żeby porucznik się odezwał, i w ciągu tych dni, pełnych niepokoju, rozmowa z matką wydała się Witoldowi co najmniej niestosowna, pogłębiałaby jeszcze niepokój. Mówić można było o tym, co na pewno miało dalszy ciąg, co trwało, a dopóki Leszka nie było, dopóki się nie zjawiał i niewiadomym był jego los, wszystko zdawało się ulotne: nie istniała

ani przeszłość, ani przyszłość. Przeszłość krótkiego szczęścia tych dwojga, o które miał do nich pretensje, przyszłość, o którą miał pretensje jeszcze większe.

Te myśli trapiące go przez cały czas ośmieszały go przed samym sobą, gdy to właśnie matka kazała mu któregoś dnia zawiadomić kolegów o zbiórce. O spotkaniu z porucznikiem. I jakby już to samo nie było wystarczającą sensacją, dodała:

— U Bednarskiego.

Anielka przydałaby się bardzo jako świadek tej rozmowy, przy niej nie okazałby zapewne zdumienia, przekreślającego całe pojęcie, jakie miał, jakie z dzieciństwa zachował o matce — o jej kobiecej bezradności, o bezwiednym, a tak zniewalającym mężczyzn garnięciu się pod ich opiekuńcze skrzydła. To było po prostu wygodne przy ojcu, dopóki żył. Teraz objawiła się jej prawdziwa, całkiem przedsiębiorcza natura, choć także — jak wygodnie! — nie demonstrowana we wszystkich okolicznościach (na bazar chodziła jednak Anielka) natura z zasobem odwagi, czujności i stanowczego w formowaniu swego obecnego życia egoizmu, którego starczyłoby dla kilku kom piratorów.

Te wszystkie myśli Anielka niechybnie wyczytałaby jego twarzy, ale na szczęście nie prowadzili przy niej rozmowy, w lecie nie przesiadywali tyle w kuchni co w zimie.

Matka zawołała go do swego pokoju i tu, nie patra na niego, ale w jakiś punkt za oknem, powiedziała to, miała mu do powiedzenia, nadmiernie podkreślając gł sem ów adres tak zastanawiający:

— U Bednarskiego.

Do wszystkiego, co czuł, dołączał się więc jeszcze strach o tego człowieka, którego na oczy nie widział, i uważał go za kogoś bliskiego. Dostawali od niego dnia dwa bochenki najbielszego we Lwowie chleba, chleb podczas wojny to było serce najdobitniej okazał się bliźniemu.

— Więc i jego też chcesz skrzywdzić? — krzyknął.

— Co to znaczy: i jego też? — zapytała, wciąż nie patrząc na niego, nie odwracając głowy od okna. — Kto jeszcze?

Mnie! chciał krzyknąć, ale zdołał powstrzymać się od tego. Czuł wzmagającą się wciąż śmieszność swego zachowania w sytuacji tak właściwie naturalnej: była wojna, kobiety potraciły swoich mężczyzn i czuły się szczęśliwe gdy na ich miejsce znajdowały innych, co przecież nie było łatwe i naprawdę trzeba było mieć do tego wiele szczęścia. Dlaczego więc brał za złe matce... Czy dlatego że zaledwie rok mijał od śmierci ojca? Że tak szybko zapomniała o wszystkim, co ich łączyło, i o tym dniu, prawie przedostatnim, gdy ojciec obawiając się losu, który rzeczywiście go spotkał, zawołał ich oboje do gabinetu powiedział mu, żeby opiekował się matką na wypadek gdyby... Jak płakała, jak zaklinała się, że nie przeżyje bez niego jednego dnia! Klęcząc przy fotelu, na którym siedział, całowała go po rękach, obejmowała za kolana. Nie potrafię żyć bez ciebie! powtarzała. Nic bez ciebie nie :znaczę! Nic! Zupełnie nic! — Opiekuj się matką! powtórzył ojciec. Zawsze była bezradna, jak dziecko. A ty jesteś już mężczyzną.

A teraz oto dawała sobie doskonale radę bez nich obydwu. Bez ojca, bo nie żył; bez niego, bo go nie potrzebowała. Nie, nie był mężczyzną. Tu i w tej sprawie nie był mężczyzną. Patrzył ze szczeniackim bólem na wyprostowane plecy matki, którymi wciąż była do niego odwrócona, na czarną głowę, tak ozdobnie przyprószoną siwizną — dlaczego nie jest stara, myślał, dlaczego nie jest całkiem stara i brzydka, jak inne matki, ileż spokoju byłoby w tym, gdyby już nikomu nie mogła się podobać.

— Unieszczęśliwiasz nas wszystkich — powiedział w końcu. — Bednarskiego, Leszka. I mnie — dodał całkiem cicho.

Odwróciła się wreszcie.

— Dlaczego Bednarskiego? — zapytała prawie wesoło.

— Bo do tej pory martwił się tylko tym, skąd zdobyć mąkę. I jak ukryć to, że wypieka więcej chleba niż mu wolno.

— Nic nie wiesz o Bednarskim — powiedziała.

— Ale robi to dla ciebie, tak? — krzyknął.

— Nic nie wiesz o Bednarskim — powtórzyła, choć już jakby bez poprzedniej pewności, że ona wie więcej, może wszystko, o mężczyźnie, który tak lekkomyślnie okazywał jej swoje przywiązanie. — A dlaczego uważasz, że krzywdzę Leszka? — spytała pośpiesznie. — Przecież on jest szczęśliwy.

— Wybrałaś sobie odpowiedni moment — wybuchnął — i odpowiedniego człowieka, żeby go sobą uszczęśliwić. — Urwał, przypomniało mu się, jak to Myszka, zaraz gdy się poznali, powiedziała mu, że będzie dla niego pociechą. Powariowały te baby! pomyślał. Skąd ta ochota, żeby ich sobą pętać, skąd przeświadczenie, że z nimi, z ich miłością, łatwiej żyć, w każdych warunkach, nawet teraz, w czasie tak niepewnym i okrutnym.

— Rzecz w tym... — odezwała się matka łagodnie i wyraźnie przepraszająco za udrękę, której mu przysparzała — rzecz w tym, że tego momentu nikt sobie nie wybiera. Przekonasz się jeszcze o tym.

— Ja? — zaperzył się. — Nigdy!

— A ta dziewczyna — usiłowała zażartować — z którą byłeś w kawiarni? Prześliczna!

— To Zygmunt Teleszko się w niej kocha.

— A ty nie?

— No... może trochę. — Umilkł, żal mu się jednak zrobiło, że tak łatwo wyparł się Myszki, swego w niej — tak nieraz radosnego — zakochania. — Może trochę — powtórzył.

— A widzisz!

— Ale nie na tyle — podniósł znowu głos (Anielka na pewno słyszała wszystko w kuchni, ale to dobrze, dobrze, miał świadka, chciał mieć świadka!) — nie na tyle, żeby wariować, żeby wciągać ją w niebezpieczeństwa, które beze mnie by jej nie groziły, których by uniknęła... — znów umilkł, zapatrzony w zuchwały uśmiech, który nagle rozchylił usta matki.

— Niebezpieczeństwa? — powtórzyła. — Mój mały głupcze! Przecież ja dopiero teraz czuję, że żyję!

Nie miał już nic więcej do powiedzenia, patrzył zdruzgotany na uśmiech, który widział u niej po raz pierwszy, i nie miał nic więcej do powiedzenia; wszystko mu się pomieszało, nie wiedział, czy to matka dla porucznika, czy on dla niej stał się czyhającym zewsząd zagrożeniem, i przedstawiało mu się już zdawać, że mógłby ich przed sobą obronić, rozłączyć, przegonić od siebie.

Ale jednak zawołał, rzucając się do drzwi:

— Ja z nim porozmawiam! Ja jemu wytłumaczę...

— Zabraniam ci! — krzyknęła. — Słyszysz? Zabraniam ci!

Wybiegła za nim do przedpokoju, zagroziła sobą drogę. Odsunął ją od siebie, choć i jemu zbierało się na płacz.

— Ktoś w tym domu musi mieć rozum — wykrztusił.

— Ja! Ja tu zawsze najbardziej go miałam! — Anielka naprawdę musiała słyszeć całą kłótnię, bo już biegła z kuchni na ratunek, już ich oboje zagarnęła w swój mocny uścisk. — Słucham ja w kuchni co to za harmider, myślałam, że to z dworu słyhać, a to u nas, w naszym pomieszkaniu na siebie halukają. I to kto? Synek na mamuncię, mamuncia na synka! Po tom ja ciebie całe noce chyćkała i na rękach nosiła, żebyś ty teraz charkał się z rodzoną matką? A pani mecenasowa... pani mecenasowa... — zająknęła się Anielka — też raptus nerwus i, żeby tak prawdę rzec, haładrała życie swoje teraz układa, a bez to co rusz świeża pluskwa do domu się pcha.

— Anielko! — jęknęła matka, spokorniała jak skarcone dziecko.

Nie wzruszył się tym, choć ściśnięta razem z nim ramionami Anielki płakała i na jego piersi.

— Ja pluskwy nie szukam! — warknął.

— Ale ty durny jeszcze jesteś na to, co się między ludźmi może dziać. I nie ćwirkaj wciąż mamie w oczy...

— Ja nie ćwirkam, głodnych kawałków nie opowiadam. Wiem, co mówię!

— Nie bundziurz się tak od razu. I ja wiem, co mówię, choć może dla ciebie, jak taki funiasty się zrobiłeś, zwykły szturpak jestem.

— Obie jesteście głupie baby! — wrzasnął, wyzwalając się z objęć Anielki, odpychając od siebie i ją, i matkę. - Obie!

Wybiegł z domu i długo błąkał się po mieście. Na spotkanie z Myszką nie poszedł. Zbrzydła mu i ona. Czekwała na niego, jak zwykle, w parku Głowackiego, więc wybrał Stryjski, żeby usiąść gdzieś na ustronnej ławce i spokojnie pomyśleć. Nie był z siebie zadowolony, ale też i nie wiedział, co właściwie miał sobie do zarzucenia. W kawiarni senatorowej powiedział wprawdzie matce, że ją rozumie, co mogło nawet znaczyć, że jej przebacza, ale sądził wtedy, że chodzi tylko o romans — ach, co za słowo, co za słowo, gdy się myślało o własnej matce! — nie przypuszczał wtedy, że porucznik, który wciąż przykazywał swoim chłopcom, żeby trzymali gęby zamknięte na kłódkę, tak się przed nią otworzy, że wciągnie ją w konspirację. To wiele zmieniało, to zmieniało właściwie wszystko. Czuł się oszukany i zdradzony, pragnął zemsty, ale na kim? Na matce? Nie! Na poruczniku także nie. Na razie — najgłupiej w świecie — mścił się na Myszcze, choć nic nie była winna. Czekwała na niego i na pewno już się martwiła, czy mu się co nie stało. Zerwał się, żeby biec do niej, usiadł jednak z powrotem na ławce, nie chciało mu się z nią gadać, nie chciało mu się w ogóle gadać z nikim.

Przypomniało mu się, jak co najmniej dziesięć lat temu rodzice udając się dokądś z wizytą w pierwszy dzień świąt Wielkanocy zostawili go samego w domu, choć bardzo chciał iść z nimi. Anielka pojechała na wieś do swojej rodziny, miała wrócić dopiero następnego dnia rano przed śniadaniem, na które zaproszeni byli goście. Zostawiła wszystko przygotowane: indyk z nadzianką wspaniale przyrumieniony, wędliny, pieczone mięsa, ustawione na lodzie, miały być tylko pokrajane i ułożone na półmiskach. W poczuciu niepohamowanej, a słodkiej zemsty zabrał się do indyka. Nie, żeby był głodny. Przeciwnie, obfity świąteczny obiad nawet ciążył mu w żołądku, ale chciał wzbudzić w rodzicach najpierw przekonanie i żal, że zostawili go głodnego — dopiero później wściekłość.

Bo z pokiereszowanego indyka, z jego piersi, tak ozdobnie białym mięsem obejmujących ciemną od wątróbki i rodzynek nadziankę, nie dało się wykroić ani jednego plastra, który można by bez wstydu ułożyć na półmisku. Nawet uda były pocięte nożem do kości, poszarpane widelcem. Gdy rodzice wrócili z przyjęcia, a on spał z głową na kuchennym stole, obok zniweczonego dzieła kulinarnego Anielki stała, wyraźnie nadpita, butelka likieru Baczewskiego.

Matka się rozpląkała, jeszcze i teraz wspominając to doznał uciechy, że potrafił ją tak zmartwić, tak jej dopiec.

Do rozmowy z porucznikiem, z której nie zamierzał wcale zrezygnować, doprowadził zaraz po pierwszej zbiórce w magazynie Bednarskiego, za ścianą worków z mąką, w woni drożdży, kminku i czarnuszki, używanych przez piekarzy do posypywania chleba.

Chłopcy rozchodzili się stopniowo, jak to czynili z ostrożności po każdym spotkaniu, pojedynczo, lub najwyżej we dwóch, i właśnie porucznik miał zamiar wyjść z Romkiem Wierzeją, gdy go zatrzymał, z trudem pokonując skurcz w gardle.

— Zostań! Chcę z tobą pomówić!

Porucznik od razu wiedział, o co chodzi, przysiadł na skrzyni, która służyła im tu za ławkę, założył nogę na nogę, najwidoczniej nie spodziewając się, że rozmowa będzie krótka. Czekał.

— No, słucham — powiedział, gdy Witold długo nie zaczynał, stojąc przed nim. — Usiądź! — dodał.

Przysiadł na brzegu skrzyni, chrząknął i przełknął ślinę. Nie spodziewał się, że to będzie takie trudne, że każde zdanie, od którego chciał zacząć, wyda się pozbawione sensu. W rogu, za ostatnim workiem mąki, zaświeciły koraliki przestraszonych oczu małej myszki.

— Popatrz! — powiedział. — Mysz!

— Gdzie? — porucznik zwrócił głowę w kierunku jego spojrzenia.

— Tam, w kącie. O, już się schowała!

— Trzeba powiedzieć Bednarskiemu, że ma tu myszy.

— Koniecznie — przytaknął. — Ale kto mu powie?

— Ty, albo... najlepiej niech to zrobi... — porucznik zawahał się i oto była odpowiednia chwila, żeby całą sprawę załatwić jednym zdaniem:

— Zostaw ty mamę w spokoju! — powiedział mu z bliska, twarz w twarz, oko w oko! Nareszcie mu to powiedział. — Zostaw ją! Proszę cię! Nic dobrego z tego nie będzie.

— Dla kogo? — spytał Leszek spokojnie. Usta mu zadrżały, ale głos miał zwykle brzmienie, może tylko nieco cichsze niż zawsze.

— Dla kogo? Dla nas wszystkich! Kiedy zobaczyłem was razem w kawiarni na Boimów, myślałem, że trupem padnę. Ale usiłowałem sobie perswadować, że matka ma prawo... że przecież do końca życia nie będzie chodziła w żałobie. Teraz jednak, kiedy się przekonałem, że odważyłeś się ją wciągnąć w nasze sprawy... Muszę zaprotestować! Zaprotestować! Na każdej zbiórce powtarzałeś nam, że rodziny nie mogą nic wiedzieć o naszej

działalności. Że konspiracja to przede wszystkim umiejętność dochowywania tajemnicy. Gęba na kłódkę! Zawsze powtarzałeś. A nie potrafiłeś na kłódkę zamknąć swojej!

— Tylko nie pozwalaj sobie za wiele — porucznik powiedział to bez gniewu, może z przestrogą tylko, której udziela się komuś z rodziny, w każdym razie nie było to skarcenie młodszego ranga, podwładnego, zapominającego o różnicy stopni.

Wyczuł to i jeszcze bardziej go to rozwścieczyło.

— Nie potrafiłeś na kłódkę zamknąć swojej! — powtórzył podniesionym głosem. — Jesteś samolubny i lekkomyślny! I... i... — zająknął się — nie kochasz jej, skoro odważasz się narazić ją na niebezpieczeństwo.

— Kocham ją — powiedział porucznik i chciał, żeby to wystarczyło. Nie dodał nic więcej.

Ale Witold nie przyjął tego do wiadomości.

— Na pewno tak tylko ci się zdaje. Jesteś samotny i chcesz mieć kogoś...

— Ale nie wszystko jedno kogo. Dlaczego chcesz mnie obrazić? Nie zrobiłem ci nic złego. Kochamy jedną kobietę, ale dla ciebie jest ona matką i nie powinieneś być zazdrosny.

— Nie jestem zazdrosny! — krzyknął. — Boję się o nią!

— Wszyscy wzajemnie boimy się o siebie. I tak już jest na wojnie. Tak już jest podczas wojny, a jej koniec nie jest bliski — porucznik położył mu dłoń na ramieniu, przyciągnął do siebie i przez chwilę trzymał go w niezbyt pewnym uścisku, bo jednak musiał wyczuć, że nie dał mu do niego prawa. Wstał więc i przeszedł się po małym pomieszczeniu między workami mąki, kilka kroków w jedną i kilka kroków w drugą stronę. Staął. — Dobrze, że

mnie zatrzymałeś — powiedział. — Bo chciałbym omówić z tobą pewną sprawę.

— Pewną sprawę...? Tej nie zakończyliśmy.

— Zakończyliśmy! I proszę cię, nie wracaj do niej. — Słyszałeś o Instytucie Weigla?

Wzruszył ramionami.

— Kto we Lwowie nie słyszał o Instytucie Weigla? „Institut für Flecksfieber und Virus vorschung Oberkommando des Heeres". Karmienie wszy! Dreszczy dostaję z obrzydzenia, gdy o tym myślę.

— To niedobrze.

— Dlaczego... niedobrze?

— Bo musimy mieć tam swoje wtyczki.

Patrzył z przerażeniem w oczy porucznika, których jasność tak go przy poznaniu urzekła. Teraz miały szklistą barwę wody przed przemienieniem się w lód.

— Musimy mieć tam swoje wtyczki — powiedział jeszcze raz. — Pracują już tam nasi... co odważniejsi chłopcy — długo szukał tego określenia. — Dla bardzo dobrego ausweisu, bo chyba nie dla lepszej niż gdzie indziej pensji i kiełbasy, którą tam dają.

— Pracują głównie dlatego, że zostali tam skierowani.

— Więc są tam już nasi chłopcy — powtórzył z naciskiem. — Potrzebujemy takich, którzy potrafią wynieść przeciwtyfusową szczepionkę poza obręb instytutu. Nie wszystka musi trafiać na front wschodni, U nas w kraju też panuje tyfus. Na przykład w warszawskim getcie. Musimy ją tam dostarczyć.

— Jak? — Nie spytał, w jaki sposób wynieść ją z instytutu, tylko jak przerzucić ją do Warszawy za mur getta; poczuł dreszcze przebiegające po krzyżu, kiedy pojął, co to oznacza i jak to może być zrozumiane.

— O tym pomyślimy później. Najważniejsze, żebyśmy najpierw ją mieli. Otrzymałem rozkaz w Warszawie... chyba rozumiesz?

— Rozumiem — potwierdził, ale wcale nie był tego pewny, więcej: nie rozumiał, dlaczego nie rozumie. Czy już wszystkie rozkazy Leszka będą budziły w nim sprzeciw?

— Będę po kolei rozmawiał z wami wszystkimi — ciągnął dalej porucznik denerwująco spokojnie. — Sam nie wiem, dlaczego wolałbym, żebyście zgłaszali się na ochotnika. Nie dlatego, że jest to rozkaz narażający na wyjątkowe niebezpieczeństwo. Przeciwnie — wykonanie go może spowodować najwyżej tyfus poronny, jeśli dostanie się do karmienia zakażone wszy. I to wszystko. Ale wiem, że może się to wydać obrzydliwe z dwóch powodów. Karmienie wszy — to jeden, a drugi, że nie ma w tym żadnego ryzyka walki, żadnego bohaterstwa. Będziecie więc mieli i ryzyko, i bohaterstwo: szczepionkę trzeba wynieść z zakładu.

Porucznik umilkł; czekał, że on coś powie, ale czekał daremnie. Szukając jego spojrzenia dodał z niepotrzebnym, chyba tylko dla niego koniecznym naciskiem:

— Będę rozmawiał z każdym z was. Będę każdego pytał. Ty jesteś pierwszy.

— Jestem pierwszy?

— Tak.

— Czy to... ma jakieś znaczenie?

— Nie, żadnego.

— Dziękuję — powiedział z wyraźną drwiną. Zygmunta nie zapytał, pomyślał. Był pewien... nie, nie chciał być pewien, że Zygmunta nie zapy-

ta. Zygmunt uratował mu życie, czy nie nabył przez to szczególnego prawa, żeby nie karmić wszy? Te myśli były podłe, ale wszystko wydawało się teraz tak splątane, tak nieprawdopodobnie wieloznaczne, że pełną jasność i spokój właściwej decyzji miało się tylko w wyjątkowych sytuacjach. Nie wiadomo dlaczego przypomniał mu się artykuł w „Wieku Nowym”, w którym była jego opowieść, jego wyznanie, czy zeznanie, jak znalazł ojca, zwłoki ojca, w więzieniu na Łąckiego... Kiedy mówił o tym dziennikarzowi i kiedy on to zapisywał, kiedy notował słowo po słowie, żeby potem słowo po słowie wydrukować — miał uczucie spełnienia powinności, dokonania zemsty. Później, gdy przedruk z lwowskiej gadzinówki ukazał się w „Völkischer Beobachter”, te uczucia przemieniły się w coś dwuznacznego, coś jątrzącego, ale czy był to tylko strach, choć profesor Chołodyński, usłyszawszy od niego o tej sprawie, od razu powiedział: Niedobrze się stało! Bardzo niedobrze! — Niemcy parli naprzód przez stepy Ukrainy i nic nie wskazywało na to, żeby mieli kiedykolwiek zawracać, a profesor powtarzał: Niedobrze się stało! Bardzo niedobrze! To jednak nie był strach, zupełnie bezsensowny wobec niemieckich zwycięstw, tylko brak jasności (także wobec niemieckich zwycięstw), którym może w jakiś sposób pomagał zarówno wywlekając przed opinią światową sprawę sowieckich mordów na Polakach, jak i karmiąc własną krwią wszy, żeby bronić niemieckich żołnierzy przed tyfusem. Tylko że szczepionka miała przeniknąć też do wymierających w getcie Żydów, na pewno także i do Polaków. Ale jaka jej ilość? Z pewnością znikoma wobec potrzeb. Czy ci, którzy w Warszawie wydali ten rozkaz, przemyśleli, przekalkulowali to wszystko? Naprawdę, nie było żadnej jasności, żadnej jasności w wielu sprawach, ale porucznik powiedział kiedyś... czy to nie wtedy, kiedy prowadził go do swego domu po zbiórce u Romka Wierzei, nie przeczuwając, co z tego wyniknie — tak, to właśnie wtedy powiedział — dla żołnierza sprawa jest jasna: słuchać rozkazów.

Usiadł ciężko na ławce, oparł ręce na kolanach, skrył twarz w dłoniach.

Leszek po raz drugi podczas tej rozmowy dotknął jego ramienia.

— Muszę iść — powiedział. — Ty zostań tutaj. Uspokój się.

— Nie mam się po czym uspokajać — warknął nie podnosząc głowy.

Począł aż umilkły oddalające się kroki porucznika i jego krótka rozmowa z Bednarskim, który najwidoczniej wyszedł z kantoru, żeby go pożegnać.

To był też numer! pomyślał ze złośliwą uciechą, to wciągnięcie Bednarskiego w ich sprawy. Tego biednego Bednarskiego, myślał dotąd. Nieświadomego Bednarskiego, niepewnego Bednarskiego — pomyślał teraz. Mamuńcia — użył w myślach tego zwrotu, używanego jednak we Lwowie z czułością, a on go tej czułości pozbawił — mamuńcia na pewno to wymyśliła! To było jasne. Jedyna jasność w całej płataninie, w którą czuł się wepchnięty, omotany nią jak konopnym zagudzanym na tysiące węzłów sznurem. Mamuńcia to wymyśliła!

Cichutki szmer w kącie magazynu zwrócił jego spojrzenie w tym kierunku. Zza worka z mąką wysunęła się znów mała myszka, ta sama zapewne, którą widział przedtem. Ośmielona ciszą pobiegła wzdłuż worka, zebrała pyszczkiem z jego powierzchni ślad mąki lub otrębów i ruszyła dalej w poszukiwaniu pożywienia. Siedział bez ruchu, prawie wstrzymując oddech, żeby jej nie spłoszyć. Wydało mu się, że jest to najważniejszy dobry uczynek, jaki miał do spełnienia, bez rozważań o jego celowości, bez sprzeciwów, które brały się nie wiadomo skąd. Niechby się ta mała mysz najadła spokojnie i bez popłochu, który wywołuje podobno wrzody żołądka także u takich stworzeń. Do licha, miała przecież całą noc do spokojnego myszkowania w magazynie, dlaczego musiała jeść akurat teraz, kiedy tu siedział, kiedy powinien już stąd pójść, ruszyć się z miejsca nie zważając na nią. Siedział jednak wciąż jak przyklejony do ławki z uczuciem prawie radosnego poświęcania się dla tego małego, szkodliwego przecież gryzonia, któremu pewnie nikt dotąd nie okazał ani odrobiny życzliwości.

Mysz się rozochociła, biegała teraz wzdłuż worków, na każdym znajdując coś interesującego i smacznego. Nagle stanęła, uniosła się na tylnych

łapkach, zwróciła głowę w kierunku, skąd wyławiała jakiś dźwięk, i najwi-
doczniej upewniwszy się co do niego, smyrgnęła błyskawicznie do swojej
kryjówki. Prędzej niż on wychwyciła w trwającej ciszy odgłos kroków
zbliżających się do drzwi, on je dopiero teraz usłyszał, zerwał się, szukając
panicznie odpowiedzi na pytanie, co tu robi i skąd się tu wziął.

Ale był to Bednarski, tylko Bednarski, wpuszczał ich tu po kolei, gdy
się zbierali, teraz zapewne chciał zamknąć drzwi i pójść do siebie, nie
mieszkał w tym samym domu, gdzie miał sklep, kantor, piekarnię i maga-
zyn.

— Już idę! — zerwał się z ławki na jego widok. — Zostałem na chwi-
lę, żeby nie wychodzić we dwóch.

Bednarski zapraszającym gestem wskazał mu miejsce, które przed
chwilą zajmował.

— Niech pan posiedzi, jeśli ma pan ochotę. Nie przyszedłem, żeby pa-
na wypraszać.

Naprawdę nie wyglądał, jak mówiła Anielka, na piekarza. Choć może
miał w obejściu tę nadmierną uprzejmość, która cechowała niektórych rze-
mieślników, przyzwyczajonych do obcowania z klientami, starających się
ich pozyskać lub utrzymać.

— Niech pan posiedzi — powtórzył.

— Nie, dziękuję — Witold nie miał ochoty skorzystać z zaproszenia.
— Muszę iść.

— Pan jest synem pani Czownickiej? — zapytał nagle Bednarski.

— Tak.

— Podobny pan do niej. I mówiła, że pan też tu będzie, więc od razu
się domyśliłem, że to pan, kiedy pana wpuszczałem na zbiórkę.

— Tak, to ja.

— Miło mi — powiedział Bednarski.

— Mnie również — wyjąkał Witold, starając się nasycić te dwa słowa należną serdecznością. Uścisnęli sobie ręce, ale tematu na dalszą rozmowę nie było. Powinien był może zapytać, jak ona go na to namówiła, jak mamuńcia zmusiła go do tego, że zgodził się na ich zbiórki w swoim magazynie. Punkt był dobry, to prawda, tak jak do gabinetu doktora Wierzei, tak i do piekarni wchodziło wiele ludzi i nie mogło być w tym nic podejrzanego. Ale jak ona go do tego namówiła, jak zmusiła? Nie postawił jednak tego pytania nie tylko dlatego, że wprowadziłoby ono Bednarskiego w duże — jak sobie wyobrażał — zakłopotanie. Nie chciał już wiedzieć nic więcej o matce, dostatecznie go zaskoczyła.

Spostrzegł nagle, że Bednarski nie patrzy na niego, że skierował wzrok ku kątowi, w którym pojawiła się mysz. Rzeczywiście była tam znowu. Nie oddaliła się od swojej kryjówki, trzymała się blisko niej, ale spokojnie i wyczekująco, jakby się czegoś spodziewała, co Witoldowi, gdy odniósł takie wrażenie, wydało się zupełnie niemożliwe. A jednak! Bednarski, wciąż na nią patrząc, sięgnął do kieszeni, wyjął trochę okruchów.

— Chojci, chojci! — przemówił jak do dziecka.

Sypnął okruchami na podłogę, a mysz podbiegła i zaczęła je zjadać, spokojnie, bez pośpiechu. Podnosiła od czasu do czasu łepki i patrzyła na Bednarskiego, omijając wzrokiem i uwagą Witolda, jak gdyby w ogóle go w magazynie nie było. Jej oczka świeciły w mroku jak błyszczące paciorki.

— Oswoiłem ją — powiedział Bednarski trochę z tego dumny, a trochę — jak wydało się Witoldowi — tym zażenowany, że zajmuje się takim drobiazgiem, gdy tyle nieszczęść i tylu głodnych jest na świecie. — Przychodzę tu, żeby ją nakarmić, a ona już wie, że nie zrobię jej krzywdy.

— Pan... samotny? — spytał Witold.

Bednarski drgnął.

— Ano tak jakoś wypadło — powiedział. — Rodzice długo żyli, miałem rodzinę, a potem nagle się okazało, że już jej nie mam. Na siłę żenić się nie chciałem...

— Co to znaczy: na siłę?

— Żeby kogoś mieć. Tylko z tego powodu. To wydawało mi się za mało.

Mysz jadła wciąż bez pośpiechu, w spokojnej pewności, że nic jej nie zagraża.

— Tak, to za mało — powtórzył Witold bezwiednie.

— No widzi pan, pan też tak myśli. Ale jeszcze... nie tracę nadziei.

— Czy mysz spłoszy się, jeśli teraz pożegnam się i wyjdę?

— Nawet jak się spłoszy, to zjawi się znowu, kiedy wrócę, odprowadziwszy pana do wyjścia. Niech się pan nie krępuje. Jeśli musi pan iść...

— Muszę — skłamał.

Pożegnał się i wyszedł, nie ciesząc się pięknym wieczorem, który trwał jeszcze czerwcowo świetlisty, nasycony pełnią lata. Nigdzie się nie śpieszył i właściwie nie miał dokąd iść; do domu nie chciał wracać, a Myszka pracowała tego dnia u krawca. Pomyślał, czy by nie pojechać na Kolonię Profesorską, mógłby na przykład podlać ogród, od kilku dni trwała susza, a Wasylko — być może — nie zjawiał się, jak mu się to często zdarzało. Czy jednak profesor nie wzięłyby tego za podlizywanie się przed czekającym go za kilka dni egzaminem? Ale gdyby tak to nazwać, to „podlizywał się” prawie przez cały rok studiów, podejmując się różnych czynności, które — jak mu się wydawało — mogły ułatwić profesorowi życie. Profesorstwu. Profesorowej! Ocena usług zredukowała je do rzeczywiście świadczonych: to profesorowej głównie pomagał, raz nawet obrał jej kartofle, gdy zastał ją przy tej robocie. Wzbraniała mu tego, przerażona — jak się zdawało —

przede wszystkim tym, że mąż, gdyby akurat zszedł z góry, posądziłby ją o to, że odważyła się zatrudnić w ten sposób jego studenta.

A jednak zdecydował się i pojechał tam. Profesora może w ogóle nie było w domu, czasem gdzieś wychodził i z niepokoju w oczach żony, gdy o tym mówiła, można było sądzić, że i ona nie wie, dokąd się udawał.

Siedziała na ławce przed domem, odpoczywając zapewne po dźwiganiu konewek z wodą na grządki; gdy tylko otworzył furtkę, zauważył, że ziemia na nich jest wilgotna, nawet tam, gdzie rosły róże, które teraz kwitły obficie. Jadąc tutaj zamierzał podlać tylko warzywa, o różach wcale nie pomyślał i zawstydził się podwójnie — że się spóźnił i że przyłapał się na lenistwie.

— A ja właśnie przyjechałem, żeby podlewać — zawołał biegnąc ścieżką wściekły na siebie. Gdyby tak długo nie siedział u Bednarskiego...

— Za późno — uśmiechnęła się. — Wszystko już podlałam. Straszna susza! Wczoraj Wasylko zlał obficie cały ogród, myślał, że to wystarczy co najmniej na dwa dni, więc dziś nie przyszedł. Ale już w południe ziemia była sucha jak pieprz i musiałam sama się do tego zabrać.

— Jak żałuję, że nie zjawiałem się wcześniej — wyjąkał.

— Nie witam się z panem, bo ręce mam brudne. Proszę, niech pan siada. Czy może chciał się pan widzieć z mężem? Pracuje u siebie na górze. Mógłby pan pójść do niego, zdałoby mu się trochę odpoczynku.

— Nie, nie, nie będę przeszkadzał. I powiedziałem przecież, że chciałem podlewać.

— Za późno — powtórzyła z tym samym uśmiechem, w którym była duma z samodzielnie wykonanej pracy, ale i trochę z żalu do siebie, że gdyby się tak nie pośpieszyła, nie zaharowałyby się do siódmych potów. Bo widać było, że się bardzo zmęczyła, choć starała się to ukryć. Ręce złożone na podołku miały wyraźną siatkę żył, czoło i miejsce nad górną wargą, pokryte złotawym puszkciem, lśniły od potu. — Psiakość! — powiedziała na-

gle, nie przestając się uśmiechać. — Po prostu nie jestem przyzwyczajona. Ale trochę treningu dobrze mi zrobi. Tak mówi mój mąż.

— Pan profesor tak mówi? — zdumiał się Witold.

— No, oczywiście żartem — sprostowała natychmiast. Miała na sobie kretonową podniszczoną sukienkę bez rękawów, dość krótką, nie zakrywającą kolan. Dopiero teraz zawstydziała się, że zastał ją w tym stroju, że może widzi mokre od potu miejsca pod pachami i zauważył zamoczony w czasie podlewania dół sukienki przylepiony do jej ud. Poderwała się z ławki.

— Pójdę się przebrać.

— Och, nie — zaprotestował zbyt gorąco. Po co?

— Jak ja wyglądam?

— Pięknie pani wygląda! Przepraszam — zmieszał się — może za śmiały jestem...

— No, trochę... — roześmiała się nienaturalnie, jeszcze bardziej speszona od niego. Usiadła znów na ławce, nie w pełni jednak przekonana, czy student męża powinien ją widzieć w takim zaniedbaniu. Co prawda wciąż ją tak widywał. Tylko raz zaprezentowała mu się jako tako, gdy szli po okulary. A poza tym zawsze zastawał ją pr^{zy} jakiejś robocie. Może powinna bardziej dbać o siebie...?

czym ja myślę? zdziwiła się. — Upał teraz taki — szepnęła — że nie wiadomo, co na siebie włożyć.

Zza węgła domu wyskoczył Mufek, sierść miał zjeżoną
wojowniczo postawiony do góry ogon.

— Co się stało? — zawołała. — Chodź do pańci! — Gdy kot natychmiast wskoczył jej na kolana i uspokajając się powoli zaczął się łąsić, dodała z pieszczotliwą perswazją: — Nie powinno się bać Fritza! Fritz nic ci nie zrobi!

— Co to za Fritz? — spytał Witold z nieprzyjemnym uczuciem przykrej niespodzianki. Ukraiński policjant podlewający ogród, a teraz jakiś Niemiec... W dodatku kot, posiadający zwierzęcą intuicję, uciekał przed nim.

Roześmiała się z jego miny.

— Zaraz go pan zobaczy.

— A... muszę? — zaproponował.

— Chcę, żeby go pan zobaczył. — Wstała, przerzuciła sobie kota przez ramię i skierowała się za dom, gdzie była drewnitnia. Przy otwartych jej drzwiach stała klatka, również otwarta, a przed nią siedział szary królik, też wojowniczo — jak Mufek przed chwilą — nastrojony; uniesiony na dwóch łapach rozglądał się bystro czerwonymi ślepiami. Kot z wysokości ramienia swojej pani patrzył na niego pobłaźliwie, ale gdy go postawiła na ziemi naprzeciw królika, a ten od razu wykonał przednimi łapami kilka isticie bok-serskich ruchów, zjeżył się znów, prychnął i zasyczał jak żmija. - Nie bój się Fritza! — powtórzyła, ale jednak podniosła kota w górę i znów ułożyła go sobie na ramieniu. — To jest właśnie Fritz — powiedziała do Witolda. — Wasylko mi go przyniósł. Dostał go od niemieckiego wartownika przy jakimś magazynie wojskowym. Króliki się tam wokoło rozmnożyły, łapią je i jedzą, Wasylko też mi go w tym celu przyniósł, a kiedy mu powiedziałam, że nigdy w życiu nie zjadłabym królika, w dodatku takiego, którego dla mnie trzeba by zabić — zrobił mu klatkę, bo zgodziłam się, żeby tu został. Gdyby zaniósł go matce, na pewno zaraz by z niego zrobiła potrawkę. A tak sobie tutaj żyje. Wypuszczam go z klatki wieczorem, żeby sobie trochę poskakał.

— Nie ucieknie?

— Ogrodzenie szczelne, furтка zawsze zamknięta. A zresztą może nawet bym chciała, żeby uciekł. Bo co ja z nim zrobię? Najgorsze, że Mufek go nie zaakceptował.

— Może jest zazdrosny?

— Chyba tak. Nagle zjawił się w jego królestwie drugi zwierzak. Czuje się zagrożony. Choć bardziej go pieścić niż dotąd.

Wrócili do ławki, ale Witold nie usiadł.

— Pewnie powinienem się pożegnać. Ogród podlany, nie będę dłużej przeszkadzać.

Stanowczym gestem wskazała mu miejsce na ławce: — Wcale pan nie przeszkadza. Cieszę się, że pan przyszedł. Tak tu siedzę całymi wieczorami sama...

— Ja także się cieszę — powiedział, jak mu się wydawało, całkiem głupio, w dodatku bardzo cicho i jakimś dziwnym, nieswoim głosem.

— A pan z czego? — zapytała ze sztuczną wesołością.

— Że przyszedłem — odpowiedział jej tym samym tonem.

Roześmiali się obydwój, a kot przyjrzał im się, wyraźnie tym zdziwiony, może zaniepokojony nawet. Pachniała maciejka i lipa kwitnąca za płotem u sąsiadów, wilgotna ziemia wydawała po upalnym dniu swój zwykły letni aromat. Jaskółki szybowały pod wysokim niebem, w trawie pod płotem odezwał się świerszcz. Mały skrawek ziemi i czasu wyrwany wojnie, pomyślał Witold przymykając oczy. Kobieta, przy której siedział, myślała zapewne o tym samym, bo zamilkła, uciszyła się i znieruchomiła. Udzielił mu się jej spokój, a może to ona czerpała swoje ucieszenie z tego, że tu był i że też milczał w chwili, która tego wymagała. Chciał w to wierzyć, chciał być tym obdarowany.

Na górze otworzyło się okno i głos profesora zawołał:

— Lidko! Gdzie jesteś?

— Jestem tutaj. Na ławce.

— Zdawało mi się, że z kimś rozmawiasz. A może z kotem i Fritzem?

— Nie tylko. Przyszedł pan Witek Czownicki. Nie chciał ci przeszkadzać...

— Ależ proszę.

— Nie, nie — Witold podniósł się z ławki — nie będę zajmował panu profesorowi czasu. Właściwie to przyszedłem, żeby podlać ogród, ale się spóźniłem. I już się pożegnam...

— No, skoro musi pan iść — powiedział profesor chyba z ulgą.

On także nie miał ochoty na rozmowę; profesor zapewne nie chciał rozpraszać nią swoich myśli, pozwolił sobie tylko na chwilę wyjrzeć przez okno, ale profesor pracował, pisał książkę — a o co jemu chodziło, co chronił, co chciał obronić przed rozproszeniem, zwietrzeniem, rozmazaniem?

Uklonił się niemłodemu człowiekowi w oknie, którego tak bardzo, w tym momencie aż boleśnie (dlaczego boleśnie?) szanował, kobiecie, która pozwoliła mu siedzieć przy sobie i powiedziała: cieszę się, że pan przyszedł, uklonił się chyba także owej chwili wieczornej, którą spędził w tym ogrodzie — i pobiegł ścieżką ku furtce, nie oglądając się za siebie. Tramwaj wkrótce nadjechał, wsiadł, i choć z trzeciego przystanku miał blisko do Myszki i mógłby się z nią jeszcze zobaczyć przed godziną policyjną, zaniechał tego zamiaru.

Nie wiedział dlaczego, ale tak, jak na rozmowę z profesorem, nie miał na to prawdziwej ochoty.

IX

Wbiegł na schody i mocno nacisnął guzik dzwonka. Wyobrażał sobie rozradowany wyraz twarzy Siebla, gdy wsunie mu do ręki plik dolarów. Przed trzema dniami jubiler dał mu do sprzedania „dużą sztukę”, ciężką,

złotą bransoletę z zameczkiem wysadzonym szafirami. Obawiał się, że nie uda mu się tak szybko jej sprzedać, rzecz była bardzo cenna. A oto już dziś przynosił mu za nią dolary, akurat tyle, ile żądał, ani centa mniej.

Nacisnął drugi raz dzwonek, przytrzymał go palcem dłużej, cisza za drzwiami zaczynała go niecierpliwić, dobre wiadomości powinny bez zwłoki docierać do czekających na nie, Siebel na pewno czekał, wciąż mu mówił, już lada dzień... Konstanca albo Gałacz. Wielki Boże Izraela!

Przecież te miasta naprawdę istniały, i wolny świat za nimi, życie za nimi, życie!

Nacisnął dzwonek po raz trzeci, a gdy za drzwiami nie rozległy się zbliżające się do nich kroki, zastukał najpierw zgiętym palcem, potem pięścią, wreszcie uderzył w nie kolanem coraz bardziej zniecierpliwiony. Ani centa mniej, tyle ile żądał, i nie biegnie do drzwi, nie otwiera ich na oścież, nie wita go z radością...

Gdy jeszcze raz zadzwonił, zastukał, uderzył w deskę kolanem — niecierpliwość zaczęła ustępować miejsca niepokoju. Czy mogli wszyscy wyjść z domu? Sieblowa w ogóle nie wychodziła, a może bała się otwierać, gdy męża nie było, gdy nie było Chajki ani Izaaka? A gdzieżby oni poszli? Od kiedy Chajka nie pracowała w bibliotece, siedzieli jak myszy pod miotłą, zatrudnienie Chajki niejako wszystkich ich chroniło, dodawało śmiałości, a gdy nie było już w domu tego papieru, który Chajka dostała od Kurta Lobetza, wysłanego na front wschodni — wszystko się zmieniło.

Do godziny policyjnej było jeszcze trochę czasu, choć wrześniey zmierzch coraz bardziej skracał możliwość poruszania się po mieście. Postanowił usiąść na schodach i czekać. Miał nadzieję, że gdy przestanie dzwonić i walić w drzwi, może ktoś poruszy się w mieszkaniu, a wtedy krzyknie, że to on za nimi czeka, Witek Czownicki, i nie trzeba się bać, przychodzi z dobrą nowiną, z dobrze załatwioną sprawą, oj! z jak dobrze załatwioną sprawą, już raz, kiedy coś tak dobrze sprzedał, Siebel powiedział mu, że

cwajkiepele z niego! Uśmiechnął się, przyłapawszy się na tym, że myśli mową Siebla, że używa jego wyrazów. Ponad rok obcował z nim dostatecznie często, żeby przejąć od niego nie tylko słownictwo, ale i tę melodyjkę, którą miała składnia każdego zdania. Panie Czownicki, mówił mu nieraz, ja panu wierzę, ja pana szanuję, bo ja wierzyłem i szanowałem pana tatuńcia, co on mnie nigdy na złotówkę, co ja mówię, na jeden grosz nie oszukał. A jakie on mi prowadził sprawy, jakie ja robiłem interesy! Takich interesów to ja już nigdzie nie będę robił, jak w tym mieście. I takiego adwokata nigdzie nie będę miał, może i w Palestynie nie, choć sobie wyobrażam, że tam mnie czeka wszystko, co najlepsze. I dlatego ja i pana, i młodego Czownickiego szanuję, bo tak jak się łajdactwo po mamuńci i tatuńciu dziedziczy, tak i porządność ma w sobie coś takiego, że się ma ją po rodzicach, że się wynosi ją z domu, jak posag w dużych, największych pieniądzach. Stary Siebel to panu mówi, stary Siebel panu powtarza to, co usłyszał od swego tatuńcia, a on od swego, od tego Natana Siebla, który za młodości naszego Franza Josefa teri sklep na Zamarstynowskiej założył...

Od kamiennych schodów ciągnął przenikliwy chłód. Wstał i wykonał kilka szybkich ruchów, żeby się rozgrzać. Za drzwiami mieszkania jubilera trwała wciąż nieprzenikniona, niezrozumiała, niewytłumaczalna cisza. Cisza trwała też w całej kamienicy, ale uzmysłowił sobie, że tak cicho było tu od dawna, sąsiadów nie bronił papier z hitlerowską pieczętką, jaki Chajka Sieblówna dostała od swego niemieckiego szefa. Tylko że i ona już go nie miała.

Podszedł do drzwi i jeszcze raz zadzwonił, zapukał, z całej siły uderzył w nie kolanem. I nagle pokusił się, żeby nacisnąć klamkę.

Ustąpiła.

Pchnął drzwi i z walącym sercem wszedł do środka. Przypomniawszy sobie, ile Siebel przekręcał zamków, odsuwał zasuw, ile odpinał łańcuchów, kiedy wpuszczał go do środka. Co oznaczały otwarte drzwi? Co miał za nimi zastać?

Z rosnącym niepokojem posuwał się w głąb mieszkania. Właściwie nigdy w nim nie był, wszystkie interesy załatwiał z nim Siebel w przedpokoju, tutaj odbywał z nim wszystkie rozmowy, tłumacząc się, że pokoje pełne rodziny żony, że ktoś tam leży, śpi czy choruje. Teraz zobaczył te wnętrza puste, w chaosie pośpiechu, w jakim je najwidoczniej opuszczano. Na podłodze walały się papiery, książki i części garderoby, części garderoby zwisały z niedomkniętych szaf i szuflad. Na stole w jadalni stały talerze z zaschniętym jedzeniem, po którym łaziły ospałe, wrześniowe muchy.

Ten widok wstrząsnął nim najbardziej, ten widok wyjaśniał wszystko.

Ale nagle na pustym miejscu pośrodku stołu, opróżnionym jakby specjalnie z naczyń, dostrzegł białą kartkę opartą o srebrny stojaczek do sztuców. Podeszedł bliżej, przyjrzał się jej, nie biorąc jej jeszcze w palce. Dopiero gdy zobaczył, że jest coś na niej napisane, chwycił ją i podniósł do oczu. Przeczytał:

„Niech każdy bierze sobie, co chce. To nie kradzież, to darowizna z dobrego, uradowanego serca jubilera Siebla i jego tak samo szczęśliwej rodziny”.

Przymknął oczy i stał tak długo w dzwoniącej mu w uszach ciszy tego opuszczonego mieszkania, w ciszy całego domu. A potem jeszcze raz przeczytał dwa zdania wypisane na kartce przez Siebla. Wielki Boże Izraela! Konstancja albo Gałacz! Może tam już byli! Może płynęli już statkiem ku swojej ziemi!

Odłożył kartkę na dawne miejsce przy podpórce na sztuce i nie patrząc na nic, co leżało na podłodze, na krzesłach i fotelach, wywalało się z szaf, stało na półkach serwantek i kredensu, wisiało na ścianach — wyszedł z mieszkania, cicho zamykając drzwi za sobą.

Dopiero na schodach wsunął do kieszeni trzymany dotąd w ręce, gotowy do wręczenia go Sieblowi, plik dolarów. To była duża suma, nigdy jeszcze nie dysponował tak dużą sumą; trzy lata wojny sprawiły, że Anielka nie miała już co wynosić na bazar, profesor Chołodyński sprzedał ostatnie-

go Kossaka (Bednarskiemu), a pięknego dywanu z gabinetu nie chciał nikt kupić, bo miał nadpalony róg... Poczucie winy sprawiało, że Lidka Chołodyńska zalewała się łzami, gdy dom opuszczał kolejny, niedoszły kupiec. Zastał ją tak któregoś dnia, próbował pocieszać, ale bezskutecznie. Dywan był bardzo wartościowy, można by żyć z kwoty otrzymanej za niego co najmniej przez cztery miesiące, a ona go zniszczyła, swoją niezgrabnością i nieudolnością pozbawiła zupełnie wartości...

Zastanowił się, w jaki sposób mógłby podratować Chołodyńskich częścią dolarów Siebla, już nie — Siebla, skoro szczęśliwy, z całą rodziną, był już w Konstancy lub Gałaczu, a może nawet płynął ku swojej ziemi... Profesor ich nie przyjmie, wprawdzie nie był już jego studentem, zdał egzamin pod koniec czerwca, ale zachęcony przez profesora do „bywania”, w każdej wolnej chwili przesiadywał na Kolonii Profesorskiej, co jednak nie oznaczało chyba aż takiego spoufalenia, żeby ośmielił się proponować pomoc finansową, lub tylko pożyczkę. Może prędzej Lidka (coraz częściej używał w myślach jej imienia) byłaby skłonna... Zatrwożyła go ta śmiałość, to posądzenie. Miałby tak przyjść i po prostu powiedzieć... Trzeba by obmyśleć jakiś sposób, taktykę, strategię nieomal przedstawienia propozycji, na pewno w jej oczach uwłaczającej...

Musiał się z kimś naradzić. Z matką? Nie, z matką nie. Do takiej rady potrzebna była serdeczność, a bał się, że już jej między nimi nie ma, poza tym matka — z niewiadomego powodu — nie pochwałała jego, jak się wyrażała całkiem nieelegancko, latania do Chołodyńskich. Leszek zapewne był tego samego zdania, zresztą utrzymujący się wciąż między nimi dystans nie sprzyjał przedstawieniu mu tej sprawy. Więc kto? Myszka albo Zygmunt? Obydwoje wiedzieli o kontaktach z Sieblem, nie musiałyby im tłumaczyć, skąd ma te pieniądze, tylko że... zwłaszcza Myszcze jakoś niesporo byłoby mu opowiadać o łzach profesorowej... Może Bednarski? Coraz częściej do niego zachodził, kręcił z nim różne interesy, nawet się nie spodziewał, że jednak wciągnie się w ten okupacyjny sposób bycia. Życia! Bo inaczej żyć się nie dawało. Anielka coraz bardziej była z niego dumna. Mój

Boże, Anielka! Przecież to do niej powinien zwrócić się o radę w tej tak bardzo leżącej mu na sercu sprawie.

Anielkę zastał jak zwykle w kuchni. Kisła barszcz czerwony, krajała buraki do glinianego garnka, zalewając je następnie wodą i wrzucając do niego na koniec kawałek skórki od chleba.

— Prędeż się ukisi — wyjaśniła.

Usiadł na swoim miejscu przy stole, zabębnił palcami w jego biał, raz i drugi, aż Anielka zwróciła ku niemu głowę.

— Co ci jest?

— Nic mi nie jest. Co ma być?

— Przecież widzę. Anielki nie oszukasz! Jakiś wczorajszy jesteś.

— Nie wczorajszy, nie wczorajszy. Całkiem dzisiejszy. A może jutrzejszy nawet!

— Co za brechnie mi tu opowiadasz?

— Brechnie? — roześmiał się. Wsunął rękę do kieszeni, wyjął dolary i spokojnie położył je na stole.

Anielka cofnęła się, jak odrzucona do tyłu, ale wciąż przyglądając się pieniądzom w zdumieniu pochylała coraz bardziej nad nimi głowę.

— A niech to dunder świśnie! — szepnęła wreszcie z podziwem. — Co to znaczy? — zapytała jednak zaraz. — Co to znaczy? Skąd masz tyle pieniędzy?

Przestał się śmiać.

— A co ty sobie wyobrażasz?

— Chyba ich gdzieś nie zasmytrałeś? — Anielka zbyt szybko przeszła od podziwu do posądzenia, najgorszego w tym domu. Bo już chyba nawet morderstwo było lepsze od...

— Anielko! — krzyknął. Zerwał się ze stołka, przyskoczył do niej, szarpnął za ramiona.

Rozplakała się. Ukryła twarz na jego piersi, a że była mała, pierwsze łązy zwilżyły guziki przy kołnierzu jego kurtki.

— Witusiu! Nie gniewaj się! Przebacz! Czasy teraz takie, że wszystko może człowiekowi przyjść do głowy, jak widzi tyle pieniędzy. Ja się o ciebie wciąż tak boję! Tak się boję!

— Niepotrzebnie. — Odsunął ją od siebie wcale nie udobruchany, schował dolary do kieszeni, usiadł. — Sprzedałem Sieblowi bransoletkę. Bardzo ciężką. Z kamieniami. Dostałem za nią tyle, ile chciał. Ani centa mniej.

Twarz Anielki przybierała coraz to inny wyraz.

— Dlaczego mu ich od razu nie odniosłeś?

— Odniosłem. Ale już go nie ma.

— Jak to nie ma? Kogo nie ma?

— Siebla. Wracam od niego.

— Przecież mówisz, że go nie ma?

— Wracam z jego mieszkania. Puste.

— Joj! — załamała ręce Anielka. — Zabrali ich?

— Nie! Sami dali drapaką.

Opowiedział Anielce o przygotowaniach Siebla do ucieczki i o kartce, którą opuszczając swój dom zostawił na stole.

— Może są już w Palestynie — zakończył swoją relację.

— Gdzie?

— W Palestynie. Wszyscy Żydzi tam dążą.

— Wcześniej mógł o tym pomyśleć.

— Kiedy? Za Polski i za sowietów żyło im się tu jak w raju. Sam to powiedział. A że przyjdą tu Niemcy, nikt się nie spodziewał. Nawet Stalin.

— On najmniej — pokiwała głową Anielka. — Przez myśl mu nie przechodziło, że będą musieli stąd brykać.

— Tak czy inaczej — Witold chciał zmienić temat rozmowy — mam kupę forsy, która mi z nieba spadła. A jak z nieba spadła, to trzeba na coś dobrego ją obrócić.

— O czym ty znowu bajtlujesz? — Anielka przyjrzała mu się podejrzliwie.

— Zaraz zrozumiesz. Czy nie wydaje ci się, że są ludzie, którzy żyją o wiele gorzej od nas?

— Ta pewnie, że są, choć i u nas trzeba się fest naturbować, żeby było co na talerzu położyć. Dziś na kolację mamałyga z kwaśnym mlekiem, a wiem, że nie lubisz.

— Kto powiedział, że nie lubię?

— No no, już ja wiem najlepiej.

— Wszystko teraz lubię. Bo wciąż myślę o ludziach, którzy może nie mają teraz nawet mamałygi na kolację, czy na obiad. I teraz... teraz, kiedy mam te pieniądze... mógłbym im pomóc...

Anielka nie przestawała przyglądać mu się spod oka.

— Na przykład komu? — spytała w końcu.

— Memu profesorowi.

— Któremu? Chodzisz przecież do kilku.

— Ale myślę ... myślę o... Chołodyńskim.

— A dlaczego o Chołodyńskim?

— Bo chyba najgorzej sobie radzi. Nie każdy potrafi...

— Wiem — ucięła Anielka. — Nie każdy... — zamyśliła się. — No to hulaj jutro na Profesorską i daj mu trochę pieniędzy.

— Nie weźmie.

— Nie weźmie? — nie wiadomo dlaczego ze zgrozą powtórzyła Anielka.

— Nie weźmie. I nawet bałbym się proponować... Ale myślę, że...

— Że co...?

— ... że może gdybym...

— Wydukaj wreszcie!

— ... gdybym poprosił profesorową... gdybym jakoś tak jej tę sprawę przedstawił, żeby się nie obrażała...

— Obraziła? Musiałaby rozumu nie mieć. Czy to takie wielkie mecyje? Nie wiem, czy w całym Lwowie jednego człowieka można by zdybać, który by nie przyjął trochę pieniędzy.

— Trochu? — powtórzył Witold za Anielką. — Przecież ci powiedziałem, że mi kupa forsy z nieba spadła.

— Siebel dawał ci taki duży procent od sprzedaży?

— Jaki procent? — zdenerwował się wreszcie Witold. — Siebla nie ma! Uciekł! Mam całą forszę! Cała forsa jest moja! Moja — rozumiesz? Rozu...

Witold zawiesił głos ugodzony zmienionym nagle spojrzeniem Anielki.

— A... jak on wróci? — zapytała.

— Kto? — wyjąkał zdumiony.

— Kto! Siebel! O kim mówimy?

— Przecież uciekł! Wyjechał!

— Ale wojna kiedyś się skończy.

— No i co z tego?

— A jak wojna się skończy i Lwów znowu będzie nasz, to z najdalszych krańców świata ludzie będą tu wracać. I co ty myślisz, że Siebel długo wytrzyma w tej jakiejś Palestynie, w tej żydowskiej hołociarni? Ta z kim on by handlował, jak tam sami Żydzi?

— Między sobą też mogą handlować — prawie nieśmiało zauważył Witold, coraz bardziej spuszczać z tonu.

— Ta skarż mnie Bóg! — zawołała Anielka już całkiem pewna swego. — On bez Lwowa nie wytrzyma! A jak wróci, to mu pieniądze będą potrzebne. I zjawi się tu któregoś dnia i jakbyś mu ich nie oddał, to co by pomyślał? Że chociaż jesteś Czownicki, to takoj z ciebie ciemna sztuka.

Witold zerwał się ze stołka.

— W ogóle niepotrzebnie ci o tym mówiłem — zawołał.

— Niepotrzebnie? — boleśnie zdziwiła się Anielka. — Przecież dobrze ci radzę.

— G inną radę mi chodziło. A ty mi tu takie rzeczy opowiadasz...

— Mówię, jak jest. Uczciwie.

— Do końca wojny daleko. Do tego, żeby Siebel wrócił, jeszcze dalej. A ludzie głodują. Teraz! Co tam sobie głowę zawracać przyszłością?

— Po mojemu — Anielka odęła wargi, nieprzejednana i urażona — z tej całej forsy możesz wziąć tylko swój procent.

— O, do cholery! Do jasnej cholery! — klął Witold złapawszy się za głowę. — Po co ja ci o tym powiedziałem?

— Witek! — Anielka chwyciła go za klapy kurtki, przyciągnęła do siebie. Patrzyła mu z bliska w oczy, z dołu, bo była mała, ale w jej spojrzeniu było coś takiego, jakby przyglądała mu się z góry niczym sędzia, albo sam Pan Bóg! — Witek, ty mi się zaczynasz nie podobać. Ty nie myśl, że jak ty na te swoje wykłady chodzisz, to już wszystkie rozумы pojadłeś. Dziesięć uniwersytetów możesz skończyć, a jeszcze ci się przyda, żeby ci ktoś taki, jak ja, zwyczajną babską mądrość podsunął. Ja cię nigdy za jakiegoś durnowatego pitolka nie miałam, szac chłopaka byłeś, jak należy, ale teraz musisz pamiętać, że kiedy pana mecenasu nie stało, ty jeden jesteś Czownicki i jeszcze bardziej musisz się starać, żeby ci nikt w oczy na- pluć nie miał prawa.

— Do cholery! Do jasnej cholery! — powtarzał Witold. — Ale sobie napytałem!

Wyrwał się z rąk Anielki i skoczył ku drzwiom, ale zagroziła mu drogę i znowu chwyciła za klapy kurtki.

— A ty kuda? Zostań! Czy ty myślisz, że ja mogę wciąż pokutować sama w tej pustej harharze? To już nie jest dom, dawne nasze pomieszkowanie, kiedy ludzi w nim nie ma. Mama rano wychodzi, czasem nawet na obiad nie przyjdzie, tylko wraca dopiero przed godziną policyjną. Gdzie się podziewa cały dzień, co robi?

— Nie wiem, gdzie się podziewa i co robi. — Chciał zastąpić to ostatnie słowo innym, wulgarnym i ostrym, ale powstrzymał się i zdał sobie sprawę, że to ze względu na Anielkę, a nie matkę.

— Ja chyba wrócę do Złoczowa... Nie jestem wam już potrzebna. Anielka przedtem krzyczała, ale teraz ściszyła głos do bolesnego szeptu i patrzyła spod oka, jakie to robi wrażenie na Witoldzie. On jednak znał się na tych jej sztuczkach i parsknął prawie wesoło:

— Ukraińcy by cię tam zarżnęli.

— W Złoczowie spokój. Nie słyszać, żeby mordowali.

— Nie słyhać? — Wciąż mu się zdawało, że żartuje z Anielki i że nawet ten temat się do tego nadaje. — Nie słyhać, dobre sobie! Właśnie przedwczoraj pojechało tam trzech z naszej grupy, żeby przeskolić polskich chłopaków w samoobronie... — Urwał, zdając sobie sprawę, że powiedział za dużo, ale Anielka uśmiechała się z pobłażaniem; nie pierwszy raz dawała mu do zrozumienia, że od dawna orientuje się w tajemnicach, których tak nieudolnie strzegł i od dawna nie o nią, nie jej słabości się bał. Był pewien, że Anielka wszystko zniesie, nawet wbijanie drzazg pod paznokcie, i nie piśnie ani słowa. O kogo innego się bał, kogo innego się bał. Wciąż ten strach miał podwójne znaczenie — i nie mógł przebaczyć Leszkowi, że tak lekkomyślnie i bezlitośnie wciągał nowych członków do konspiracji.

— Mój biedo! Mój ty biedo! — powiedziała nagle Anielka.

— Co? Dlaczego? — obruszył się Witold. Nie znoś czyjejś litości, choćby nawet sam litował się nad sobą.

— Już ja wiem dlaczego. — Puściła klapy jego kurtki i objęła go mocno, a on nie wyrywał się już i nie szamotał, słyszał jak głośno bije serce — nie wiedział: jego czy Anielki. — Uważaj na siebie! Proszę cię! Bardzo cię proszę! A... te pieniądze najlepiej postaw w domu, jeśli się gdzieś wybierasz.

— Dobrze — zgodził się niespodziewanie. — Schowaj je w kuchni. Później zdecyduję... później zdecydujemy, co z nimi zrobić.

Anielka uwolniła go z uścisku, wzięła od niego dolary i długo przyglądała się rzędom puszek na półce, zastanawiając się, w której je ukryć. Sięgnęła wreszcie po puszkę z napisem „Sól”, łyżką rozgarnęła ją na boki, wsunęła w ten otwór zwitek banknotów, przykrywając go starannie sypliwą bielą.

— W soli nigdy nie szukają — powiedziała.

— Dlaczego?

— Bo soli często się używa, wsadza się w nią paluchy, czasem nawet tłuste i oni wiedzą, że nikt by nie narażał pieniędzy na zniszczenie.

Nie zapytał, kogo miała na myśli mówiąc „oni” — mogli to być Niemcy, Ukraińcy lub zwykli złodzieje, podczas każdej nocy niosło się wzdłuż ulic echo walenia w drzwi czyichś mieszkań. Gdy postawiła znów puszkę na półce, skierował się do drzwi.

— A taki musisz iść?

— Muszę.

— Umówiłeś się z jakąś dziunią?

— Tak.

— Wciążle z tą samą?

— Wciążle — powtórzył za Anielką, która — sądząc z intonacji tego pytania — skłonna była prawie zaakceptować stały związek.

I chyba tak było, bo zapytała po chwili:

— A dlaczego ty jej do domu nie przyprowadzisz?

— Do domu? — zdumiał się.

— Przyprowadź — ta już! Będziecie się po mieście szlajać w tak niebezpieczny czas?

— Wiem, że mama...

— Mamy i tak prawie nigdy w domu nie ma. A jeszcze, żeby coś mówić, musiałyby się najsampierw... — Anielka zawahała się, ale jednak zdecydowała się na dokończenie zdania — najsampierw musiałyby się sama odfastrygować od swego porucznika.

— Nie powinnaś tego powiedzieć — rzekł Witold cicho.

Anielka spuściła głowę, poczerwieniała.

— A nie powinnam. Ale jak coś jest w myślach, to się czasem i na głos wypowie.

— Nie powinnaś — powtórzył.

— Ta skończ już z tym! — krzyknęła, coraz bardziej ze siebie niezadowolona. — I idź, kiedy musisz.

— Muszę — powtórzył, potwierdzając swój zamiar sprzed chwili.

Choć tak naprawdę to wcale mu się nie chciało iść na spotkanie z Myszką. Ale był umówiony z nią, jak zwykle w parku Głowackiego i nie powinien skazywać jej na czekanie w chłodny już wrześnieowy wieczór. Przyśpieszył kroku, gdy zobaczył tramwaj na zakręcie, wskoczył do niego, zanim się zatrzymał, i tym sposobem mógł w ogóle dostać się do środka; o tej porze na przystanku czekał tłum, ludzie pracujący w śródmieściu wracali do swoich domów na peryferiach miasta. W przepelnionym wozie panował mdły zaduch, odór niedomytych ciał, niedopranej bielizny, niewywietrzonych odzieży, wyciągniętej już z szaf ze względu na chłód poranków i wieczorów, gdy udawano się i wracano z pracy. Zaczynała się wcześniejsza niż w poprzednich latach jesień, zapowiadająca zapewne wcześniejszą także zimę, tak uciążliwą i groźną w okupowanym kraju. Ale i zwycięzcy, coraz rzadziej już zwyciężający, zaczęli się jej bać. Stalingrad! To było miasto, pod którym zatrzymali się wreszcie w swoim pochodzie. I choć zdarzały się jeszcze pomyślne ataki, małe ataki na małe miasta, triumfalnie wymieniane w sonder-berichtach, nic nie zmieniało faktu, że pod Stalingradem stali. I załamywał się jakby i drżał głos czytającego komunikaty, gdy wymieniał nazwę tego miasta. A może zdawało się tak tylko gromadzącym się pod szczekaczkami na rogach ulic i placach. Choć inne zapewne uczucia budziło to złudzenie w Polakach, Ukraińcach i Niemcach...

Pod drzewami wzdłuż ulic leżały już pożółkłe liście, wyłociły też już zapewne aleje w parkach, Witold wyobraził sobie, że wokół stóp Myszkę, siedzącej na ławce, ułożył się z nich gruby dywan. Coraz trudniej będzie spotykać się w parku, wystawanie w bramach domu, szczególnie tego,

gdzie mieszkała i gdzie zawsze śmierdziało kapustą, też nie było przyjemne. Postanowił powiedzieć jej zaraz o propozycji, nieomal zaproszeniu Anielki (więc była wciąż najważniejszą osobą w domu, ale czy powinien się do tego przyznawać?), żeby ją trochę udobruchać.

Jak na złość ławka, na której siedziała, umieszczona była pod dużym klonem, a klony wcześniej gubiły liście i naprawdę dokładnie tak jak sobie to wyobraził, przy stopach Myszki uformowała się już z nich gruba powłoka. Musiała długo czekać, bo nos miała zaczerwieniony z zimna, a rękę wsadziła głęboko w kieszenie płaszcza.

— To okropne! — zawołała, gdy się zbliżył. — Ostatni raz czekałam na ciebie. Ostatni! — Była wściekła, ale w oczach miała łzy. Więc przede wszystkim czuła się upokorzona.

— Kochanie! — usiadł przy niej, objął i długo całował. — Już nigdy nie będziesz tu na mnie czekać.

— Dlaczego? — przestraszyła się, ale że wciąż ją całował, zapytała z niedowierzaniem: — Co ty mówisz?

— Dlatego, że teraz będziemy spotykać się u mnie w domu.

— Och! — szepnęła z radością. Z ulgą! Z nadzieją!

Oparła dłonie na jego piersi, odsunęła się trochę od niego, ale tylko na tyle, żeby lepiej móc widzieć jego twarz i żeby on widział rozjaśniające jej twarz olśnienie. — 'Twoja matka mnie zaprasza!

Zamilkł, przełknął ślinę. Tego się nie spodziewał. Zachował dystans, utrzymywany wciąż przez jej ręce oparte o jego piersi, zaczerpnął tchu.

— No, właściwie...

— Co właściwie?

— Matki akurat nie było w domu.

— Akurat...? — Gasła, stawiając te pytania, w oczach znowu pojawiły się łzy.

— Po prostu akurat nie było jej w domu, kiedy to postanowiliśmy.

— Kto? Kto postanowił?

— Ja i Anielka.

— I... Anielka?

— Wiesz, że Anielka... wiesz, ile Anielka znaczy w naszym domu.

Powoli uwalniała się z uścisku, cofnęła ręce z jego piersi, złożyła je na swoich kolanach, mocno zaplotła palce.

— Mogę cię zapewnić, że Anielkę, znaną mi z twoich opowiadań, darzę największym szacunkiem. Ale myślałam...

Wiedział, o czym myślała i dlatego nie mógł znaleźć żadnego słowa, którym by... ona zresztą na nie wcale nie czekała.

Potrząsnęła głową, potrząsała głową w powziętym nagle uporze.

— Nie, nie, nie! Nie przyjdę do ciebie! Nie przyjdę!

— Myszko! — bąknął bezradnie. — Na dworze będzie coraz zimniej.

— Zastanawiałam się nad tym.

— Zastanawiałas się...?

— Tak — uspokajała się powoli. — Pamiętasz, jeszcze zeszłego roku zaproponowałeś... zaproponowałeś — powtórzyła z trudem, prawdopodobnie to słowo wydało jej się odrażające — żeby wynająć jakiś pokój, pokój dla nas. Żebyśmy mogli być razem. Tak mówiłeś. A ja się nie zgadzałam. Nie zgadzałam się wtedy. Ale teraz rozumiem, że mogły ci się sprzykrzyć te spotkania ze mną, z których... z których nic nie wynika.

— Nic nie wynika...? — powtórzył za nią przerażony nie tylko słowami, ale i rzeczową oschłością tonu, jakim je wypowiadała.

— Tak, rozumiem to teraz. Mnie się to także sprzykrzyło. I tak, jak ty pragnę czegoś innego. Czegoś więcej, choć właściwie... nie jestem pewna, czy to naprawdę więcej.

Milczał. Wyobrażał sobie, że jeśli do tego dojdzie, jeśli podejmą kiedyś tę decyzję, stanie się to w ciasnym uścisku między gwałtownymi pocałunkami, z niepohamowanego pragnienia, którego obydwójce nie będą mogli już zwalczyć. W szaleństwie... Z szaleństwa, odbierającego rozsądek...

Ona tymczasem ciągnęła dalej z tym samym chłodem i rzeczowością:

— Ale do ciebie nie będę przychodziła. To by mnie krępowało. Choć Anielka... Anielka wyraziła, jak rozumiem, pełne przyzwolenie.

— Bo mamy akurat nie było! — zawołał w zupełnej desperacji. — I prawie nigdy jej nie ma. Jest gościem w domu.

— Nie, nie! Nie w twoim domu. Nie chcę w twoim domu. — Wynajmiemy pokój. Możemy złożyć się do spółki. Wtedy chociaż trochę będę czuła się u siebie. Chyba że znowu nie masz pieniędzy?

— Wyobraź sobie, że właśnie mam — wypalił bez radości i najmniejszego triumfu, może nawet ze złośliwością.

— Masz? — nie wierzyła.

— Mam! Wyobraź sobie! — Opowiedział jej o pieniądzach, których już nie mógł doręczyć Sieblowi, o procencie z tej sumy — duch Anielki towarzyszył jednak wciąż tej rozmowie.

— No, to idziemy! — powiedziała Myszka, podnosząc się z ławki.

— Dokąd?

— Na Krzywczycką. Mam tam upatrzony pokój. Przy takiej rodzinie, która niczemu nie będzie się dziwić.

— Na Krzywczyckiej...? — wyjąkał. Ulica Krzywczycką była zbyt blisko Kolonii Profesorskiej i wyobraził sobie, że mógłby udając się tam, do

tego pokoju przy rodzinie, która niczemu nie będzie się dziwić, spotkać Chołodyńskiego, albo ją, Lidkę. Co by wtedy powiedział? Na pewno by powiedział, że idzie do nich, i poszedłby do nich, to było bardzo prawdopodobne. — Krzywczycką odpada — powiedział.

— Dlaczego? — spytała srogo.

— Mam... krewnych na Krzywczyckiej.

— Pod którym numerem?

— Nie pamiętam. Chodzę tam od dziecka i nigdy nie przyszło mi na myśl, żeby zainteresować się, jaki to właściwie numer.

Patrzyła na niego spod oka.

— Mam jeszcze upatrzony drugi pokój — na Oficerskiej. Dostatecznie daleko od twego i mego mieszkania. I... chyba nie masz tam krewnych?

— Nie, nie mam.

— To cudowne! Wręcz niezwykle, nie masz krewnych na Oficerskiej!

Była złośliwa przez całą drogę, w czasie której on się prawie nie odzywał. Zapytał tylko, czy właściciele i tego mieszkania nie będą się niczemu dziwić.

— To samotna kobieta — wyjaśniła krótko. Dopiero po chwili dodała: — I pewnie nie stać jej na to, żeby się dziwić czemukolwiek.

Pani, która z ciemnawego hallu wpuściła ich do rozzłoconego zachodzącym słońcem pokoju, jednak czemuś się dziwiła — temu mianowicie, że nie zamierzali u niej zamieszkać, że pokój był im potrzebny tylko na dwa, trzy popołudnia w tygodniu.

— Dla pani to przecież lepiej — perswadowała jej Myszka. — Płacimy tyle, jakbyśmy tu mieszkali, a nie będzie nas pani miała przez cały czas na głowie — wyjaśniała sytuację śmiało, aż tak bez skrępowania, że starsza pani, z akcentem wciąż utrzymywanej żałoby w stroju, zaczęła się domy-

ślać całkiem chwalebnej w jej oczach przyczyny, jaka ich tu przywiodła. Nie, na pewno nie wyglądali na zakochanych. Choć dziewczyna była tak śliczna, a i chłopcu nic nie brakowało.

Starsza pani pomyślała z żalem, że to jednak nie miłość ich łączyła, chociaż sprawa, która czyniła z nich parę w innym, jakimś donioślejszym znaczeniu, była równie piękna.

— Mam nadzieję, że nie narazicie mnie państwo na niebezpieczeństwo — szepnęła jednak. Wyszła do drugiego pokoju i wróciła z fotografią młodego mężczyzny w mundurze podporucznika. — To mój syn. Zginął we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, kiedy generał Sosnkowski usiłował nie dopuścić Niemców do Lwowa.

— Zamilkła na długo, a oni obydwójce nie patrzyli na siebie. — I na nic się to nie zdało! — dodała jeszcze ciszej.

— Bo tamci tu weszli.

Myszka podeszła do okna; ogromnie zajmujący musiał się jej wydawać widok na ulicę.

— Bardzo nam przykro — powiedziała stamtąd do starszej pani. — I na pewno nie narazimy pani na żadne niebezpieczeństwo. Może być pani spokojna.

Ponieważ stała wciąż tyłem, starsza pani podniosła wyblakłe oczy na Witolda.

— Bo swoje już przeszłam. O mężu także nie mam żadnej wiadomości. Raz się odezwał z Anglii na początku czterdziestego i od tej pory nic. Więc nerwy mam zszarpane...

— Na pewno na nic pani nie narazimy! — podniosła głos Myszka. Odwróciła się wreszcie od okna. — Czy cena ta sama, jaką uzgodniłyśmy?

— Tak. Naprawdę, to nie jest drogo za taki piękny pokój.

— Ależ ja nie mam zamiaru się targować. Płatne z góry, czy z dołu?

— Z góry — nieomal z zawstydzeniem wyznała starsza pani.

— Zgoda! — Myszka dopiero teraz spojrzała na Witolda. Wydała mu się osobą tak obcą, że właściwie powinien się jej przedstawić. — Zgoda! — powtórzyła i dodała, gdy się wciąż nie odzywał: — Witek!

Dopiero teraz wydobył z siebie głos:

— Nie wziąłem ze sobą pieniędzy.

— Nie wzięłeś ze sobą pieniędzy? — z bardzo przykrym zdumieniem zapytała Myszka.

— No, tak... nie sądziłem przecież...

— Wobec tego zapłacimy jutro — zdecydowała Myszka pospiesznie. — Nie sprawi to chyba pani różnicy?

— Ależ żadnej. — Gospodyni odprowadzając ich do przedpokoju upewniła się jeszcze raz, czy będą dostatecznie ostrożni, czy nie sprowadzą na nią niebezpieczeństwa, a gdy schodzili już na półpiętro, dopiero wtedy usłyszeli, że zamyka drzwi za nimi.

Ale nie dlatego nie mówili nic do siebie.

— W sobotę jest fercentag u krawca — odezwała się Myszka na samym dole. Moja wypłata to akurat połowa tej sumy. Zwrócę ci ją... Och! — rozplakała się nagle. — Nie wiem, czy mi kiedykolwiek wybaczysz? Postąpiłam wrednie!

— Nie, dlaczego? — zaoponował słabo. Objął ją, przyciągnął do siebie. Stali w mrocznej sieni, osłonięci wpółotwartą bramą. — To się kiedyś musiało stać...

Wciąż płakała.

— Ale nie ja... nie ja powinnam...

— Nie ty. I dlatego cię przepraszam. Że musiałaś o tym pomyśleć. Że cię do tego zmusiłem. Ale mamy już to za sobą. Dziękuję ci!

Trzymał jej głowę na swojej piersi, uniosła ją, żeby mu się przyjrzeć.

— Naprawdę? — spytała z niedowierzaniem.

— Naprawdę! — Sam sobie nie dowierzał, sam się sobie dziwił. Ale rzeczywiście czuł ulgę, jakby coś się naprawiło w jego życiu. Wielu kolegów ułożyło sobie mimo wojny całkiem pomyślnie życie osobiste. Niektórzy pożenili się, mieli już dzieci. Nie, nie myślał się żenić. Ten pokój na dwa, trzy popołudnia w tygodniu w wystarczający sposób mógł upewnić go w męskości, w dorosłości, w śmiałości wobec życia. Myszka była zachwycającą dziewczyną, a to że sama tego chciała, łagodziło... Co łagodziło? Dlaczego zaczynał znowu myśleć... Miał już dwadzieścia jeden lat, wkrótce skończy dwadzieścia dwa... do diabła! Czy życie miało się składać z samych nieszczęść i obowiązków? — Kochanie! — powiedział z prawdziwą serdecznością. — To jest ważny, wspaniały dzień w naszym życiu. I byłaś cudowna!

Całowali się długo, czule, z zachwytem odnalezienia, aż ich ktoś spłoszył, wchodząc do domu — ale to się właśnie miało skończyć, wystawywanie i migdalenie — jak mówiła Tycia — w bramie, od jutra mieli pokój, tylko dla siebie, dla bezdomnej dotąd miłości.

— Nie zapytaliśmy, czy... z pościelą? — odezwał się cicho, gdy wchodzący zatrzasnął za sobą drzwi na pierwszym piętrze.

Znowu ukryła zaczerwienioną twarz na jego piersi.

— Ja zapytałam, kiedy byłam tu po raz pierwszy. Oczywiście, że z pościelą. Czy jutro... już tu się spotykamy?

— A gdzie? O piątej.

— O piątej nie mogę. Najwcześniej o szóstej. Muszę być u krawca. Zwłaszcza że jutro fercentag.

— Tylko nie wyobrażaj sobie, że pozwolę ci płacić połowę za ten pokój. Mam pieniądze.

Przytuliła się ciaśniej.

— Ani przez chwilę nie myślałam, że mi na to pozwolisz.

Pieniądzy — choć pod czujnym okiem Anielki wybrał nazajutrz z puszek na sól tylko procent należny mu od Siebla — tych pieniędzy było jednak tyle, że nawet po zapłaceniu pokoju mógł dysponować pewną sumką i przypomniał sobie, co miał zamiar z nimi zrobić poprzedniego dnia... Zawstydzilo go to, że w ogóle już o tym nie myślał, poczuł się ostatnim draniem, w oczy Anielce nie śmiał spojrzeć ze strachu, żeby nie powróciła do tego tematu. Ale wyszedł z domu wcześniej, aby przed udaniem się na Oficerską pojechać do Chołodyńskich.

Profesora nie było w domu, choć wykłady zaczynały się dopiero w październiku. Lidka obrywała w ogrodzie suche strąki fasolki. Znowu się zawstydzila, że zastał ją w zaniedbaniu, jak sobie najwidoczniej wyobrażała, nadmiernym, nieodpowiednim w stosunkach: żona profesora i jego student. Czytał to w jej twarzy, w zakłopotaniu, z jakim poprawiała jedwabną, ale już spłowiałą chustkę na głowie, podpychała pod nią potargane i spoczone nad czołem włosy. Siedziała na piętach między grządkami i zerwała się, gdy zaskrzypiała furтка.

— Męża nie ma w domu — powiedziała od razu.

— Ja właściwie do pani...

— Do mnie? — odniósł wrażenie, że się przestraszyła, zamiast więc wyłuszczyć cel swojej wizyty, przykucnął przy pierwszym z brzegu krzaku fasoli.

— Pomogę pani.

— Och, to żadna robota. Prawie zabawa. Wolę to... na świeżym powietrzu... niż siedzenie samej w domu. Tu chociaż widzę, że jacyś ludzie przechodzą ulicą.

— A więc dobrze, że przyszedłem. — Stwierdził to raczej, niż o to zapytał i ona chyba tak to przyjęła, nie udzielając odpowiedzi. Pochyliła się nad fasolą i nie widział jej twarzy, chyba właśnie tego pragnęła, długo i pilnie przyglądając się czarnym ziarnkom fasoli rozsypanym ze strączka na jej dłoni.

— Zupa od nich ciemniej — zauważył. — Tak mówi Anielka. Zawsze starannie przebiera fasolę, zanim namoczy ją na zupę.

— Przebierała!

— Tak, przed wojną.

— Teraz każde ziarnko się Uczy. Czarne nie czarne, wszystko jedno. Więc chyba Anielka fasoli już nie przebiera?

— Oczywiście, że nie. Robiła to dawniej. Kiedy byłem mały, siadywałem razem z nią przy stole w kuchni i wyłapywałem czarne ziarnka, bo to miały być kule do armat w bitwach, które toczyli moi ołowiani żołnierze...

Urwał. Zamiast tych głupich wynurzeń mógł jej powiedzieć, z czym przychodził. Ale nie śmiał... dlaczego wciąż nie śmiał? Przecież to ona powiedziała, że teraz nie zwraca się uwagi na to, jaką fasolę wrzuca się do garnka. Więc bieda u profesorstwa aż piszczy i moment byłby najbardziej sposobny, żeby zsypaną fasolę z dłoni Lidki do koszyka, położyć na niej pieniądze.

Ale ona mówiła:

— Bawienie się dzieci fasolą jest raczej niebezpieczne. Wsadzają czasem ją do nosa, albo do uszu. Był taki wypadek w mojej rodzinie. Trzeba uważać.

— Ja tego nigdy nie robiłem.

Co on gadał? O czym on bredził? Doprowadził do tego, że udzielając mu tej przestrogi traktowała go najwidoczniej jak dziecko, podczas gdy on miał za chwilę pójść na Oficerską... A może tylko tak sobie powiedziała, że trzeba uważać. Że w ogóle trzeba uważać. Gdyby on na przykład miał kiedyś dziecko, albo ona — wielki Boże! — ona z profesorem...

— Pani Lidko! — jęknął. — O czym my rozmawiamy? Dlaczego pani nie spyta, z czym przyszedłem?

— Przecież to pan powinien powiedzieć.

— Tak, ja. Przepraszam. Ale łatwiej by mi było, gdyby pani o to spytała.

— A więc pytam.

— Tak się złożyło... no, złożyło się tak, że mam trochę pieniędzy. Zarobiłem. Pani przecież wie, że handluję. Nie ma w tym nic zdrożnego...

— Ależ skąd — szepnęła.

— Mam trochę pieniędzy... a widzę... widzę, że u państwa się nie przelewa...

— U nikogo się nie przelewa — zauważyła sucho. — I to nikomu nie przynosi ujmy. Nawet wprost przeciwnie.

— Ależ tak, wprost przeciwnie... Oczywiście, że to miałem na myśli. Ale przekraczanie granicy wyrzeczeń... co ja mówię? granicy narzuconego nam niedostatku może w końcu odbić się na zdrowiu. Pana profesora... i pani...

— Nic nam nie będzie — uśmiechnęła się blado.

— No, nie wiem. Pan profesor tyle pracuje. Ważne jest... najważniejsze, żeby w spokoju mógł pisać swoje książki. Może... przepraszam — nie dojada...? I zima idzie... Teraz pewnie udałoby się kupić trochę węgla...

— Do czego pan zmierza? — zapytała wciąż tym samym suchym tonem, który odbierał mu resztki śmiałości.

Więc wybuchnął, żeby prędzej z tym skończyć, żeby mieć to już poza sobą:

— Mam pieniądze, powiedziałem pani! I przyniosłem je — wyszarpnął z kieszeni dolary — przyniosłem je... ale ponieważ boję się, że profesor ich nie przyjmie, pomyślałem... że może pani...

— Ja ich także nie przyjmę.

— Dlaczego? — krzyknął. — Dlaczego?

— Bo są panu tak samo potrzebne, jak nam. Panu i pana rodzinie.

— Matka pracuje i zarabia. Co dnia przynosi do domu dwa bochenki białego chleba. Anielka...

— No i najważniejsze — przerwała mu — z jakiej racji?

— Z jakiej... racji?

— O tym pan nie pomyślał? Pan, całkiem obcy człowiek...

— Więc jednak jestem obcy?

— No... — zająknęła się — krewnymi nie jesteśmy.

— Ale przecież poza pokrewieństwem...

— Panie Witku! — spuściła głowę, zagryzła wargi i milczała przez chwilę. — Mnie ta rozmowa krępuje.

— Ja przecież ze szczerego serca, z jak najszczerzego serca...

— Wiem. I tym bardziej nie mogę przyjąć tych pieniędzy.

— Tym bardziej? — krzyknął znowu.

— Tak. Bo zaproponował pan je mnie... właściwie nie wiem, w formie pożyczki?

— Ależ tak! Tak! Po wojnie...

— Powiedzmy. Zaproponował pan je mnie, bo wiedział pan, że mąż ich nie przyjmie. A ja... ja, tak pan sobie wyobrażał, ponieważ dopuściłam do pewnej zażyłości między nami...

— Boże drogi! — szepnął.

— Tak, tak, wyobrażał pan sobie. I to mnie tym bardziej zobowiązuje...

— Pani Lidko! — jęknął. Wziął jej obie ręce, brudne, szorstkie od strąków fasoli, podniósł do ust, potem do oczu, czoła i znowu do ust, zaczął je całować, a ona pozwalała na to, bo już zaczęła płakać, cicho, z zaciśniętymi powiekami, spod których jednak zaczynały toczyć się łzy. — Ja przecież chciałem jak najlepiej. I wcale nie dlatego zaproponowałem pani te pieniądze, że...

— Ale ja myślałam... ja tak pomyślałam. I to całą rzecz wyklucza. Wyklucza! — Cofnęła ręce, odebrała mu je, zaczęła gwałtownie szukać chustki w kieszeniach fartuszka, ale jej nie miała, a on nie śmiał podać jej swojej, bo oglądał nieraz takie sceny w filmach i oznaczało to zawsze początek tej zażyłości między kobietą i mężczyzną, której ona tak się bała.

Patrzył więc, jak wyciera twarz wierzchem dłoni, struchlały, że doprowadził ją do płaczu, choć był tak obcy, jak mówiła; ale czy obcy ludzie mogą wywoływać ten rodzaj, ten rodzaj łez?

— Niech pan już idzie — szepnęła. — Mężowi nie powiem, że pan był. I dlaczego pan przyszedł.

— Tak, oczywiście — powiedział. Ale nie ruszał się z miejsca przykucnięty obok niej między dwiema grządkami poźółkłej fasoli. Widział z bliska jej zaczerwienione oczy, gładkie powieki pod wysokimi brwiami, zakończone czarnymi jak one rzęsami, lśniącymi wciąż od wilgoci. Zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy się jej przygląda tak długo, uważnie i zachłannie, bo nawet wtedy, gdy wyjmował jej prawie przed rokiem drzazgę z palca, myślał o jej oczach tylko to, że są słabe. A nie, że piękne.

— Niech pan idzie! — powtórzyła.

— Zaraz pójdę. — Wciąż nie ruszał się z miejsca; ona przecież pierwsza mogłaby się podnieść i jakimś gestem skierować go ku furtce, ale nie zrobiła tego. — Myślałem, że się pani ucieszy. Że... kupi pani sobie coś dobrego...

— Mówił pan o... węglu.

— Tak. Ale prócz węgla...

— Proszę! Niech pan idzie! — zawołała i teraz się podniosła, nie uczyniła jednak żadnego gestu wskazującego mu drogę ku furtce, przyspieszającego odejście. Pożegnanie? Rozstanie?

Na grządce, którą mieli za plecami, wszczął się jakiś tumult, zachrząściły suche strąki fasoli, pękały z cichym trzaskiem badyle. Odwrócili się gwałtownie — Fritz uciekał przed atakującym go Mufkiem, ale czynił to nieśpiesznie, zatrzymywał się, przysiadał na tylnych łapach, przednimi wykonując królicze ruchy obronne. Kot zatrzymywał się także i ze sposobu, z jakim odnosił się do królika, można się już było domyśleć, że to raczej zabawa, a nie atak. Choć Fritz nie był chyba tego całkiem pewny.

— Już się prawie zaprzyjaźnili — powiedziała, z ulgą przyjmując tę mimowolną interwencję zwierząt w prowadzoną przez ludzi rozmowę. Schyliła się, pogłaskała królika i kota, potargała obu za uszy. — Ich towarzystwo musi mi wystarczyć — dodała i od razu przestraszyła się nierozwagi, popędliwości tych słów, tego jak on je zrozumie.

— Czy... mam w ogóle nie przychodzić?

— Tego nie powiedziałam. Cóż znowu? Mąż zdziwił by się, gdyby przestał nas pan odwiedzać. Tylko tym razem nie powiem mu, że pan był. — Uspokoila się zupełnie i nie powtórzyła już, żeby sobie szedł, nie podniosła już głosu i nawet zdziwiła się, gdy nagle spojrzął na zegarek i sam skierował się ku furtce.

— Zrobiło się tak późno. Przepraszam, jeśli zakłóciłem pani spokój.

Szła za nim ścieżką, ale nim wyszedł na ulicę, położyła mu dłoń na ramieniu. Patrzyła smutno.

— To ja przepraszam. Ale sam pan dojdzie do wniosku, że tak będzie lepiej.

— Z czym... lepiej?

— Nie umiem tego określić! Ze wszystkim. Z nami...

Gwałtownie otworzył furtkę i zostawił ją chyba otwartą, nie oglądając się za siebie. Nie wiedział, czy wróciła zaraz do grządek fasoli, czy stoi przy płocie, wstrząśnięta tak samo jak on, choć to ona wypowiedziała te dwa ostatnie słowa, nie on, nie on — on je tylko usłyszał i przyjął.

Musiał być na Oficerskiej przed Myszką, zaczął więc biec, żeby złapać tramwaj i na szczęście mu się to udało. Zdyszany stanął przed drzwiami mieszkania starszej pani, wyjął z kieszeni i odliczył pieniądze. Otworzyła od razu, gdy tylko zadzwonił. Przychodził przed czasem, ale jednak już czekała na niego... na nich.

Zatrzymał się przy drzwiach przedpokoju.

— Dano nam inne zadania — powiedział, ciężko dysząc — i niepotrzebny jest już nam ten pokój. Myślę, że połowa sumy wyrówna pani straty.

— Ach, cóż znowu? — Starsza pani cofnęła rękę, w którą usiłował jej wcisnąć pieniądze. — Ja to rozumiem. Inne zadania! Jakże mogłabym brać pieniądze w takim wypadku?

— Może jednak? — nastawał.

— Nie, nie przyjmę ani grosza.

— Dziękuję i przepraszam. A koleżance — był już jedną nogą za progiem — koleżance... bo nie wiem, czy zdołam ją już uprzedzić... proszę powiedzieć to samo, co powiedziałem pani. Że otrzymaliśmy inne zadania.

— Dobrze, powtórzę. Na pewno tak właśnie powtórzę — starsza pani czuła się prawie zaszczycona swoją misją.

Posłowie

Powieść „Łza” urywa się nagle, pozostawiając nie zaspokojoną ciekawość czytelnika. Niestety, śmierć autorki 1 października 1989 roku nie pozwoliła na jej ukończenie. Odnaleziony rękopis wydaje się jednak tworzyć na tyle spójną całość, z wyraźnie zarysowanymi lub nawet zakończonymi wątkami, że wydawca zdecydował się na jej opublikowanie. Ja natomiast, ze względu na moją wieloletnią przyjaźń ze Stanisławą Fleszarową-Muskat, czuję się upoważniona do napisania tego posłowia.

Pamiętam, że gdy pierwszy raz usłyszałam o zamiśle napisania książki o tematyce lwowskiej, skwitowałam to trochę kąśliwą uwagą: „Dlaczego ty też bierzesz się za temat, który akurat stał się modny?” (był to okres nieśmiałego ukazywania się — po wieloletnim przemilczaniu — wspomnień, audycji radiowych i telewizyjnych, przypominania piosenek „Lwowskiej Fali” Szczepcia i Tońcia i innych publikacji dotyczących Lwowa). Jej odpowiedź brzmiała: „Nie dziw się. Ten temat nosiłam w sobie od lat. Lwów to, wprawdzie na krótko, ale miasto mojej młodości, miłości, mojego pierwszego małżeństwa”...

Tak, książka ta była dla autorki źródłem radości, łączyła się bowiem ze wspomnieniami okresu, w którym była podwójnie, potrójnie szczęśliwa: odzyskała wolność po upokarzających przymusowych robotach w Niemczech, później wyszła za mąż za kochanego, inteligentnego, młodego prawnika, z którym łączyły ją wspólne zainteresowania intelektualne, i wreszcie — oboje, mimo otaczającej wkoło biedy, mieli największy skarb — młodość.

Wielokrotnie byłam pierwszą czytelniczką powieści Stanisławy Fleszarowej-Muskat, jeszcze na etapie rękopisu. Tym razem jednak czytałam maszynopis tej książki w jakichże innych okolicznościach. Towarzyszy mi poczucie nieodwracalnej straty, ogromny smutek i żal. Momentami przyłapuję się na tym, że nadśluchuję, czy lada chwila nie rozlegnie się dzwonek tele-

fonu i tak jak dawniej usłyszę pytanie Stasi: „Ile już przeczytałaś? Czy ci się podoba? Czy sądzisz, że powieść zainteresuje czytelników?”

Telefon milczy, a ja nic już nie mogę powiedzieć Jej, nic Jej, tylko czytelnikom.

Mówię więc im, że to ciekawa powieść, bardzo sprawnie napisana i zupełnie inna od dotychczasowej twórczości Stanisławy Fleszarowej-Muskat. Jest bardziej kameralna, opisy Lwowa są pełne romantycznego uroku, i mimo że są one migawkowe, rozrzucone po całej powieści tylko w kilku zdaniach, są tak sugestywne, że czuje się po prostu ów niepowtarzalny czar tego miasta. Obraz Lwowa pod okupacją niemiecką, chociaż w nieukończonyj powieści i ograniczony do szkicu dziejów tylko niewielkiej części społeczeństwa, pozwala jednak czytelnikowi wyrobić sobie dość trafną opinię o żywym nurcie pracy konspiracyjnej Polaków w tym mieście.

A fabuła i bohaterowie powieści?

Pisarze zwykli mówić, że w pewnym momencie stworzone przez nich postacie wymykają się spod ich kontroli i „zaczynają żyć własnym życiem”. Jest to tylko częściowa prawda. Owszem, nieraz meandry losów powieściowych bohaterów układają się jak gdyby samoistnie, jak gdyby to oni kierowali piórem autora, a nie odwrotnie, ale prawda jest także taka, że autor musi mieć w zamyśle cały plan przyszłej akcji, zapowiadając niejako, jaki musi być dalszy logiczny rozwój wypadków.

Spróbujmy odnaleźć te „odgórne założenia” autorskie, o których zresztą nieraz rozmawialiśmy.

Profesor Chołodyński pojął za żonę dużo młodszą od siebie studentkę, a zatem nagły zgon starego profesora nie będzie działaniem autorskim *deus ex machina*, lecz mieści się w granicach logicznego prawdopodobieństwa. Wobec tego również logicznie może rozwinać się uczucie między profesorką a Witoldem. Cała dotychczasowa akcja prowadzona jest, aby wykazać, iż pomiędzy tą parą już kiełkuje jeszcze nie uświadomiana sobie przez

nią miłość, ale świadczy o tym ostatnia scena — Witold rezygnuje nagle z wynajęcia pokoju dla siebie i Myszki.

Porzucona nieoczekiwanie Myszką znajdzie na pewno oparcie i pociechę w osobie kochającego się w niej od dawna niepozornego, ale bohater-skiego Zygmunta Teleszki.

Porucznik Leszek raz uniknął cudem śmierci, ale w jakiejś innej po-tytucze szczęście już mu nie dopisze. „Osierocona” przez niego pani mece-nasowa zgodzi się po pewnym czasie na małżeństwo z tajemniczym filan-tropem „piekarzem czasu wojny” — Bednarskim.

Żydowska rodzina jubilera Siebla prawdopodobnie zginie, zawierzyw-szy swe losy nieuczciwym „patronom” jej ucieczki.

Nie wiadomo natomiast, jaką w pierwotnym zamyśle rolę autorka przewidziała dla Ukraińca Wasylka, który zostaje ukraińskim policjantem. Jedno jest pewne. W toku pisania ten wątek musiałby ulec daleko idącym zmianom. Przed rokiem 1989 jeszcze zupełnie inaczej wyglądała mapa po-lityczna Europy. Autorka nie mogła przewidzieć, że Ukraina stanie się nie-podległym państwem i jej dobrosąsiedzkie stosunki z Polską narzucą rów-nież pisarzom bardziej powściągliwy stosunek do rozmaitych okupacyjnych „zaszłości”.

Na zakończenie tych „wróżebnych” przewidywań należałoby sobie tylko życzyć, aby nie znalazła się jakaś druga Aleksandra Ripley, autorka zakończenia „Przeminęło z wiatrem”, która zainspirowana tymi przypusz-czeniami chciałaby napisać ciąg dalszy do „Łzy”.

Niechaj ta książka idzie pomiędzy czytelników w takim kształcie, jaki zdążyła jej nadać Stanisława Fleszarowa-Muskat i niechaj będzie ciągle żywym i wdzięcznym wspomnieniem o Niej.

Eugenia Kochanowska

Wydawnictwo Morskie Gdańsk 1992 Wyдание I.

Skład, druk i oprawa: Zakłady Graficzne w Gdańsku, ul. Trzy Lipy 3.